STREFA WPŁYWU
Nowy układ sił nad Bałtykiem

UKRAINA PO WOJNIE
Jarosław Hrycak: mój kraj będzie piękny

BOŻE CIAŁO
Procesja, na której chcielibyście być

PO NASZEMU
Sztuka ministra Glińskiego

NUDY NA PUDY
Kiedy praca nie ma sensu

Kraków 19 czerwca 2022 nr 25 (3806) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

JAROSŁAW FLIS O OPOZYCJI

Po władzę trzeba iść osobno

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

WSPÓLNOTY

ORGANIZATORZY

Kraków

kbf: operator programu

KRAKÓW UNESCO CITY OF LITERATURE

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

DOFINANSOWANIE

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

PARTNERZY STRATEGICZNI

allegro

TYGODNIK POWSZECHNY

GRZEGORZ JANKOWICZ
DYREKTOR PROGRAMOWY FESTIWALU

Rozmyślając o strukturze wspólnoty, hiszpański filozof José Ortega y Gasset doszedł do wniosku, że jedność i równowaga sił mają charakter dynamiczny i są możliwe wyłącznie wtedy, gdy w punkcie wyjścia panuje wielość. Tę ostatnią należy pielęgnować, ponieważ zdrowa wspólnota może wzrastać wyłącznie na żyznym gruncie różnorodności.

Słowa te zostały zapisane w pierwszej połowie XX w. Ortega y Gasset odnosił się w ten sposób przede wszystkim do wspólnoty europejskiej, którą opisywał za pomocą metafory roju pszczół – cały czas pozostających w locie i zmierzających w podobnym kierunku. Słowa filozofa wciąż brzmią wspaniale, nawet jeśli z dzisiejszej perspektywy jawią się wielu z nas jako wyraz utopijnego marzenia o doskonałej wspólnocie.

Nie powinniśmy porzucać marzeń, zwłaszcza o pożądanych zmianach społecznych, ale trudno nie zgodzić się z przekonaniem, że w pojęciu wspólnoty nie ma nic oczywistego. Dlatego hasło tegorocznej edycji Festiwalu Conrada zostało wyrażone w liczbie mnogiej. Interesuje nas nie uniwersalna formuła, za pomocą której moglibyśmy uchwycić istotę zjawiska wspólnoty, lecz namysł nad mechanizmami, które odpowiadają za jej wielorakie sposoby funkcjonowania. Niektóre z tych mechanizmów są powtarzalne, pozostałe jednak posiadają wyjątkowy charakter i zależą od historycznych oraz kulturowych uwarunkowań, którym podlegają poszczególne społeczeństwa.

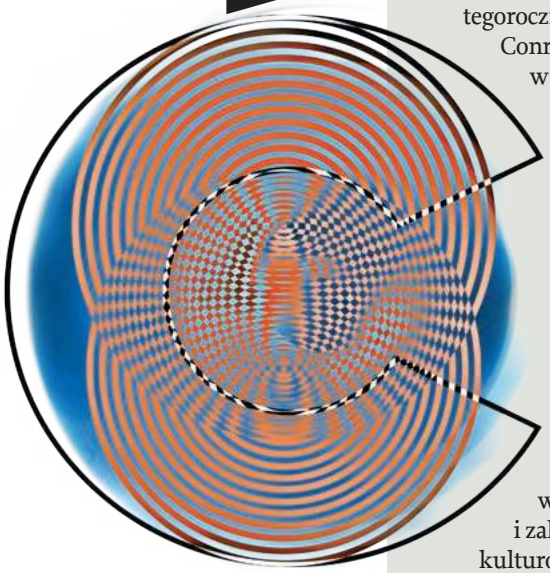

Zaprosiliśmy na Conrada 2022 pisarki i pisarzy z różnych zakątków świata, by wraz z nimi, za pośrednictwem literackich opowieści, zmierzyć się z istotnymi pytaniami. W jaki sposób jednostki zawiązują dziś wspólnotowe więzi? Co decyduje o tym, że pewne wspólnoty pozostają otwarte i gościnne, inne zaś są hermetyczne? Czego boją się wspólnoty i z jakimi traumami muszą się uporać? Jak traktujemy pozaludzkie istnienia, które współdzielą i współtworzą wraz z nami rzeczywistość? Jak zachować niezależność w obrębie grupy, do której przynależymy? W jaki sposób przezwyciężyć bierność i zaangażować się w zbiorowe działania? Jak wzmacniać procedury sprawiedliwości, by obejmowały one wszystkie osoby, a nie tylko wybrane? Dlaczego w niektórych miejscach globu nasilają się tendencje separatystyczne? Jak wygląda Polska oglądana z zewnątrz? Skąd antysemityzm wśród kibiców piłkarskich i dlaczego tak trudno go zneutralizować? Jak opowiadać o przemocy ze strony osób należących do tej samej grupy – na dodatek grupy marginalizowanej? Jak sztuka (literatura, teatr, film...) przedstawia wspólnotę mieszkańców walczących o swoje miejsce do życia z bezwzględnymi reprywatyzatorami?

To tylko niewielka część pytań, które padną podczas październikowych spotkań i dyskusji. Z dużym wyprzedzeniem prezentujemy program główny tegorocznej edycji (zapraszamy na naszą stronę – www.conradfestival.com – gdzie znajdują się szczegółowe opisy każdego z wydarzeń). Mogą go Państwo potraktować jako zestaw lekturowych rekomendacji. Publikujemy go tak wcześnie właśnie po to, by dać Państwu szansę na zapoznanie się z twórczością zaproszonych pisarek i pisarzy.

Mamy nadzieję, że dołączycie do nas w ostatnim tygodniu października. Po dwóch latach pandemii pragniemy spotkać się z Wami bezpośrednio, by wspólnie czerpać emocjonalną i intelektualną siłę z literackiej różnorodności. ©℗

OGŁOSZENIE OPP

Poniedziałek, 24.10.

12.00
Queerowa lekcja czytania
z MAJĄ HEBAN
Tekst: „Cała siła, jaką czerpię na życie. Świadectwa, relacje, pamiętniki osób LGBTQ+ w Polsce”

17.00
Wspólnota jako wyzwanie
Spotkanie
z ROBERTEM ESPOSITO
Prowadzenie:
Mikołaj Ratajczak

18.30
Prawa wszystkich istnień
Spotkanie z EVĄ MEIJER
Prowadzenie: Ada Arendt

20.00
O ludziach, którzy nikogo nie obchodzą
Spotkanie
z ÓSCAREM MARTÍNEZEM
Prowadzenie: Tomasz Pindel

Wtorek, 25.10.

12.00
Queerowa lekcja czytania
z JOANNĄ OSTROWSKĄ
Tekst: Jack Halberstam, „Zabójca we mnie jest zabójcą w tobie. Homoseksualizm a faszyzm”, w tegoż, „Przedziwna sztuka porażki”, tłum. Mikołaj Denderski

17.00
Czego boi się wspólnota?
Spotkanie z VERENĄ KESSLER
Prowadzenie:
Małgorzata Gralińska

18.30
Śląskość poszukiwana od zaraz
Spotkanie
ze ZBIGNIEWEM ROKITĄ
Prowadzenie:
Amelia Sarnowska

20.00
Portrety nowych światów
Spotkanie
z ALFIANEM SA’ATEM
Prowadzenie:
Aleksandra Szymczyk

Środa, 26.10.

12.00
Queerowa lekcja czytania
z REMIGIUSZEM RYZIŃSKIM
Tekst: Michał Głowiński, „Bar Ganimed”, w tegoż, „Carska filiżanka”

15.30
Jak rodzi się zło?
Spotkanie z ÉRIKIEM VUILLARDEM
Prowadzenie:
Katarzyna Trzeciak

17.00
Rodzina nie do przełknięcia
Spotkanie
z SHALOMEM AUSLANDEREM
Prowadzenie:
Maciej Stroiński

18.30
Relacje, związki, zależności
Spotkanie z LEÏLĄ SLIMANI
Prowadzenie:
Agnieszka Rasińska-Bóbr

20.00
Eksmisja
Dyskusja z udziałem SYLWII CHUTNIK, MICHAŁA KMIECIKA, MICHAŁA OTŁOWSKIEGO i JAKUBA ŻULCZYKA
Prowadzenie:
Monika Ochędowska

Czwartek, 27.10.

12.00
Queerowa lekcja czytania
z BŁAŻEJEM WARKOCKIM
Tekst: Witold Gombrowicz, „Tancerz mecenasa Kraykowskiego”, w tegoż, „Bakakaj”

17.00
Gry we dwoje
Dyskusja o Unice Zürn z udziałem FRIEDERIKE BECK i SABINE SCHOLL
Prowadzenie:
Beate Sommerfeld

18.30
Pamiętanie
Spotkanie
z TANIĄ MALARCZUK
Prowadzenie:
Katarzyna Kotyńska

20.00
Kiedy skończy się XX wiek?
Spotkanie z ARTUREM DOMOSŁAWSKIM
Prowadzenie:
Małgorzata Szczurek

Piątek, 28.10.

12.00
Queerowa lekcja czytania
z ALDONĄ KOBUS
Tekst: Casey McQuiston, „One Last Stop”, tłum. Agata Zano

17.00
P(r)oza dramat
Dyskusja z udziałem MARTY SOKOŁOWSKIEJ, ISHBEL SZATRAWSKIEJ i SZCZEPANA TWARDOCHA
Prowadzenie: Agata Dąbek

18.30
Ukraina, czyli Zachód
Spotkanie
z MYKOŁĄ RIABCZUKIEM
Prowadzenie:
Grzegorz Jankowicz

20.00
Opowieścią w mrok
Spotkanie
z MARIANĄ ENRÍQUEZ
Prowadzenie: Nina Pluta

Sobota, 29.10.

15.00
Prawspólnoty
Dyskusja z udziałem EWY KLEKOT i ANDRZEJA MUSZYŃSKIEGO
Prowadzenie:
Andrzej Marzec

16.30
Czytanie Ukrainy
NATAŁKA BIŁOCERKIWEĆ
oraz jej gościnie i goście:
URSZULA HONEK, RYSZARD KRYNICKI, JOANNA OPAREK i MICHAŁ SOBOL
Prowadzenie:
Wojciech Bonowicz

18.30
Diabeł, krat, trupibut i inni
Spotkanie
z ANDRUSEM KIVIRÄHKIEM
Prowadzenie:
Anna Michalczuk-Podlecki

20.00
Wyjście z domu snów
Spotkanie
z CARMEN MARIĄ MACHADO
Prowadzenie: Aldona Kobus

Niedziela, 30.10.

14.00
Futbol i antysemityzm
Dyskusja z udziałem MICHAŁA OKOŃSKIEGO i RAFAŁA ROSOŁA
Prowadzenie:
Joanna Roszak

15.30
O Polsce spoza Polski
Dyskusja z udziałem NATASZY GOERKE, WERONIKI GOGOLI i GRAŻYNY PLEBANEK
Prowadzenie:
Marcin Napiórkowski

17.00
Ucieczka z piekła Conrada
Spotkanie
z MICHAŁEM KOMAREM
Prowadzenie:
Michał Olszewski

18.30
Piekło dwojga ludzi jest gorętsze
Spotkanie z AYFER TUNÇ
Prowadzenie:
Agnieszka Erdoğan

20.30
GALA NAGRODY CONRADA

22 Od może do morza
MAREK RABIJ
Marzenie o silnej Polsce nad Bałtykiem od wieków towarzyszy naszej myśli politycznej, ale nigdy nie nabrało realnego kształtu. Teraz historia przyspiesza. Czy znów przegapimy szansę?

32 Nosimy go wysoko
ANNA NIEDŹWIEDŹ
W Boże Ciało po ulicach miast i wsi Ghany wędruje procesja eucharystyczna, jak w Polsce. Świętowanie jest jednak inne.

42 Nareszcie dostrzegamy, jak wspaniały jest nasz kraj
ROZMOWA Z JAROSŁAWEM HRYCAKIEM, UKRAIŃSKIM HISTORYKIEM:
Swoimi rakietami Putin niszczy także prorosyjską orientację na Ukrainie. Ona kojarzy się dziś z wojną i jej skutkami.

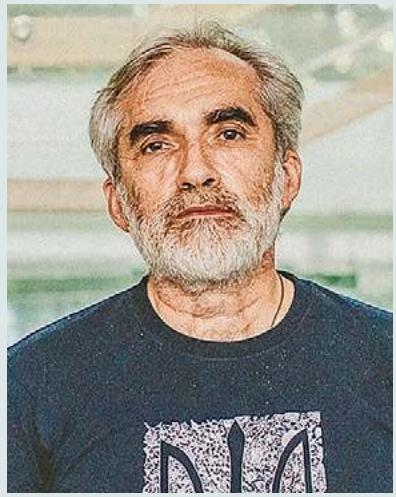

60 Planeta owadów
ROZMOWA Z ANNE SVERDRUP-THYGESON, BIOLOŻKĄ:
One są jak drobniutkie koła zębate natury, dzięki którym działa maszyneria świata. Owady zasługują na to, by opowiadać o nich piękne historie.

64 Nasz, nasze, naszemu
PIOTR KOSIEWSKI
Minister Piotr Gliński pragnie być „dysponentem prestiżu" i wpływać na hierarchie artystyczne, chociaż rzeczywistość już nieraz brutalnie weryfikowała jego kompetencje.

78 Galernicy nudy
MACIEJ JAKUBOWIAK
Jedno z haseł, jakie przewijają się w marketingu producentów sprzętu i oprogramowania komputerowego, brzmi: „Możesz pracować, gdzie chcesz". A skoro możesz, to dlaczego miałbyś nie pracować?

KAROLINA MISZTAL / REPORTER // ANNA NIEDŹWIEDŹ // EIGIL RASMUSSEN-KORSAGER / ENA FORLAG // ŁUKASZ SZCZEPAŃSKI / REPORTER // BEATA ZAWRZEL / REPORTER // OKSANA TYSOVSKA

6 Gasimy silnik
KRZYSZTOF STORY

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Od może do morza
MAREK RABIJ

27 Zdalna lekcja na polu rabarbaru
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK: *Wiele ukraińskich dzieci, którym nie towarzyszą rodzice, znikło z radarów państwa*

30 Z głodu nie umrzemy, ale...
PIOTR WÓJCIK *o cenach żywności*

WIARA

32 Nosimy go wysoko
ANNA NIEDŹWIEDŹ

36 Trudny dom
ROZMOWA Z USCHI PAWLIK I MISZĄ CZERNIAKIEM Z FUNDACJI WIARA I TĘCZA

39 Lekcja kościelnej pokory
MIRELLA MAKURAT *o niezależności Cerkwi z Macedonii*

ŚWIAT

42 Nareszcie dostrzegamy, jak wspaniały jest nasz kraj
ROZMOWA Z JAROSŁAWEM HRYCAKIEM

47 Lepiej siedzieć cicho
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU: *Izrael i test wojny w Ukrainie*

50 Archipelag odnaleziony
TOMASZ AUGUSTYNIAK Z BANGKOKU: *Chińska ofensywa na Wyspy Salomona*

TEMAT TYGODNIKA

12 Wszyscy chcą, każdy inaczej
KAROLINA LEWICKA
Partie opozycyjne są silniejsze od PiS-u, ale walczą głównie między sobą, a nawet wewnątrz własnych frakcji. Rządzącym dużo lepiej wychodzi uczenie się na błędach. Własnych i cudzych.

16 Te skrzydła nie gwarantują lotu
ROZMOWA Z JAROSŁAWEM FLISEM, SOCJOLOGIEM:
Stworzenie wspólnego bloku opozycyjnego jest obarczone wielkim ryzykiem. Pluralizm daje większe szanse na to, by pokonać PiS.

GOLFX / ADOBE STOCK

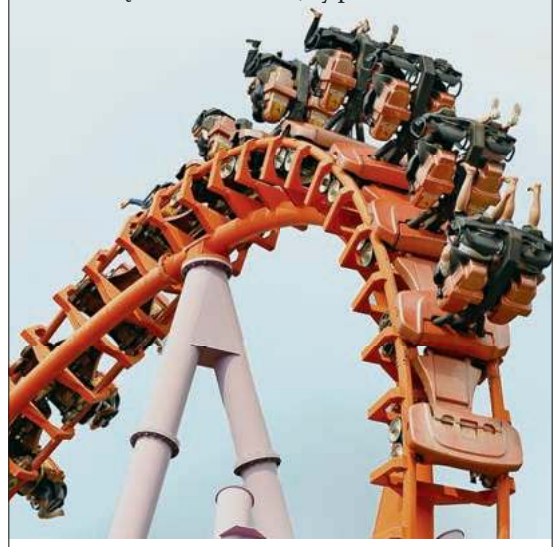

FELIETONY
41 WOJCIECH BONOWICZ **58** HANNA KRALL
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
JAROSŁAW FLIS, KRAKÓW, 8 CZERWCA 2022 R.
FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

53 Jeśli padnie Kijów, kolejne będzie Tbilisi
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z TBILISI: *Gruzini boją się nowego starcia z Rosją*

HISTORIA

56 Wolny czas reformatora
MACIEJ MÜLLER: *500 lat temu na prasy drukarskie powędrował szczególny przekład Biblii. Opracował go ukrywający się Marcin Luter*

NAUKA

60 Planeta owadów
ROZMOWA Z ANNE SVERDRUP-THYGESON

KULTURA

64 Nasz, nasze, naszemu
PIOTR KOSIEWSKI

68 Na rogu Sex Pistols i Bożego Ciała
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Krakowski Teatr Nowy Proxima właśnie zabrał się za największego bohatera dzisiejszych czasów. Po Korze czas na Zełenskiego*

71 Ja, rekwizyt
FILIP ŁOBODZIŃSKI: *Zanim przyszła nuda, David Bowie poczuł ekscytację pewną ideą. Jak to zwykle u niego, ideą wyrafinowaną ponad możliwości intelektualne sporej części jego fanów*

74 Taniec na pustyni
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Kolano Ahed" w reżyserii Nadava Lapida*

76 Przegrany los
LEKTOR *o książce „Towarzysz Nachman" Izraela Joszuy Singera*

ZMYSŁY

78 Galernicy nudy
MACIEJ JAKUBOWIAK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Kabaret Rosja [Rosyjska Ruletka]
Rekordy popularności bije w Moskwie spektakl „Kabaret". Czy w tej opowieści Rosjanie rozpoznają swoje lustrzane odbicie?
– pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** | **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

Odrobina radości [Podkast Powszechny]
Czy dzieci na całym świecie śmieją się z tego samego?
Z **JOANNĄ LEWANDOWSKĄ**, artystką z fundacji Czerwone Noski, rozmawia **KRZYSZTOF STORY** | **tygodnikpowszechny.pl/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

GASIMY SILNIK

Koniec ery samochodów spalinowych w Unii Europejskiej ma nastąpić w 2035 roku – za takim scenariuszem zagłosował Parlament Europejski. Miną lata, zanim ta uchwała przerodzi się w konkretne przepisy, ale kierunek zmiany został właśnie wytyczony.

KRZYSZTOF STORY

Od 2035 r. wszystkie nowo rejestrowane auta mają być zeroemisyjne: elektryczne bądź napędzane wodorem. Stare spalinowe i hybrydowe modele dosłużą swoich dni, będzie można nimi jeździć, sprzedawać, tankować. Później odejdą do lamusa.

Nie ma co się dziwić, że w Polsce – gdzie samochód latami był obiektem marzeń i wyznacznikiem statusu, a 14 mln ludzi ma problemy z dostępem do komunikacji zbiorowej – na kierowców padł blady strach. Elektryki są wciąż dużo droższe, pojawiają się pytania o niewielki zasięg, długość życia baterii i ich późniejsze składowanie, a przede wszystkim: gdzie my te miliony aut będziemy ładować? Duży błąd Unii polega na tym, że w przestrzeni publicznej nie słyszymy dziś wyraźnych odpowiedzi na te pytania (choć wszystkie te kwestie znajdą się w pakiecie „Fit for 55").

Bardziej komfortowo mogą czuć się Brytyjczycy, choć ich cele są jeszcze bardziej ambitne – zakaz spalinowych silników od 2035 r., a od 2030 wyłącznie pojazdy hybrydowe. Boris Johnson już dwa lata temu zapo-

Prezentacja bolidu PWR Racing Team RT12e, pierwszego całkowicie autonomicznego elektrycznego pojazdu zbudowanego na Politechnice Wrocławskiej. 10 czerwca 2022 r.

wiedział budowę nowych stacji ładowania za 1,3 mld funtów oraz dotacje na rozwój technologii (500 mln funtów) i rozwój energetyki jądrowej (525 mln funtów), by zaspokoić zwiększone zapotrzebowanie na prąd.

Studząc emocje: stanowisko PE to jeszcze nie prawo. Raczej czytelny sygnał: „musimy to zrobić" oraz presja na przyspieszenie działań. Dopiero teraz zaczną się negocjacje z ministrami środowiska państw członkowskich, a finalny tekst, być może łagodniejszy, powinniśmy poznać pod koniec czerwca. Na razie jedynym wyjątkiem od zakazu są firmy motoryzacyjne, które produkują do 10 tys. sztuk aut rocznie. W praktyce dotyczy to wyłącznie pojazdów luksusowych, a przepis bywa prześmiewczo nazywany „Ferrari Plus".

Samochody odpowiadają za 12 proc. emisji zanieczyszczeń w UE, w dodatku silnie trują miasta, szkodząc mieszkańcom. Koniec spalin jest nieunikniony, lecz nie nastąpi poprzez agresywną politykę Unii, tylko przez rozwój technologii. 13 lat to szmat czasu. Martwiąc się o dzisiejsze problemy aut na prąd, warto pamiętać, że w 2009 r. na targach w Tokio premierę miał pierwszy masowo dostępny elektryk na świecie, Nissan Leaf. 13 lat później już co dziesiąte sprzedane auto w UE jest w pełni elektryczne (gdyby doliczyć hybrydy, dostaniemy 19 proc.). Koncern Hyundai-Kia na długo przed głosowaniem w Brukseli zaplanował pełne przejście na elektryki do 2035 r., a wiele marek stawia sobie jeszcze ambitniejsze cele. Do 2030 r. z silników spalinowych planują zrezygnować m.in.: Ford, Mercedes, Renault, Alfa Romeo, Fiat, Lancia, Lexus, Opel, Peugeot, Volvo, Mini, Rolls-Royce (dane za Transport & Environment).

Rolą państw i Unii będzie sterowanie tym procesem. Wymuszenie jednego standardu ładowania, zaplanowanie sieci ładowarek na osiedlach, zadbanie o tych, którzy stracą pracę w fabrykach silników. Jeśli jednak Unii naprawdę zależy na obniżeniu emisji transportu, nie możemy po prostu wymienić jednego samochodu na drugi. Musimy wykluczonym komunikacyjnie zaproponować rozsądny i niskoemisyjny transport zbiorowy. Dziś największym sektorem transportu elektrycznego w Polsce jest kolej. Oby rozwijała się równie szybko, co napędzane prądem samochody. ©℗

KRZYSZTOF ZATYCKI / FORUM

Inflacja prześcignęła politykę monetarną

MAREK RABIJ

Za nami kolejna podwyżka stóp procentowych, tym razem do 6 proc. Przyznaję, że nie zajrzawszy uprzednio do źródeł, nie potrafię już odpowiedzieć na pytanie, ile było ich od początku roku. Pięć? Może sześć? Czy to zresztą ważne? Każdy, kto śledzi działania Narodowego Banku Polskiego – czy to w ramach obowiązków zawodowych, czy w trosce o stan swojego konta – zaczyna dostrzegać, że NBP nie kontroluje sytuacji w Polsce, a jedynym namacalnym rezultatem serwowanych przezeń podwyżek stóp procentowych jest coraz trudniejsze położenie kredytobiorców.

Inflacji na poziomie 13,9 proc. – bo do tylu dobiła w maju – nie było w Polsce od lutego 1998 r. Ile wyniesie pod koniec obecnego roku? Kilka miesięcy temu większość ekonomistów obstawiała najwyżej 12 proc., dlatego teraz oficjalnie formułują prognozy na najbliższe miesiące z wielką ostrożnością. W rozmowach kuluarowych pojawia się za to obawa, że na Gwiazdkę dostaniemy wskaźnik inflacji na poziomie 20 proc. Może nawet więcej.

NBP uspokaja, że z końcem roku zaczniemy obserwować hamowanie tempa wzrostu cen, ale to samo prezes Adam Glapiński obiecywał przecież parę miesięcy temu – mówiąc o połowie tego roku. Wskaźnik oczekiwań inflacyjnych, który wylicza GUS, od miesięcy utrzymuje się na rekordowo wysokich pułapach i nawet majowy spadek trzeba uznać za chwilowe wahnięcie, spowodowane chyba tylko tym, że konsumentom trudno wyobrazić sobie, iż może być jeszcze drożej. Benzyna za ponad 8 zł za litr, truskawki w szczycie sezonu po 15-17 zł za kilogram – rok temu większość z nas uznałaby taki scenariusz za kiepską dystopię.

Odbieramy właśnie tyleż bolesną, co sugestywną lekcję ekonomii, która pokazuje, że inflacja może mieć różnorakie źródła i nasilenie, ale poważnym problemem dla gospodarki staje się wtedy, kiedy większość konsumentów traci wiarę w to, że da się ją opanować w przewidywalnej perspektywie. Sprzedaż detaliczna w cenach bieżących w kwietniu 2022 r. była o 33,4 proc. wyższa niż w kwietniu 2021 r. – podał pod koniec maja GUS. To nowy rekord w historii tych statystyk, czyli od roku 2006. Część ekonomistów tłumaczy to zjawisko obecnością około 1,4-1,5 mln Ukraińców, którzy schronili się przed wojną w Polsce i wydają u nas swoje oszczędności. Może to jednak świadczyć również o tym, że kto może, ten właśnie próbuje pozbyć się gotówki i przyspiesza planowane inwestycje, bo „będzie tylko drożej". Dla gospodarki ten drugi scenariusz oznaczać może tylko jedno – nadchodzący kryzys. ©℗

Mówią o szwindlach, ale boją się przegrać

PIS MA JUŻ GOTOWY PROJEKT ustawy umożliwiającej przesunięcie wyborów samorządowych, tak by odbyły się pół roku po parlamentarnych, czyli dopiero wiosną 2024 r. Powody tej decyzji w syntetyczny sposób ujął wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki. Jego zdaniem ciężko byłoby zorganizować w tak krótkim czasie „dwie potężne operacje wyborcze". To na pewno sensowny argument (samorządowcy w większości ucieszą się z dłuższych rządów), tyle że o kolizji terminów wiadomo było już w 2018 r., kiedy Zjednoczona Prawica wydłużała ustawą kadencje samorządów do 5 lat.

Terlecki w wywiadzie dla polskatimes.pl narzekał też na to, że sąsiadujące kampanie trudno byłoby sprawnie rozliczyć i uniknąć finansowych błędów. „Nie wspomnę już o tym, że mogłoby dojść do rozmaitych szwindli" – stwierdził. Nie wiadomo, co marszałek miał na myśli, bo historia wyborów w III RP nie daje podstaw do takich podejrzeń. Gdy padają z ust ważnego polityka, brzmią jednak złowrogo.

W opinii większości komentatorów, PiS boi się tak naprawdę efektów porażki w wyborach do władz lokalnych, które wedle obecnego kalendarza poprzedzają te parlamentarne. W samorządach opozycja ma wciąż istotną przewagę (choć już nie taką jak kilka lat temu) i spin doktorzy Zjednoczonej Prawicy sądzą, że ewentualna klęska mogłaby wywołać kiepskie nastroje w strukturach partyjnych i elektoracie oraz osłabienie mobilizacji, to zaś pociągnęłoby za sobą kolejną przegraną.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Pan premier nie był chory

MICHAŁ OKOŃSKI

Jako polityk mogę pana oceniać, ale jako lekarz muszę pana zdiagnozować. Pan jest patologicznym kłamcą. Proszę o odroczenie obrad, dopóki premier Morawiecki nie podda się terapii" – powiedział w Sejmie Władysław Kosiniak-Kamysz i nie wiem doprawdy, co w tej sprawie najgorsze. Aplauz, z jakim posłowie opozycji przyjęli wystąpienie kolegi? Aprobata, z jaką cytowały je media? A może sam fakt, że lider PSL w trakcie politycznej polemiki postanowił opisać oponenta w kategorii deficytów zdrowotnych, w dodatku dotyczących sfery psychicznej, i że powołał się przy tym na autorytet zawodu, który wykonuje?

Niby mieliśmy w ostatnich latach wiele okazji, żeby się przyzwyczaić. „Nadużycia dotyczące osób z zaburzeniami psychicznymi w polskiej debacie publicznej stanowią szczególny rodzaj radykalizacji języka publicznego" – pisała Karolina Wigura we wstępie do przygotowanej w 2016 r. w biurze Rzecznika Praw Obywatelskich analizy podobnych zjawisk. „Świr", zachowania „schizofreniczne" albo „autystyczne", odsyłanie do „psychiatryka", mówienie o histerii, paranoi, obłędzie i szaleństwie polityków lub całych partii – przykładów już wtedy znalazło się sporo, choć żaden nie pochodził z ust człowieka z dyplomem medycznym. Każdy służył obniżaniu wiarygodności lub ośmieszaniu przeciwnika. Żaden nie brał pod uwagę tego, jak mogą się poczuć słuchające debaty osoby z zaburzeniami psychicznymi.

Wśród licznych omówień wystąpienia dr. nauk medycznych Władysława Kosiniaka-Kamysza tak naprawdę brakuje mi jednego: rzecznika odpowiedzialności zawodowej Okręgowej Izby Lekarskiej w Krakowie. ©℗

Zamiast zakazu – ogrodzenie

JUŻ PONAD 130 KM „zapory fizycznej" – jak państwowe komunikaty określają kilkumetrowej wysokości ogrodzenie mające zatrzymywać migrantów – stanęło wzdłuż granicy z Białorusią. Straż Graniczna utrzymuje, że całość ma być gotowa do 1 lipca. Tego samego dnia zostanie zniesiony zakaz przebywania w 183 przygranicznych miejscowościach, wprowadzony we wrześniu 2021 r. wraz z ogłoszeniem stanu wyjątkowego.

Zakaz uderzył głównie w dziennikarzy, lokalny biznes i organizacje pozarządowe niosące pomoc migrantom, którzy od roku, w ramach akcji zorganizowanej przez reżim Alaksandra Łukaszenki, nielegalnie przekraczali granicę z Polską. Od tego czasu co najmniej kilkanaście osób zmarło tu z wycieńczenia lub wychłodzenia, a polskim służbom również udowodniono nielegalne praktyki – wywożenie ludzi w trudny teren oraz narażanie ich na utratę zdrowia i życia. Po 1 lipca nadal nie będzie wolno zbliżać się do linii granicznej na odległość mniejszą niż 200 m. ©℗ ŻYM

KRAJ W SKRÓCIE

SKARGA, DYMISJA
Min. Michał Cieślak (na zdjęciu) podał się do dymisji po tym, jak Jarosław Kaczyński zapowiedział, że w przeciwnym razie zostanie odwołany. Wcześniej wybrany ze świętokrzyskiej listy PiS polityk Partii Republikańskiej napisał skargę na urzędniczkę poczty w Pacanowie, która w rozmowie z nim narzekała na panującą w kraju drożyznę i miała za to zostać zwolniona z pracy.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

KRADZIEŻ, KARA
„Te pieniądze zostały nam ukradzione" – skomentował Zbigniew Ziobro informacje o potrąceniu przez Komisję Europejską już ponad 300 mln zł z funduszy unijnych w związku z niewykonanym przez Polskę wyrokiem TSUE dotyczącym kopalni w Turowie.

FIASKO, STACJA
Fiaskiem skończyła się akcja „Blokujemy Orlen", zorganizowana w proteście przeciwko podwyżkom cen paliw: na niektórych stacjach, przed którymi zwoływano blokady, więcej było dziennikarzy niż manifestujących.

KLIMAT, ALERT
Burze i grad, porywy wiatru i obfite deszcze były przyczyną wielu lokalnych podtopień i zniszczeń upraw na terenie całego kraju. Ciąg dalszy nastąpi: w związku z nadciągającymi nawałnicami w chwili zamknięcia tego numeru „TP" 12 województw zostało objętych alertem RCB.

Obligacje dla wybranych

PREMIER postanowił zadbać o stan swoich finansów i uratować je przed wzrostem cen. Taki cel ma zazwyczaj kupowanie obligacji Skarbu Państwa, z których wiele jest indeksowanych inflacją. Oznacza to, że gwarantują brak realnych strat, choć jednocześnie zamrażają pieniądze na kilka lat. Nie wiadomo, na jakich warunkach dokonał zakupu Mateusz Morawiecki, gdyż nie wynika to wprost z jego oświadczenia majątkowego, jednak wartość obligacji może budzić podziw – to ponad 4,6 mln zł. Szef polskiego rządu zainwestował w ubiegłym roku w papiery skarbowe 97 proc. swoich oszczędności.

Operacja finansowa premiera spotkała się z krytyką opozycji, dla której jest to dowód na brak wiary Morawieckiego nie tylko w politykę NBP i RPP, kierowanych przez Adama Glapińskiego, ale nawet w politykę własnego rządu. Premier kupował bowiem papiery skarbowe w czasie, gdy szef banku centralnego naśmiewał się z ekonomistów wieszczących gwałtowne przyspieszenie inflacji. ©℗ KĘS

Polska nadal szlachetna

„MAJĄ PO JEDNEJ parze butów, w których przeszli najtrudniejszą drogę w życiu. Musieli uciekać z Buczy, zostawiając za sobą – świeży grób ojca i męża oraz dom rodzinny, a właściwie to, co z niego zostało" – to jedna z historii rodzin, które otrzymują pomoc z Solidarnej Paczki, specjalnej edycji Szlachetnej Paczki (wspierać akcję można na www.szlachetnapaczka.pl).

Z badań zrealizowanych przy tej okazji wynika, że w ciągu dwóch miesięcy spadł z 56 do 47 proc. odsetek Polaków pomagających uchodźcom. Wspierający najczęściej wybierali datki (niemal 50 proc.), nieco rzadziej zbiórki żywnościowe i odzieżowe (43 i 35 proc.). Spadł też – z 10 do 7 proc. – odsetek wolontariuszy. Pomimo nieznacznych obniżek, po niemal czterech miesiącach od wybuchu wojny tendencja do wspierania sąsiadów okazuje się trwała. ©℗ PW

MARKO DJURICA / REUTERS / FORUM

DZIESIĘĆ TYSIĘCY ukraińskich żołnierzy zginęło od początku rosyjskiej inwazji 24 lutego – powiedział Ołeksij Arestowycz, doradca prezydenta Zełenskiego. Na zdjęciu: rodzina i przyjaciele żegnają w sobotę 11 czerwca w Kijowie Iwana Czekaniuka, który zginął w bitwie o Siewierodonieck. Był weteranem wojny w Donbasie; w 2014 r. przeżył kocioł pod Iłowajskiem. Ostatnio służył w Aerorozwidce, zwiadzie powietrznym z użyciem dronów. Był też współwłaścicielem kijowskiej pizzerii Pizza BRO. „Poszedłeś walczyć za nasz pokój i spokój. (...) Płacimy wielką cenę za to, by móc normalnie żyć" – czytamy na stronie pizzerii. ©℗ WP / ESPRESO.TV, FB

Niemiecka tragikomedia omyłek i zmyłek

WOJCIECH PIĘCIAK

Im dłużej trwa rosyjski podbój Ukrainy, tym bardziej Olaf Scholz upodabnia się do Donalda Trumpa. Obu łączy skłonność do przedstawiania własnych wyobrażeń jako obiektywnej rzeczywistości. W świecie odczuwalnym Trumpa pokonał on Bidena w 2020 r., lecz ten ukradł mu zwycięstwo. W świecie Scholza mało kto pomaga z takim rozmachem Ukrainie, jak jego rząd. „Nikt nie dostarcza broni w tak wielkim zakresie jak Niemcy" – ogłosił kanclerz w minionym tygodniu, odwiedzając niemieckich żołnierzy na Litwie. No, może jeszcze parę innych krajów, jak USA. Na pytanie dziennikarza o powszechne w świecie (realnym) wrażenie, iż Niemcy się ociągają i wahają, Scholz odparł, iż jest „nieprawdziwe".

Traf chciał, że następnego dnia portal „Business Insider" dokonał przeglądu tego, co Berlin mógłby zrobić, gdy idzie o ciężką broń dla Ukrainy, a co zrobił. Wyszło, że nic. To, co obiecano, może uda się wysłać za wiele miesięcy (jak system obrony przeciwlotniczej, sztuk jeden). Nie funkcjonuje też *Ringtausch*: idea wielostronnej wymiany sprzętu, gdy np. Polska oddaje czołgi Ukrainie, a Niemcy przekazują jej za to własne. Jak słyszymy, polsko-niemieckie rozmowy tkwią w martwym punkcie, choć Warszawa nie oczekuje czołgów najnowszych. W miniony weekend ambasador Ukrainy w Berlinie stwierdził, że od 3 maja Niemcy nie dostarczyły Ukrainie w ogóle broni, nawet lekkiej; przekazały tylko kilka milionów sztuk amunicji. Ona też jest ważna, ale żeby nią strzelać, potrzebne są jeszcze armaty. Te niemieckie, w liczbie całych siedmiu, wciąż nie dotarły.

Między Trumpem a Scholzem jest jednak istotna różnica: o ile ten pierwszy ma za sobą rzeszę fanów, którzy wierzą mu na słowo, o tyle Scholzowi nie wierzą już chyba nawet jego współpracownicy. Jego mantra o „broni z Niemiec dla Ukrainy" jest już obiektem żartów w programach telewizyjnych.

Tylko co wynika z tego, że wszyscy widzą, iż Scholz jest nagi? Nic. To miłe, iż liczni politycy Zielonych i liberałów dystansują się od swego kanclerza, zapewniają o poparciu dla Kijowa i powtarzają zdanie, na które Scholz nie może się zdobyć – że „Ukraina musi wygrać". Koniec końców Zieloni i FDP ponoszą współodpowiedzialność za ten rząd i jego zaniechania. Jeśli traktują siebie poważnie, może powinni zmienić kanclerza? ©℗

Waszyngtoński sąd medialny

PRZED ZBLIŻAJĄCYMI SIĘ WYBORAMI do Kongresu Partia Demokratyczna chce dowieść, że Donald Trump zaplanował szturm na Kapitol. Tylko czy zwykłego Amerykanina to jeszcze obchodzi?

W czwartek 9 czerwca Amerykanie usłyszeli, jak Ivanka Trump przyznaje przed parlamentarną komisją, iż nie wierzyła w tezę ojca o sfałszowanych wyborach w 2020 r. Z kolei William Barr, były prokurator generalny, zeznał na oczach 20 mln telewidzów, że insynuacje wyborcze Trumpa to „zwyczajne bzdury". Szokujące były zeznania innych współpracowników: twierdzili, że 6 stycznia 2021 r. Trump nie tylko nie chciał powstrzymać szturmującego Kapitol tłumu, ale powtarzał za nim, że wiceprezydent Mike Pence „zasługuje na stryczek" (bo uznał zwycięstwo Bidena).

Po pierwszym publicznym przesłuchaniu w Kongresie wyłania się wizerunek Trumpa stojącego za próbą puczu. Nie jest jednak jasne, czy ustalenia komisji, niemającej uprawnień prokuratorskich, skłonią Departament Sprawiedliwości do postawienia go w stan oskarżenia. Na jego korzyść działa czas: wydaje się mało realne, że Trump usłyszy zarzuty, jeśli ogłosi wcześniej start w wyborach w 2024 r. Kryminalne zarzuty wobec Trumpa mogłyby też stworzyć groźny precedens: przyszłe administracje miałyby zielone światło do szukania haków na byłego prezydenta z opozycji.

Tymczasem prawica sugeruje, że przesłuchania mają odwrócić uwagę od inflacji i innych problemów kraju. Trudno nie przyznać, że obawiający się wyborczej porażki Demokraci chcą zyskać na transmitowanych w telewizji przesłuchaniach (do przygotowania ich medialnej oprawy zatrudnili byłego szefa telewizji ABC News, a dla przyciągnięcia widzów zaplanowali transmisję na późny wieczór). Może się jednak okazać, że dla wyborców nie jest tak istotne, co Trump zrobił ponad 500 dni temu. Ważniejsze dla nich wydaje się to, co robi albo czego nie robi jego następca.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

Nowe patronki pokoju

„BYŁY ŚWIADOME grożącego im niebezpieczeństwa, ale pozostały u boku starszych i chorych, którymi się opiekowały" – powiedział w niedzielę papież Franciszek o dziesięciu elżbietankach beatyfikowanych dzień wcześniej we Wrocławiu. Uroczystościom w Polsce przewodniczył kard. Marcello Semeraro, prefekt Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych.

Wspomnienie liturgiczne nowych błogosławionych – Marii Paschalis Jahn i dziewięciu Towarzyszek ze Zgromadzenia Sióstr św. Elżbiety – wyznaczono na 11 maja. Beatyfikowane zakonnice w 1945 r. mieszkały i pracowały na Śląsku. Nie ewakuowały się, chociaż wiedziały, jak okrutnie żołnierze radzieccy traktowali ludność cywilną w Prusach Wschodnich. Jak podkreślał w homilii metropolita wrocławski abp Józef Kupny, „tych dziesięć sióstr to tylko pewien symbol tego, co się wówczas działo, a samych zakonnic, które podzieliły losy nowych błogosławionych, można naliczyć ponad sto". Wiele sióstr czerwonoarmiści zamordowali podczas próby gwałtu (jak Marię Jahn), inne zostały wielokrotnie zgwałcone. Część zginęła, próbując ochronić ludzi, z którymi się ukrywały. Jak podkreślił papież, do morderstw doszło „w kontekście wrogim wierze chrześcijańskiej" (dlatego Kościół uznał, że doszło do męczeństwa). Podczas liturgii beatyfikacyjnej użyto kielicha mszalnego z klasztoru elżbietanek w Nysie, sprofanowanego przez żołnierzy radzieckich (używali go podczas posiłków, a potem do niego strzelali).

Abp Kupny jeszcze przed beatyfikacją jednoznacznie podkreślał związek historii dziesięciu sióstr z tragedią ofiar wojennych w Ukrainie: „W twarzach tych zamordowanych w czasie II wojny światowej zakonnic możemy dostrzec twarze kobiet i dzieci, ofiar agresji rosyjskich żołnierzy" – zauważył. Kard. Marcello Semeraro podczas liturgii mówił już tylko, że „ich męczeństwo przywodzi na myśl sytuacje, których doświadczamy dzisiaj w Europie", wspomniał też o „scenach dokonywanej przemocy, gorzkiego okrucieństwa, nieuzasadnionej nienawiści" – ale bez wskazania, gdzie do nich dochodzi i kto jest ich sprawcą.

Elżbietanki zachęcają, by do wstawiennictwa nowych patronek odwoływać się nie tylko w modlitwie o pokój, ale również w sytuacjach doświadczania przemocy fizycznej i psychicznej.

©℗ MACIEJ MÜLLER

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

Z TROSKĄ

W diecezjach powstaną szkoły katechistów, którzy poprowadzą katechezę w parafiach; uaktualnione zostanie „Dyrektorium katechetyczne", a biskupi zaproponują alternatywną formację religijną młodzieży, która wypisała się z lekcji religii. To pomysły na ratowanie katechezy z niedawnego zebrania plenarnego Episkopatu.

TANECZNIE

Po dwóch latach wznowiono „tańczącą procesję" do grobu św. Wilibrorda w katedrze w Echternach w Luksemburgu. Do marszowej muzyki granej przez tysiąc muzyków tanecznym krokiem pielgrzymowało 5,6 tys. pątników. Procesja wpisana jest na listę niematerialnego światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO.

NA POWAŻNIE

Saga J.K. Rowling doczekała się poważnego opracowania teologicznego. Pozycja „Harry Potter: lektura teologiczna" jest owocem badań przeprowadzonych na Papieskim Uniwersytecie Laterańskim przez ks. Gianlukę Bracalante. Książka została pozytywnie zrecenzowana w watykańskim „L'Osservatore Romano".

NA SPORTOWO

W Mistrzostwach małych krajów Europy w lekkoatletyce trzecie miejsce w biegu na 5 km zajęła Sara Carnicelli z klubu Athletica Vaticana. Biegaczka ma 27 lat i jest córką pracownika Watykanu. W mistrzostwach wzięło udział 17 państw.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Biskupi znów będą bezkarni?

ARTUR SPORNIAK

Przepisy pozwalające karać biskupów za zaniedbania w przypadkach wykorzystania seksualnego nieletnich przez księży – czyli słynne *motu proprio* „*Vos estis lux mundi*" (VELM), które tak dobrze sprawdziło się w Polsce – zostały wprowadzone przez Franciszka *ad experimentum* na trzy lata. Termin upłynął 1 czerwca. Nie wiadomo, czy to potrzebne prawo nadal obowiązuje.

– Skoro przepisy nie zostały wyraźnie odwołane, to obowiązują – uspokaja ks. Piotr Majer. Ekspert prawny Episkopatu powołuje się na kanon 20. Kodeksu prawa kanonicznego, który głosi: „Późniejsza ustawa uchyla wcześniejszą albo ją zmienia, jeżeli wyraźnie to postanawia". Do obecnej sytuacji ma zastosowanie zwłaszcza kanon następny, który mówi: „W razie wątpliwości nie domniemywa się, że ustawa poprzednia została odwołana". Co więcej, niedawna nowelizacja Księgi VI Kodeksu prawa kanonicznego wprowadza karę za niepowiadomienie o przestępstwie, gdy istnieje taki obowiązek (kan. 1371 § 6). – Jest to pośrednie odwołanie się do VELM – zauważa kanonista. Zdaniem ks. Majera Watykan przygotowuje prawdopodobnie nowelizację tej ustawy, gdyż biskupi byli pytani o sugestie zmian. – Nie byliby o to proszeni, gdyby papież chciał to prawo uchylić – zauważa.

Gdyby jednak Watykan zawczasu i jednoznacznie potwierdził obowiązywanie VELM-u, nie byłoby powodów do niepokoju. ©℗

Papież na wojnie

NOWE ŚWIATŁO NA STARY PROBLEM – postawę Piusa XII wobec Hitlera i Zagłady – rzuca właśnie wydana książka Davida Kertzera, amerykańskiego historyka, laureata nagrody Pulitzera, „The Pope at War. Secret History of Pius XII, Mussolini and Hitler".

Badając watykańskie archiwa, udostępnione w 2020 r. przez papieża Franciszka, autor dotarł do dokumentów nieznanych (np. o regularnych, tajnych spotkaniach Piusa XII z wysłannikiem Hitlera) lub skrzętnie cenzurowanych (antysemicki język Sekretariatu Stanu).

Pius XII nie był ani „papieżem Hitlera", jak powtarzają krytycy, ani cichym wybawcą Żydów, jak chcieliby jego obrońcy – dowodzi Kertzer. Papież Pacelli bał się nazizmu niemal jak komunizmu. Milczenie wobec niemieckich zbrodni wynikało z przyjętej zasady neutralności oraz strachu przed represjami, jakie mogą spaść na katolików. A głównym celem Watykanu było, owszem, uratowanie od śmierci jak najwięcej osób, ale chodziło o konwertytów i dzieci chrześcijańsko-żydowskich małżeństw. ©℗ EA

KULTURA W SKRÓCIE

ŚPIEWACZKI

Sopranistka Juliana Grigorian z Armenii zdobyła Grand Prix 11. Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki. Wyróżnienie przyznano po raz trzeci w 30-letniej historii konkursu. Nagrodę Publiczności i złoty medal otrzymała Nombulelo Yende z RPA.

REŻYSERKI

Dokument Zofii Kowalewskiej „Tylko wiatr" zdobył główną nagrodę Best Documentary Film na tureckim festiwalu TRT Belgesel Ödülleri. Koprodukcję dziewięciu państw, w tym Polski, „Aidę" Jasmili Žbanić nagrodzono z kolei Lux Audience Award przyznawaną przez Parlament Europejski i Europejską Akademię Filmową we współpracy z Komisją Europejską i siecią Europa Cinemas.

U CZAPSKIEGO

W Pawilonie Józefa Czapskiego w Krakowie otwarto wystawę prac XX- i XXI-wiecznej światowej awangardy ze zbiorów Jana Lubomirskiego-Lanckorońskiego. Wśród wystawianych artystów są m.in. Salvador Dalí, Joan Miró, Pablo Picasso czy Le Corbusier.

W DARŁOWIE

W nadmorskiej miejscowości powstał nowy szlak turystyczny. Mieszkańcy i przyjezdni są zachęcani do wędrowania po mieście śladami Leopolda Tyrmanda – na trasie usytuowano osiem rzeźb związanych z książką „Siedem dalekich rejsów", której akcja osadzona została w Darłowie.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

KRYSTIAN DOBUSZYŃSKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS

NIE DLA SŁAWY I NIE DLA PIENIĘDZY zaczęła w połowie lat 90. grać Molesta (na zdjęciu). Potrzeba podzielenia się doświadczeniem życia w „miejskim bagnie" sprawiła, że osiedlowe ekipy z warszawskiego Ursynowa i Jelonek, Kielc, Szczecina czy Łodzi szybko zyskały popularność wśród rówieśników. W ostatnią sobotę pionierzy polskiego rapu spotkali się na Bemowie, by w aranżacjach prowadzonej przez Radzimira Dębskiego orkiestry symfonicznej zagrać kawałki, które wychowały co najmniej dwa pokolenia Polaków. Zameldowali się m.in. Kaliber 44, Wzgórze Ya-Pa 3, Mor W.A, Fenomen, O.S.T.R. oraz ZIP Skład. ©℗ MOC

Historia naturalna kury: zwrot akcji

GLOBALNĄ POPULACJĘ KURY DOMOWEJ (*Gallus gallus domesticus*) oszacowano w 2020 r. na 33 mld osobników – co czyni z niej najbardziej rozpowszechnione zwierzę hodowlane. Mało wiemy o jej początkach. Część badaczy spekulowała, że do udomowienia mogło dojść ok. 8 tys. lat temu w Azji Południowo-Wschodniej, skąd zwierzę szybko rozpowszechniło się w Eurazji. Inni za kolebkę kury uznawali jednak Europę. W nowym świetle historię naturalną kury ukazuje artykuł Julii Best i współpracowników opublikowany w „Antiquity".

Naukowcy datowali kości kur z 23 stanowisk archeologicznych w Europie, północnej Afryce i zachodniej Azji, uznawanych za najstarsze w regionie. Większość kości okazała się o tysiące lat młodszych, niż dotąd twierdzono – pochodzą z początku pierwszego tysiąclecia p.n.e. To oznacza, że najstarsze, precyzyjnie datowane szkielety kur znajdują się w Chinach – zwierzęta złożono tam w ludzkich grobach pod koniec drugiego tysiąclecia p.n.e.

Co ciekawe, zbadane szkielety kur były w większości kompletne, a na kościach brakuje śladów nacięć. To może oznaczać, że początkowo kury traktowano w Europie jako zwierzęta egzotyczne. Zwyczaj zjadania filetów, skrzydełek i jaj miał się upowszechnić dopiero w czasach rzymskich. ©℗ ŁK

Przeciwciałem w raka

U 12 PACJENTÓW z rakiem gruczołowym jelita grubego, który nie dał przerzutów do odległych narządów, zastosowano jedną z przełomowych terapii immunologicznych – przeciwciało dostarlimab. Wyniki opublikowane w medycznym piśmie „NEJM" w ubiegłym tygodniu napawają optymizmem. U wszystkich zaobserwowano całkowitą remisję – brak cech nowotworu w badaniach obrazowych, endoskopowych i biopsji po minimum sześciu miesiącach obserwacji. Do czasu ogłoszenia wyników u żadnego z pacjentów nie zastosowano chemio- i radioterapii ani operacji chirurgicznej.

Dostarlimab to przeciwciało hamujące działanie receptora PD-1, obecnego na komórkach odpornościowych – limfocytach. Receptor ten, gdy połączy się z białkiem PD-1L, produkowanym przez komórki nowotworowe, nie pozwala limfocytom ich zniszczyć. To odkrycie zostało nagrodzone Noblem w 2018 r. i pozwoliło na stworzenie dostarlimabu, który angażuje własny układ immunologiczny pacjenta do walki z rakiem. Immunoterapia jest prężnie rozwijającą się gałęzią medycyny, która może sprawić, że nowotwór będzie chorobą znacznie częściej uleczalną, a w najgorszym razie przewlekłą. © BARTOSZ KABAŁA

TEMAT TYGODNIKA

WSZYSCY CHCĄ, KAŻDY INACZEJ

Partie opozycyjne są silniejsze od PiS-u, ale walczą głównie między sobą, a nawet wewnątrz własnych frakcji. Rządzącym dużo lepiej wychodzi uczenie się na błędach. Własnych i cudzych.

KAROLINA LEWICKA

Siedzieli razem, ale osobno: wzrok wbity w dal, marsowe oblicza, oszczędne interakcje. Liderzy PO, Polski 2050, Lewicy i PSL-u oraz prezydenci miast: Jacek Karnowski i Rafał Trzaskowski spotkali się przy okazji podpisywania porozumienia opozycji z ruchem samorządowym „Tak! Dla Polski" – jednak ewidentnie byli skrępowani swoim towarzystwem. By uniknąć dodatkowych zadrażnień, uzgodniono, że nikt nie poruszy jątrzącej sprawy list wyborczych. Kiedy spytałam Władysława Kosiniaka-Kamysza o ten brak chemii, przyznał, że wzajemne zaufanie nie jest stuprocentowe. Złe wrażenia po spotkaniu próbował zatrzeć wiceszef Polski 2050, Michał Kobosko, zamieszczając na Twitterze fotografię śmiejących się Tuska i Hołowni, którą opatrzył podpisem: „Na całe szczęście politycy opozycji, wbrew doniesieniom medialnym, mają ze sobą całkiem normalny, ludzki kontakt". Zapomniał, jak czytelna była podczas całego spotkania sprzeczność między werbalnymi komunikatami a mową ciała polityków.

– Nie trzeba być Sokratesem ani Einsteinem, by wiedzieć, że ryzyko wygranej PiS-u jest tym większe, im bardziej podzielona jest opozycja – klarował w Gorzowie Wielkopolskim Donald Tusk, orędownik jednej listy wyborczej do Sejmu, którą pozostali partnerzy odbierają bardziej jako próbę ich zwasalizowania niż jednoczenia opozycyjnych środowisk.

Dwóch premierów Platformy

3 lipca minie rok, odkąd były premier wrócił do polskiej polityki, ostatnio przestał też pełnić funkcję przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej, co każdego miesiąca wymuszało jego kilkudniowy pobyt w Brukseli. Bilans po tym roku jest właściwie taki, jaki był już po miesiącu: PO odzyskała tytuł lidera opozycji, ale nie ma widoków na samodzielne pokonanie PiS – dystans, który dzieli oba ugrupowania, to wciąż od kilku do nawet dziesięciu punktów procentowych. Niezmiennym celem PO jest magiczne, bo przysuwające PiS na wyciągnięcie ręki, 30 proc. w sondażach. Ostatniej jesieni Tusk zapowiadał taki wynik na koniec roku 2021, ale się nie udało.

– Winien temu był kryzys na granicy z Białorusią, a potem wojna w Ukrainie – tak niepowodzenia Tuska tłumaczy Bartłomiej Sienkiewicz, poseł Koalicji Obywatelskiej. Faktem jest, że po 24 lutego polska polityka na kilka tygodni uległa zamrożeniu. Tusk zorganizował dwa spotkania w konwencji medialnego eventu z byłymi prezydentami, szefami MON-u oraz wojskowymi, podczas których mówił o wojnie, ale wiadomo, gdzie był punkt ciężkości – przy tych, którzy mają władzę, czyli przy PiS-ie. Ostatecznie pod koniec marca szef PO postanowił udać się w podróż po kraju.

– Do Zduńskiej Woli, pięć tygodni po wybuchu wojny, jechaliśmy bardzo niepewni, czy już można, czy wypada, czy ta wizyta się przebije – mówi mi jeden z organizatorów trasy. Tusk spotkał się wtedy z ukraińskimi uchodźcami, ale mówił głównie o drożyźnie. Uznał, że nic bardziej nie szkodzi PiS-owi, który całe swoje polityczne jestestwo oparł na transferach socjalnych i obietnicy lepszego jutra, aktualnie unieważnianej przez inflację. Aż 30 proc. z nas – to wynik najgorszy od ponad dekady – prognozuje, że za rok będzie im się żyło gorzej. Politycy KO mają podbijać ten bębenek. Na wyjazdowym posiedzeniu klubu w Jachrance zdecydowano rzucić w teren wszystkich parlamentarzystów, w czerwcu ma się odbyć łącznie tysiąc spotkań.

– Te objazdy dają efekty wewnętrzne i zewnętrzne – przekonuje poseł PO Cezary Tomczyk. – Mają pozytywny wpływ na członków partii oraz gromadzą wokół szyldu KO naszych obecnych i potencjalnych wyborców.

GOLFX / ADOBE STOCK

Platforma chce zawalczyć o młodzież, tyle że to uruchamia od razu wewnętrzne napięcie na linii Tusk–Trzaskowski. Ogłoszona przez partię seria spotkań z młodymi w całej Polsce została odebrana przez środowisko prezydenta Warszawy jako konkurencja dla planowanej na koniec sierpnia drugiej edycji Campusu Polska Przyszłości. Co ciekawe, za partyjne zloty, tzw. Meet Upy, odpowiada posłanka Aleksandra Gajewska, która jeszcze kilka miesięcy temu ściśle współpracowała z Trzaskowskim (w kampanii w 2018 r. była wiceszefową jego sztabu i rzeczniczką kampanii, przed wyborami w 2020 r. kierowała pracą wolontariuszy, a w 2021 r. współorganizowała Campus), teraz jednak zbliżyła się do kręgu doradców Tuska.

Oficjalnie obaj politycy zaprzeczają plotkom o konflikcie, jednak nader często prowadzą dialog *via* media. Ostatnio były premier, pytany o to, w jakiej roli widzi Trzaskowskiego, bez wahania odparł, że ów powinien być prezydentem Polski. Wcześniej Trzaskowski oznajmił jednak, że mógłby wystartować w wyborach parlamentarnych (a nie samorządowych). I to tylko wtedy, gdyby „taki ruch przyczynił się do wypracowania szerszego porozumienia opozycji". O co chodzi?

– Sprawa jest prosta – mówi mi jego stronnik. – Rafał może startować do Sejmu tylko jako kandydat na premiera.

Polityczna grupa skupiona wokół Trzaskowskiego przekonuje, że to on ma lepsze niż Tusk relacje z liderami opozycji i wyżej zawieszony „szklany sufit", tzn. może pozyskać więcej wyborców niż borykający się z brakiem zaufania ponad połowy Polaków szef PO. Ale dla Tuska to nie ma znaczenia: dalej chce być premierem, Trzaskowskiemu zaś proponuje ponowną walkę o warszawski Ratusz, a w 2025 r. – zmierzenie się z kandydatem lub kandydatką PiS-u w wyborach prezydenckich. Przy czym jest mało prawdopodobne, by utemperowany w swych ambicjach Trzaskowski rzucił się do współtworzenia partii z Szymonem Hołownią, choć takie plotki krążą już w sejmowych kuluarach. Prezydent Warszawy nie zaryzykuje wizerunku zdrajcy w oczach elektoratu PO, a i sama Polska 2050 nie jest obecnie w szczytowej formie – Hołowni ubywa wyborców i brakuje pieniędzy. ↦

Częściowo sparaliżowany

Polskę 2050 popiera obecnie około 10 proc. wyborców. To mniej niż jeszcze na początku tego roku (notowano wtedy średnio 12,5 proc.), a w okresie ostatnich dwunastu miesięcy strata sięga połowy elektoratu. Partia, choć dopiero w marcu oficjalnie zarejestrowana, nie ma już efektu świeżości: Szymon Hołownia jest obecny na polskiej scenie politycznej od ponad dwóch lat, a swoją ekipę parlamentarną stworzył bynajmniej nie z sejmowych debiutantów.

Sytuacja skomplikowała się jeszcze po wybuchu wojny w Ukrainie: partii ubyło darczyńców, którzy przerzucili się na finansowanie pomocy dla uchodźców. Trudniej też Polsce 2050 utrzymać dotychczasową agendę, gdyż zagadnienia długofalowej modernizacji kraju, „Polski na pokolenie, nie na kadencję", zbladły w obliczu spadających za naszą wschodnią granicą rakiet. Do tego dochodzi napięcie między samą partią a think tankiem Strategie 2050.

Michał Kobosko zaprzecza, by był to ostry konflikt: – Nie mówię, że te relacje są sielskie. Wręcz przeciwnie, nasze rozmowy o programie bywają niełatwe i nie trwają pięć minut, bo ścierają się dwie, nie zawsze tożsame, perspektywy: polityczna i ekspercka. Ale uznajemy taki spór za wartość, a nie obciążenie. W innych partiach brakuje fermentu intelektualnego.

Podczas prezentacji w połowie maja najnowszego programu „Edukacja dla Przyszłości" Hołownia ogłosił przed pomnikiem Syrenki Warszawskiej start przygotowań swojego ugrupowania do wyborów. Jednocześnie odżegnywał się od jednej listy – ocenił, że jest „mało prawdopodobna" i „niewskazana". Na razie Polska 2050 planuje samodzielny start, a niechętnym okiem patrzy nie tylko na KO, ale i na propozycje wysuwane przez ludowców.

– PSL widzi nas w swoim obozie, ale my nie mamy zamiaru zapisywać się do Koalicji Polskiej – ucina Kobosko. Polska 2050 ma inną taktykę. Sukcesem partii było na pewno zebranie 11 czerwca wszystkich liderów na rozmowie o programie. Ostatecznie zaproszenie przyjął także długo trzymający partnerów w niepewności Donald Tusk, który sam nie jest zwolennikiem prac nad programem i uważa, że najpierw trzeba odsunąć od władzy PiS. To on, według politologa i historyka prof. Antoniego Dudka, jest głównym problemem Hołowni. Jak stwierdza Dudek w swojej najnowszej książce „O dwóch takich, co podzieliły Polskę": „Kiedy pojawił się przeciwnik poważniejszy niż Trzaskowski czy Budka, to Hołownia zaczął wyglądać na częściowo sparaliżowanego. Tak naprawdę od powrotu Tuska nie widziałem żadnego istotnego ruchu z jego strony (...) stał się mniej widoczny".

> Hołowni ubywa wyborców i pieniędzy. Od powrotu Tuska wygląda on na sparaliżowanego. W trudnych czasach Polacy szukają liderów ciężkiego kalibru.

Hołownia stracił też w rankingu zaufania, w maju spadł z czwartego miejsca na siódme, zmniejszyło się zainteresowanie nim w sieci, a jako kandydata na premiera spośród liderów opozycji wskazuje go, w sondażu dla „Rzeczpospolitej", tylko 11 proc. badanych (trzecie miejsce po Tusku i Trzaskowskim). Niewykluczone też, że „fajny", postpolityczny Hołownia nie pasuje do obecnych czasów: kiedy ludzie tracą poczucie bezpieczeństwa, poszukują liderów ciężkiego kalibru, a nie „chłopaka z sąsiedztwa". Jakby tego było mało, polaryzacja, na którą sukcesywnie grają i Tusk, i Kaczyński, będzie Polsce 2050 odbierać tlen w kampanii wyborczej. A jeśli partia obsunie się poniżej dwucyfrowego wyniku, ruszą procesy dekompozycyjne, które trudno będzie zatrzymać.

Ból głowy Zandberga

Lewica jest w lepszych nastrojach. Wiosną zaczęła rosnąć w sondażach i tym samym opuściła frustrujące sąsiedztwo progu wyborczego. Jej lider Włodzimierz Czarzasty wylicza kilka przyczyn tego odbicia, choć zastrzega, że to jego intuicja, bo dokładnych badań jeszcze nie ma. Decydujące miało być ustabilizowanie się sytuacji wewnętrznej w partii po głośnym konflikcie (zeszłej jesieni pięcioro parlamentarzystów, w tym dwoje senatorów, opuściło klub po konflikcie z Czarzastym, tym samym partia straciła całą swoją reprezentację w izbie wyższej) oraz zawieszenie broni z PO. Wcześniej Tusk oskarżał Lewicę o gotowość do współpracy z PiS-em, ale teraz te głosy umilkły. Czarzasty z Tuskiem zostali sobie nawet przedstawieni (wcześniej się nie znali).

– Zaczęliśmy być widoczni w terenie i sukcesywnie prezentujemy kolejne postulaty programowe – zaznacza Czarzasty. Ostatnio głośnym echem odbiła się konferencja na placu budowy mieszkań na wynajem we Włocławku, pod nośnym hasłem „Mieszkanie prawem, nie towarem". Lewica miała też, co pokazują jej wewnętrzne analizy socjologiczne, zyskać w oczach opinii publicznej dzięki apelom o obowiązkowe szczepienia przeciwko COVID-19. Część wyborców zaczęła wtedy postrzegać Lewicę jako ugrupowanie poważne i odpowiedzialne. Wcześniej nie pomagał jej, wbrew oczekiwaniom, ostry spór o aborcję i radykalne postulaty, w które zaangażowane były zwłaszcza posłanki tego ugrupowania. Zaszkodził natomiast słaby wynik Roberta Biedronia w wyborach prezydenckich, gorszy niż Magdaleny Ogórek pięć lat wcześniej.

Największe straty partia zaczęła jednak notować od maja zeszłego roku, po spotkaniu jej liderów z premierem Morawieckim w sprawie KPO. Negocjacje prowadzono za plecami reszty opozycji, a głosy Lewicy pomogły PiS-owi uratować koalicję z Solidarną Polską. Liderzy Lewicy długo utrzymywali, że było to działanie, którego oczekiwali wyborcy.

– Myliłem się – mówi teraz Czarzasty. – Sądziłem, że zostanie to uznane za działanie propaństwowe, które w perspektywie sześciu miesięcy przełoży się na pozytywny dla nas efekt sondażowy. Tymczasem przez rok notowaliśmy stratę.

Obecna średnia sondażowa to 9 proc., co zbliża Lewicę do Polski 2050. Oba ugrupowania przez najbliższe miesiące będą toczyć ze sobą walkę o pozycję trzeciej siły po stronie opozycji. Samodzielna szansa na wejście do parlamentu jest dla Lewicy kwestią być lub nie być, bo nikt nie chce się z nią sprzymierzyć.

– Nie wyobrażam sobie startu z Lewicą – mówi osoba z kierownictwa PO. – Wprawdzie oni chętnie dogadaliby się z nami już teraz, ale nasza strategia jest inna: albo pójdziemy wszyscy na jednej liście, albo każdy osobno.

Elektoraty PO i Lewicy są bardzo podobne, ten lewicowy jest tylko silniej antypisowski, co może wykorzystać

Donald Tusk, by oskubać Czarzastego i Biedronia z wyborców.

– Oprócz elektoratu Partii Razem, reszta jest do wyjęcia przez PO – uważa dr Mirosław Oczkoś, specjalista od wizerunku i marketingu politycznego. – Nie bez przyczyny Tusk rzucił właśnie hasło rozdziału Kościoła od państwa i legalnej aborcji do 12. tygodnia.

Ten ukłon w stronę lewicy nie zwabi jednak ani Adriana Zandberga, ani innych działaczy Partii Razem. Dla nich PO i PiS to w zasadzie „jedno zło".

Rozsądna alternatywa?

Jest jeszcze środowisko skupione wokół PSL. Ono jednak źle wspomina sojusz opozycji na wybory do Parlamentu Europejskiego w 2019 r., kiedy PiS uruchomił spór o LGBT, a przekaz opozycji zdominowały radykalne hasła. Ludowcy są dziś słabi, ale stale powtarzają – za swoim intelektualnym guru, prof. Aleksandrem Hallem – że jest wśród polskich wyborców zapotrzebowanie na opartą na chrześcijańskich korzeniach formację konserwatywną, partię „umiaru" i „rozsądku", alternatywę dla PiS-u i PO. To tezy z książki Halla „Anatomia władzy i nowa prawica", która silnie organizuje wyobraźnię kierownictwa PSL.

– Brakuje tego elementu – przekonuje mnie wiceprezes PSL i poseł do PE Krzysztof Hetman. – Nawet jeśli dwie największe partie zbiorą 70 proc. głosów, to i tak zostaje jeszcze do wzięcia 30 proc. tych, którzy nie odnajdują się w tym duopolu.

Na razie fiaskiem zakończyły się próby realnego poszerzenia Koalicji Polskiej, w skład której wchodzi PSL, Unia Europejskich Demokratów (Michał Kamiński i Jacek Protasiewicz) oraz konserwatyści (Marek Biernacki). Odtrąbiono więc jako sukces poszerzenie pozorne, o kanapowe „Centrum dla Polski", nową partię złożoną z byłych polityków PO, którzy już od dawna są w KP (Ireneusz Raś, Jacek Tomczak, Kazimierz Michał Ujazdowski). PSL rozmawia też z Jarosławem Gowinem, a Kosiniak-Kamysz gościł nawet na konwencji Porozumienia. Ale decyzji, czy brać Gowina i kilku jego polityków na listy KP, jeszcze nie ma.

– Wielu naszych działaczy nie jest przychylnych takiemu sojuszowi – mówi mi jeden z posłów PSL-u. – Ale nie chcemy pogubić osób, które zostały przy Gowinie.

Największym problemem jest sam były wicepremier. Scenariusz na dziś wygląda tak, że wystartuje do Senatu z Rzeszowa czy Lublina (w rodzinnym Krakowie mocno stracił na popularności), a opozycja nie wystawi mu konkurenta, choć nie będzie go też jakoś mocno wspierać.

> Trzaskowski i Tusk zaprzeczają plotkom o konflikcie, ale rozmawiają głównie przez media. Fotel premiera lider PO rezerwuje dla siebie.

– Jeśli zrobi dobrą kampanię, to na ścianie wschodniej ma szansę na mandat – twierdzi mój rozmówca. – Ale wszyscy obawiają się, co zrobi później, czy będzie wobec nas lojalny.

W ramach poszukiwań koalicjantów prezes ludowców spotkał się też z Pawłem Piskorskim, szefem Stronnictwa Demokratycznego, partii z politycznego marginesu. – Jednak propozycja współpracy, złożona przez prezesa PSL-u, zawisła w próżni – mówi Piskorski. Kosiniak utrzymuje, że spotkanie nie było wiążące. Dużo bardziej liczy na wspólną listę z Szymonem Hołownią, do której ten może być zmuszony, jeśli jego ugrupowanie znowu osłabnie. Plan dla ludowców idealny to centroprawicowy sojusz KP–Polska 2050–Porozumienie. I jeszcze PO zblokowana z Lewicą, bo to przesunęłoby centrowych wyborców ku ludowcom właśnie. Zgody PSL-u na jedną listę opozycji nie ma. Bo „odpowiedzią na monowładzę powinien być pluralizm" – tak mówi Waldemar Pawlak. Co ciekawe, z sondażu dla „Rzeczpospolitej" wynika, że startu opozycji z osobnych list najbardziej chcą... wyborcy PiS-u.

Na ratunek samorządy

– I to powinno liderom opozycji najbardziej dać do myślenia – komentuje prof. Mikołaj Cześnik z Uniwersytetu SWPS i Fundacji Batorego. Według socjologa jedyną drogą do pokonania PiS-u jest jedna lista wyborcza. – Jeśli dwie listy mają być skuteczniejsze od jednej, to musi oznaczać, że istnieje bardzo duża grupa wyborców, którzy nie zagłosują na jedną listę opozycji. Tyle że ja nie widziałem do tej pory badań, które udowadniałyby taką tezę.

Według Cześnika głównym problemem opozycji jest ignorancja i brak pokory: spin doktorzy PiS-u wciąż uczą się na własnych i cudzych błędach, dzięki czemu udoskonalają stosowane techniki, są pracowici i pokorni. Tymczasem politycy opozycji myślą w krótkoterminowej perspektywie i są pochłonięci walkami międzypartyjnymi lub wewnątrz frakcji i koterii. To sprawia, że pokonanie PiS-u, które nie powinno być tak trudne, wciąż nie może się ziścić.

W zwycięstwo wierzy jednak Jacek Karnowski, prezes skupiającego kilkuset samorządowców ruchu „Tak! Dla Polski" i zdeklarowany zwolennik jednej listy.

– Uważam, że jeśli będzie jedna lista, to wygramy, jeśli będą dwie, to może wygramy, a jeśli będzie więcej, to na pewno przegramy, i można się już nawet nie wysilać, tylko jechać na wakacje. Oczywiście, szanuję też pogląd tych, co uważają, że dwie listy będą lepsze dla zróżnicowanego elektoratu. Opozycja powinna przeprowadzić pogłębione badania we wszystkich okręgach na ten temat – mówi i szacuje, że w przypadku jednej listy startem z niej będzie zainteresowanych około trzydziestu samorządowców „z pierwszego szeregu". Jeśli jednak będą trzy listy lub więcej, to samorządowcy odpuszczą, bo „nie ma się co ośmieszać". – Matematyka jest nieubłagana, wiem, co mówię, jestem po Politechnice – dodaje.

Emocje wokół list tonuje dr Oczkoś: – Opozycja nie powinna teraz mówić o jednej liście, bo to wycina tożsamość. Niech każde ugrupowanie buduje narrację atrakcyjną dla ich wyborców, a wrócą do tematu na osiem-sześć miesięcy przed wyborami. Przecież ten polski bigos jest dopiero podgrzewany, wciąż mamy wiele niewiadomych, łącznie z tym, czy PiS zdecyduje się zmienić ordynację wyborczą.

Jeśli PiS stworzy 100 okręgów wyborczych do Sejmu w miejsce dotychczasowych 41, to opozycja nie będzie miała wyjścia: zjednoczy się lub zginie, gdyż taki system premiuje duże partie kosztem małych. Na razie jednak każde ugrupowanie usiłuje wypracować sobie najlepszą pozycję startową. Pozostaje pytanie, czy się przy tej okazji nie zadepczą.

© KAROLINA LEWICKA

Te skrzydła nie gwarantują lotu

JAROSŁAW FLIS, SOCJOLOG:

Stworzenie wspólnego bloku opozycyjnego jest obarczone wielkim ryzykiem. Pluralizm daje większe szanse na to, by pokonać PiS.

MAREK KĘSKRAWIEC: Kiedy w marcu próbowałem namówić Pana na rozmowę o polskiej polityce, uważał Pan, że na razie nie ma o czym mówić, bo wojna w Ukrainie unieważni obecne spory i nic już nie będzie takie samo. Mam wrażenie, że wszystko wraca do „normy". Rozejm w polityce już się skończył, o ile w ogóle zaistniał.

JAROSŁAW FLIS: Słyszałem opowieść rumuńskiej dziennikarki o dwóch tamtejszych partiach proputinowskich, które wzajemnie wytykają sobie uzależnienie od Rosji. Tymczasem w Polsce dwie wielkie partie antyputinowskie wyzywają się od sługusów Kremla. Zresztą kompletnie bezpodstawnie, ale nikomu to nie przeszkadza. W tym sensie rzeczywiście jesteśmy w starych koleinach.

Czyli mylił się Pan licząc, że wojna przyniesie opamiętanie naszym politykom?

Cóż, polska polityka jest jak budynki w Japonii, które są konstruowane tak, by przetrwać nawet ciężkie trzęsienia ziemi. Świat wokół się rozpada, mieliśmy pandemię o skali nieznanej w najnowszej historii, kryzys na granicy z Białorusią, szokujący wzrost cen, w tym energii, a na koniec brutalną wojnę w Ukrainie, podczas której wysłaliśmy przeciwko Rosji ponad 200 czołgów. To są wydarzenia bez precedensu. A tymczasem nasze życie publiczne trzyma się jak ten japoński wieżowiec: co najwyżej zaliczy trochę wstrząsów i wychyleń od osi.

Wciąż tego nie pojmuję. Mierzymy się z wyjątkowymi wyzwaniami, ale nawet wojna nie jest w stanie zmienić tej perspektywy?

Bo na te wyzwania każda strona patrzy inaczej, starając się je wpisać w swoją starą wizję świata.

Nikt nie lubi być zmuszany do zmiany zdania – najczęściej udaje, że nie stało się nic, co by do tego zmuszało. Poza tym nasi politycy już weszli w tryb kampanii. Choć do wyborów wciąż daleko, są nimi do tego stopnia zajęci, że brakuje im czasu na zdystansowane myślenie o wielkich wyzwaniach. Ale skąd wziąć na to czas, jeśli szef rządu jest niemal od dwóch lat w konflikcie z własnym ministrem i zupełnie nie wiadomo, kiedy ten konflikt się skończy? Podobnie z trwającą sześć lat reformą wymiaru sprawiedliwości – pochłonęła masę energii i nie rozwiązała żadnego problemu, jaki obywatele mają z sądami. Dodała tylko nowych.

W takim razie coś niedobrego dzieje się z polską opozycją, skoro PiS co chwilę mierzy się z jakąś katastrofą, ale nadal lideruje w sondażach. A może się mylę i jego przewaga wynika już tylko z tzw. efektu flagi, czyli skupienia się obywateli wokół władzy w ciężkich czasach?

Sprawdzałem sondaże w krajach europejskich, kiedy nasz kontynent opanowała pandemia. Wynikało z nich, że efekt flagi jest zjawiskiem dość przereklamowanym i w zasadzie dotyczy tylko krajów germańskich z przyległościami, takich jak Holandia, Niemcy, Wielka Brytania, Dania, Szwecja, a na dokładkę Irlandia z Finlandią.

W państwach romańskich i słowiańskich takiego zjawiska nie ma. Plemienne gromadzenie się wokół władzy nie należy do naszych odruchów. Nie uważamy, że na okoliczność wojny należy się rządzącym jakiś szczególny szacunek lub zaufanie.

To jeszcze gorsza wiadomość dla opozycji, skoro ani kataklizmy, ani kryzysy, ani systemowe łamanie prawa nie sprawiają, by Polacy odwracali się od władzy.

Nie przesadzałbym z tym fenomenem PiS. Patrząc na historię sondaży, nie widać, by poparcie dla partii Kaczyńskiego znacząco odbiegało od popularności PO w drugiej kadencji jej rządów. Widać natomiast wyraźnie, że najlepsze czasy, gdy PiS osiągał ponad 40 proc. poparcia, są już przeszłością.

A jednak konkurenci PiS wydają się być mocno przerażeni, skoro uważają, że tylko nadzwyczajny sojusz wszystkich partii opozycyjnych może wyrwać władzę z rąk Kaczyńskiego. Dla mnie ten nowy opozycyjny Front Jedności Narodu jest dziwaczny i będzie z konieczności godził wodę z ogniem.

Jedna lista to odpowiedź na pragnienia dużej grupy wyborców, którzy nie znoszą obecnej władzy z uwagi na jej toporność, niesprawność, generowanie konfliktów, fatalne podejście do prawa. Ci ludzie nie odwołują się do jakiejś konkretnej idei, ewentualnie są na przeciwnym biegunie wobec PiS – lewicowo-liberalnym. Uważają, że nie ma sensu się rozdrabniać, bo w obliczu PiS różnice między partiami opozycyjnymi są drugorzędne. Oni to traktują jak pojedynek, a w pojedynku zazwyczaj upodabniamy się do skutecznego przeciwnika. Jeśli jakieś metody przynosiły mu sukces, będziemy je w jakimś stopniu kopiować, nawet nieświadomie. Tak to czują nie tylko wyborcy, ale też spora część partyjnych działaczy.

I to może się sprawdzić?

Przypomina mi się dowcip z 1967 r. o trzech największych wodzach w dziejach ludzkości. Pierwszym miał być Kutuzow, który podpuścił Napoleona pod Moskwę i czekał na mróz. Drugim był Stalin, ten podpuścił Hitlera i też czekał na mróz. Trzecim zaś był prezydent Egiptu Naser, który podpuścił Mosze Dajana i Izraelczyków pod Suez. I on też czekał na mróz... Słowem, nie zawsze przenoszenie tych samych metod w różne środowiska, przy odmiennych okolicznościach, może przy-

nieść spodziewane efekty. Jeśli na naszej scenie totalna jedność ma sens, to bardziej w przypadku PiS i Zjednoczonej Prawicy, gdyż to środowisko może łowić na głębokich akwenach.

Co ma Pan na myśli?

W Polsce wyborcy o orientacji prawicowo-solidarnej, czyli konserwatywni, niechętnie patrzący na społeczne nowinki, mający za to poczucie wspólnoty religijnej i narodowej, dodatkowo popierający aktywną politykę gospodarczą państwa wobec obywateli – są liczni, stanowią około połowy społeczeństwa. Jeśli dodać do nich prawicowych obyczajowo, lecz liberalnych gospodarczo, to już ponad 60 proc. Oczywiście, wielu z nich nie akceptuje metod Kaczyńskiego i Ziobry ani nie uważa, że dla celów politycznych można łamać prawo.

Ale ogólnie większości Polaków ideowo bliżej do prawicy. W tym kontekście PiS-owi jest łatwiej. Lewicowo-liberalni wyborcy są o połowę mniej liczni.

Przeanalizujmy w takim razie pomysł jednej listy opozycyjnej, który forsuje dziś Donald Tusk. Czy w tak szerokim spektrum środowiskowym są jakieś wartości, które spajają je wewnętrznie, oczywiście poza stosunkiem do PiS? Obawiam się, że wielu wyborców zobaczy na tej liście osoby zupełnie nie ze swojej bajki.

Na pewno elektorat opozycji, który na wspólną listę głosował przy okazji wyborów do Senatu w 2019 r., jest o wiele mniej spójny niż wyborcy PiS, wśród których aż 87 proc. utożsamia się z hasłem: prawica.

Wyborcy opozycji składają się na feerię barw; w znaczącym stopniu reprezentowane są tu bardzo różne postawy ideowe: od lewicowo-solidarnej, przez lewicowo-liberalną i prawicowo-liberalną, na prawicowo-solidarnej kończąc. Tym samym, wracając do porównania z pojedynkiem, można łatwo dostrzec, że stosowanie w tak różnych okolicznościach podobnej strategii jak PiS, czyli pójście wspólnym blokiem – jest obarczone ogromnym ryzykiem. Opozycja ma bowiem dużo szersze skrzydła i istnieje niebezpieczeństwo, że na zakrętach część pasażerów będzie odpadać.

Na tej tęczy nie ma jednego, wyraźnego punktu zaczepienia, który dawałby gwarancję wspólnoty ideowej.

GRAŻYNA MAKARA

PROF. JAROSŁAW FLIS jest socjologiem, komentatorem politycznym, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Jagiellońskiego, stałym współpracownikiem „TP".

Upakowanie zbyt różnorodnej mozaiki na jednej liście może skończyć się porażką. I dlatego wymaga wybitnych talentów, pomysłów i determinacji. Ewentualnie obiektywnych reguł, które do tego zmuszają, czyli np. jednomandatowych okręgów w wyborach do Senatu, gdzie dwóch konkurujących ze sobą kandydatów opozycji może nieomal na pewno doprowadzić do zwycięstwa tego trzeciego – kandydata PiS. W takich okolicznościach opozycja powinna się dogadywać.

Z wyborami do Sejmu jest inaczej.

Tak, w okręgach walczy się o kilka mandatów, więc pluralizm ma większe szanse powodzenia. Ze zjednoczeniem jest ten problem, że ciężko będzie namówić zwolenniczkę Partii Razem, by zagłosowała na listę, na której znajdą się jakieś „konlibki", czyli politycy konserwatywno-liberalni. Tym bardziej że zapał do narzucania swojej wizji świata jest na lewicy tak ogromny, jakby miała za sobą 80 proc. społeczeństwa, a nie osiem.

Jest też obawa w drugą stronę, że konserwatywny zwolennik opozycji będzie wolał zagłosować na listę PiS lub w ogóle zostać w domu, niż przyczynić się do wyboru radykalnego działacza lewicowego. I jest też możliwość, że pojawi się ktoś, kto po takich zagubionych wyborców sięgnie i zagra o rolę trzeciej siły.

Mieliśmy już wiele takich przykładów: Leppera, Kukiza, Petru, Palikota. Gdzie oni zazwyczaj znajdowali wyborców?

Trzecia siła dużo więcej może złowić w akwenie zajmowanym przez opozycję niż przez PiS. Tak się stało m.in. w ostatnich wyborach senackich, gdzie opozycja straciła ok. 10 mandatów na rzecz PiS, bo pojawił się ktoś trzeci.

Ogólnie rzecz ujmując, istnieją dwa sposoby na dopływ dodatkowych wyborców: przekonywanie tych, którzy się wahają, na kogo głosować, oraz mobilizacja tych, którzy niechętnie idą do urn, lecz jak już idą, to wiadomo, na kogo zagłosują. To ostatnie uzyskuje się, wzmagając polaryzację życia publicznego. Wtedy ktoś, kto zazwyczaj nie uczestniczy w wyborach, bo orientowanie się w subtelnych różnicach go nie interesuje, pojawia się jednak przy urnie, bo czuje się zagrożony którąś z politycznych sił.

A drugi sposób na łowienie wyborców?

Dotyczy ludzi wyrażających subtelniejsze poglądy i rozpatrujących szczegółowo różnice ideowe. I tu zachodzi ciekawa zależność. W państwach o dość nieustabilizowanej sytuacji politycznej frekwencja spada zarówno wtedy, gdy liczących się partii jest za dużo, jak i wtedy, gdy jest ich za mało. Jak jest za mały wybór, to wysublimowany wyborca nie może znaleźć kogoś, kto mu się naprawdę podoba. Jak wybór jest zbyt duży – rodzi się wrażenie chaosu i brak przekonania, że wybory naprawdę coś mogą zmienić. To też może zniechęcać do pójścia na wybory.

Mówiliśmy o możliwym zwarciu między działaczami Razem i PSL, ale może tak naprawdę to problem tylko dla koneserów. W sumie większość partii opozycyjnych nie obnosi się ze szczegółami swych programów i tak naprawdę nic istotnego ich nie różni.

Podam nawet przykład. Jedni widzą Hołownię jako umiarkowanego katolika, ↦

↦ inni postrzegają go jako nową lepszą lewicę, przekreślającą duopol PiS–PO, kolejni jako nową lepszą Platformę albo taki „miejski PSL", partię demokratyczną, a nie wodzowską.

Czy to znaczy, że Polska 2050 ma niespójny przekaz?

Dlaczego? Przecież lepiej przygarniać wszystkich, niż zaznaczać wyraźnie, z kim nam nie po drodze. Swoją skuteczność ma przekaz bezpieczny – i nie dotyczy to tylko Hołowni – odwołujący się do sprawności rządzenia, kompetencji, z główną ideą: „my nie będziemy tak kraść jak oni". Czasem ważne ideowe wybory mogą być kłopotem. Ciężko byłoby np. ustalić dziś w ramach opozycji konsensus w kwestii aborcji.

To może Donald Tusk ma rację, że tak usilnie broni się przed ogłaszaniem programu i nie chce powiedzieć, jak będą wyglądać ewentualne ponowne rządy PO? Bo zaczną się pytania, wątpliwości. Jedna lista jest konsekwencją takiego myślenia.

Różnie można na to patrzeć. Można wrzucić wszystkich do jednego worka, ale można też na początek zrobić dwie listy i się policzyć. Jedna byłaby bardziej radykalna i dążyłaby do tego, by po czasach PiS przesunąć wajchę w drugą stronę. Druga pragnęłaby zatrzymać wajchę w połowie.

Gdzie na tej mapie jest PO? Mam wrażenie, że ona niby chce być w środku, ale coraz bardziej kokietuje elektorat lewicowy i ostro wychyla wajchę.

Z tym się wiąże poważny problem Platformy. Kiedy rządziła, jej elektorat był w sporej mierze prawicowo-liberalny i dlatego np. PO broniła kompromisu aborcyjnego. Dziś elektorat partii przesunął się w lewo, ale nadal całkiem istotna jego część stoi tam, gdzie była przed laty. I dlatego nie rozumiem, dlaczego PO przesuwa się w lewą stronę. Z punktu widzenia całej opozycji to jest kanibalizm. Obgryzanie Lewicy z wyborców nie ma sensu, gdy się za absolutny priorytet uważa walkę z PiS.

> Skuteczny jest przekaz bezpieczny, odwołujący się do sprawności rządzenia, kompetencji, z główną ideą: „my nie będziemy tak kraść jak oni". Ważne ideowe wybory mogą być kłopotem.

Ale może Tusk gra na anihilację Lewicy?

Jeśli będzie tak grał na scenie, by przejmować elektorat lewicowy, to mu reszta umiarkowanie prawicowych wyborców zniknie. Ten rachunek się nie spina. Dramatem PO jest to, że zgubiła swoich kluczowych wyborców i nie wie, jak ich odzyskać. Raczej nie wierzę, że prawe skrzydło zacznie im odrastać tylko dlatego, że lewe już jest duże.

Wspomniał Pan o obgryzaniu Lewicy. Platforma Tuska ostrzy sobie zęby również na Polskę 2050 i na PSL.

To prawda i dlatego podstawowym pytaniem do PO jest: czy potrafi traktować mniejsze partie podmiotowo. To też problem samego Tuska, który nie toleruje przy sobie silnych osobowości. Pozbył się wielu z tych, którzy tworzyli podstawy ideowe Platformy: Olechowskiego, Płażyńskiego, Rokity, „przystrzygł" Zdrojewskiego. Teraz ma problem z Trzaskowskim.

To nie budzi zaufania u partnerów w opozycji.

Mogą się bać, że zostaną zrzuceni z sań na pierwszym wirażu. Lider PO nieraz dawał dowód na to, że potrafi się bez sentymentów rozstawać ze współpracownikami.

U Tuska dochodzi jeszcze jedno. On nie jest szorstkim typem jak Kaczyński, który nie zabiega, by go lubiano, i nawet nie udaje, że szanuje prezydenta Dudę. Z nim się negocjuje bez zbędnych złudzeń. Natomiast Tusk wyrobił sobie pozycję trochę czarusia, trochę manipulatora. Z takim wizerunkiem ciężko wzbudzić zaufanie, bo każdy szuka drugiego dna.

Rozmawiamy o opozycji, ale nie mogę się powstrzymać od pytania, w co gra Zbigniew Ziobro. Czy w końcu nie przelicytuje?

On gra w to, w co umie, a umie eskalować konflikty. Jest w tym sobą. Może się to skończyć marnie i zostanie mu tylko udzielanie wywiadów „Gazecie Polskiej", ale może też być tak, że PiS się w końcu posypie i Ziobro wjedzie na salony prawicy na białym koniu. Nawet jeśli będzie to już skromny salonik.

Ostatnie pytanie. Bardzo jest źle w tej naszej polityce?

Jak się spojrzy na kraje w naszej okolicy, to każdy ma jakieś poważne problemy wewnętrzne. Najbardziej stabilnie jest na Węgrzech, ale nie wiem, czy to kierunek atrakcyjny dla Polski.

©℗ Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY

Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KSIĄŻKI W TYGODNIKU

specjalnie dla WYDAWCÓW i instytucji kultury!

Nadchodząca jesień w „Tygodniku Powszechnym" pełna będzie literackich odniesień. Kolejna edycja Festiwalu Conrada oraz jubileuszowe 25. Targi Książki w Krakowie to dwa ważne punkty w kalendarzu wszystkich miłośników dobrej książki, które zagoszczą na naszych łamach. W październiku wydamy obszerny **magazyn literacki**, w którym znajdą się m.in. zapowiedzi i recenzje nowości książkowych, wywiady z autorami, eseje o literaturze.

Zapraszamy wydawnictwa, księgarnie oraz organizatorów wydarzeń literackich do obecności na łamach „TP" oraz w serwisie TygodnikPowszechny.pl/ksiazki.

Kontakt: **literacki@tygodnikpowszechny.pl**
lub telefonicznie **Anna Pietrzykowska 602 590 416**.

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Napisz sobie słowa te

„I rzekł Wiekuisty do Mojżesza u góry Synai tak: »Oświadcz synom Israela a powiedz im, gdy wnijdziecie do ziemi, którą oddaję wam, wtedy obchodzić ma ziemia Sabbat Wiekuistemu«" (Kpł 25, 1-2). Przykazanie o roku szabatowym na górze Synaj? Czy tam nie zostało dane tylko Dziesięć Przykazań? Otóż nie. Według tradycyjnego podejścia Izrael otrzymał na górze całą Torę. Dziesięć przykazań to po hebrajsku „dziesięć wypowiedzeń" (por. z gr. *Dekalog*) – stanowią one ogólne warunki synajskiego przymierza i mieszczą się w nich wszystkie przykazania, których symbolicznie jest 613. Ponadto na Dekalog składa się 620 liter, co odpowiada owym sześciuset trzynastu plus siedmiu przykazaniom, które „dołożyli" rabini (np. zapalanie świec szabatowych czy odmawianie błogosławieństw).

Wróćmy do naszego wersu. Midrasz zastanawia się, co szczególnego łączy szemitę z górą Synaj – przecież wszystkie przykazania zostały nadane właśnie tam. Na podstawie sformułowania w tym wersie autor midraszu dochodzi do wniosku, że tak jak wszystkie przepisy dotyczące roku szabatowego zostały ogłoszone na Synaju, analogicznie było z innymi przykazaniami. Jeden z komentatorów formułuje tę myśl tak: Wszystkim przykazaniom danym Mojżeszowi na Synaju towarzyszyło ich ustne wyjaśnienie, zgodnie z wersem: „I rzekł Wiekuisty do Mojżesza: »Podejdź ku Mnie na górę, i zostań tam; a dam ci tablice kamienne z nauką [hebr. *Tora*] i przykazaniami«" (Wj 24, 12). „Tora" to Pismo Święte, zaś „przykazanie" – jego ustne wyjaśnienie, czyli Tora Ustna.

Późny midrasz jeszcze rozszerza dar synajski. Kiedy Święty, Błogosławiony On, dawał Torę Mojżeszowi, podał kolejno: Pismo, Misznę (pierwszą część Talmudu), agadę (opowieści) i Talmud (czyli jego drugą część) – według wersu: „I wygłosił Bóg wszystkie słowa te" (Wj 20, 1) – nawet to, o co zaawansowany uczeń zapyta [w przyszłości] swojego nauczyciela. Najwyższy rzekł do niego: idź i „naucz jej synów Israela" (Pwt 31, 19). Mojżesz na to: Panie Wszechświata, Ty spisz to dla Twoich dzieci. Na to Bóg: chciałbym to dać na piśmie, ale jasne jest dla Mnie, że w przyszłości narody świata będą nad nimi panować i im Ją zabiorą, a wówczas Moje dzieci będą jak inne narody. Wtedy Mojżesz zaproponował, by dać Pismo w formie pisanej, zaś agadę, Misznę i Talmud ustnie. „Rzekł Wiekuisty do Mojżesza: »Napisz sobie słowa te...«" (Wj 34, 27) – to odnosi się do Pisma, „bo według słów tych..." (tamże) – to zaś do Miszny i Talmudu, które wyróżniają Izraela od innych narodów. Zupełnie jak w tym starym dowcipie odmalowującym hipotetyczną synajską rozmowę Najwyższego z Izraelem: „Mam dla was Torę". „A ile to kosztuje?" „Nic". „To poprosimy dwie" [Pisaną i Ustną]. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Mój krzyż

Co, a patrząc w świetle Ewangelii raczej: kto jest tym krzyżem? Pierwsza odpowiedź, jaka się nasuwa, brzmi: jest nim wszystko, co człowiekowi zatruwa życie. Począwszy od bólu zębów, a skończywszy na cierpieniach powodowanych przez głód, wojny, prześladowania i wypędzenia. Kiedy coś z tego na człowieka spadnie, zaczyna zerkać w kierunku Boga w nadziei, że go wybawi z tych opresji, a kiedy nic to nie pomoże, oburza się na Boga i wreszcie się z Nim rozstaje. Po co taki Bóg, przecież wszechmocny, który bezradnie patrzy na cierpienia milionów swoich dzieci? Co to za Bóg, który mógł stworzyć świat na swoją miarę, a tymczasem na swoje i świata nieszczęście stworzył coś takiego jak *homo sapiens*, który skutecznie dewastuje Jego dzieło? Wreszcie, dziwny jest ten ktoś, zwany Bogiem, który zaczyna interesować się człowiekiem dopiero wtedy, gdy się Go o to ładnie poprosi, ubłaga i zjedna niekończącymi się modłami, procesjami i ofiarami.

Mówią nam przecież, że Bóg lubi, jak się Go prosi. Jednak zgłaszając te i inne pretensje do Boga, zapominamy, albo nie chcemy pamiętać, o Jezusie, a On mówi: „Jeśli ktoś chce iść za Mną, niech się wyprze samego siebie, niech codziennie bierze swój krzyż i niech Mnie naśladuje. Bo kto chce ocalić swoje życie, straci je; a kto straci swoje życie z mojego powodu, ten je ocali. Jaka z tego korzyść dla człowieka, jeśli zdobędzie cały świat, a siebie samego zatraci albo skrzywdzi?". Ta wypowiedź brzmi jak przestroga. Wynika z niej, że Jezus nikomu nie obiecuje łatwego życia, nie zapewnia, że ma dla nas cudowny plan i jeśli podejmiemy się jego realizacji, sprawi, że wszelkie tak zwane nieszczęścia będą nas omijać szerokim łukiem. Nic z tego, kalendarz liturgiczny Kościoła i historia przeczą takim nadziejom.

A praktycznie: może np. przed maturą, zamiast mnożyć modły o szczęśliwy przebieg i pomyślny wynik tego egzaminu, bardziej ewangelicznie będzie „wziąć krzyż", to znaczy przyłożyć się do nauki? A jeśli mimo to nie zdam, to już na zapas trzeba Boga prosić o odwagę zmierzenia się z tą klęską: żebym umiał przyjąć ten niesprawiedliwy cios, nie poddał się chęci zemsty, nienawiści, nie opuścił rąk, a przeciwnie, już teraz pomyślał o alternatywnych rozwiązaniach.

Bywają jednak wydarzenia niepomiernie boleśniejsze, jak nagła śmierć kogoś najbliższego. Pada wtedy pytanie: Boże, dlaczego mnie to spotkało? A dlaczego nie? Czyżby Bóg chrześcijan działał po znajomości? Otóż krzyżem, o którym mówi Jezus, jest miłość, czyli życie w Jego stylu, gdzie „wyprzeć się samego siebie" nie równa się samoudręczeniu, nie oznacza bycie ofiarą, ale, jak mówi papież Franciszek, darem: „Ślubuję ci miłość"... ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Na służbie relacji

Modlitwie właściwy jest stan beznamiętności, który z najwyższą miłością porywa na duchową górę umysł rozkochany w mądrości.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Gdy człowiek wierzący w Boga rozgląda się i pyta: „Skąd to wszystko?" (...) sednem tego pytania jest wyrażenie pewnej tęsknoty.

LUDWIG WITTGENSTEIN

W „Kazaniu na górze" Jezus uczy nas nie tylko bardziej wymagającej moralności, ale także właściwie rozumianej moralności. Przykład? Nauczanie na temat nierozerwalności małżeństwa.

„Powiedziano: Jeśli ktoś chce oddalić swoją żonę, niech jej da list rozwodowy. A Ja wam powiadam: Każdy, kto oddala swoją żonę – poza wypadkiem nierządu – naraża ją na cudzołóstwo" (Mt 5, 31-32). W łacińskim przekładzie św. Hieronima Jezusowa wypowiedź brzmi o wiele mocniej, nie: „naraża ją na cudzołóstwo", lecz „sprawia, iż ona cudzołoży" (*facit eam moechari*). Hieronim idzie tu wiernie za greckim tekstem, i to w dwóch elementach: po pierwsze, dosłownie oddaje pierwsze znaczenie czasownika *poiéo* (robić, czynić, sprawiać); po drugie, słowo „cudzołożyć" zapisuje w formie biernej, a nie czynnej (*moechari*, a nie *moechare*) – i tak też jest w greckim oryginale. Jakby chciał powiedzieć, że oddalona kobieta bardziej pada ofiarą cudzołóstwa, niż jest jego sprawczynią i inicjatorką. Jej odpowiedzialność za grzech jest mniejsza niż męża, który ją od siebie odesłał – to on jest sprawcą jej grzechu.

Takie stwierdzenie może pewnie w wielu odbiorcach budzić opór albo przynajmniej wątpliwość: Jak to? Przecież odesłana kobieta pozostaje wolna. Jej były mąż do niczego jej nie zmusza. Nie może ponosić odpowiedzialności za jej przyszłe czyny, na które nie ma wpływu. Poza tym wszystko dokonało się zgodnie z prawem. Mąż postąpił tak, jak dopuścił Mojżesz (zob. Pwt 24, 1nn).

No właśnie. A może Jezus chce nam powiedzieć, że w naszej moralności liczy się nie jedynie – i nie przede wszystkim – odniesienie do prawa? Ważniejsze, i rozstrzygające, jest odniesienie do osoby. Tak, „byłeś w prawie" uczynić to, co uczyniłeś (nie złamałeś prawa, postąpiłeś zgodnie z jego postanowieniami). To cię jednak nie zwalnia z odpowiedzialności za osobę, której twoje działanie dotyczyło. W szczególności: odpowiadasz za czyny kogoś, kogo porzuciłeś – jesteś sprawcą jego czynów.

Prawo jest ważne i dobre. Ale nie wystarczające. Jest na służbie właściwych relacji między osobami (Osobami) – wtedy jest sensowne. Nie powinno być przestrzenią ucieczki i egoistycznego zwolnienia się z odpowiedzialności, wedle modelu: „Co mnie to obchodzi? Ja jestem w porządku". ©

CZYTANIA LITURGICZNE (19 – 26 VI)

12. niedziela zwykła:
Za 12, 10-11. 13, 1; Ps 63;
Ga 3, 26-29; Łk 9, 18-24;
Poniedziałek:
2 Krl 17, 5-8. 13-15a. 18;
Ps 60; Mt 7, 1-5;
Wtorek: 2 Krl 19, 9b-11. 14-21. 31-35a. 36;
Ps 48; Mt 7, 6. 12-14;
Środa: 2 Krl 22, 8-13. 23, 1-3;
Ps 119; Mt 7, 15-20;
Czwartek, Uroczystość narodzenia
św. Jana Chrzciciela: Jr 1, 4-10;
Ps 71; 1 P 1, 8-12; Łk 1, 5-17;
Piątek, Uroczystość Najświętszego Serca
Pana Jezusa: Ez 34, 11-16; Ps 23;
Rz 5, 5b-11; Łk 15, 3-7;
Sobota: Iz 61, 9-11;
Ps: 1 Sm 2, 1. 4-8; Łk 2, 41-51;
13. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 16b. 19-21;
Ps 16; Ga 5, 1. 13-18; Łk 9, 51-62.

Wybrał PIOTR SIKORA

OD MOŻE DO MORZA

Marzenie o silnej Polsce nad Bałtykiem od wieków towarzyszy naszej myśli politycznej, ale nigdy nie nabrało realnego kształtu. Teraz historia przyspiesza. Czy znów przegapimy szansę?

MAREK RABIJ

KAROLINA MISZTAL / REPORTER

W ZASADZIE NIC NIE ULEGŁO ZMIANIE. Zatokę Botnicką, najdalej na północ wysuniętą część Bałtyku, od jego południowych rubieży w Zatoce Gdańskiej nadal dzieli w linii prostej ok. 1,3 tys. km. Średnie zasolenie morza wciąż oscyluje w przedziale 7-8 promili, dno najczęściej nie znajduje się głębiej niż 50-60 m poniżej lustra wody, a w trakcie nurkowania łatwiej trafić tu na stary wrak lub zatopioną amunicję niż na dużą ławicę ryb. Linia brzegowa Bałtyku liczy ponad 8,1 tys. km, przebiega przez dziewięć państw, a w jej bezpośredniej bliskości mieszka i pracuje dziś blisko 100 mln Europejczyków dysponujących statystycznie jedną z najwyższych sił nabywczych w Unii Europejskiej.

A jednak nic nie jest tu jak dawniej. 17 maja Szwecja, posiadaczka jednej z najnowocześniejszych flot marynarki wojennej w Europie, oraz Finlandia, dysponująca licznymi wojskami lądowymi i chyba najsprawniejszym systemem mobilizacyjnym globu, złożyły formalny wniosek o członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim. Procedura ratyfikacji potrwa jeszcze wiele miesięcy i pewnie będą jej towarzyszyć polityczne dramy w wykonaniu Turcji lub innych członków sojuszu, którzy spróbują jak najdrożej sprzedać swoje „tak" dla rozszerzenia. Kiedy jednak do niego już dojdzie – bo nic nie przemawia za tym, by wnioski Szwecji i Finlandii miały

Przygotowania do spotkania ambasadora USA z załogą amerykańskiego niszczyciela USS „Gravely" cumującego w Gdynii. 7 czerwca 2022 r.

natrafić na twarde „nie" – Bałtyk stanie się wewnętrznym akwenem NATO.

Strachy na Bałty

W wymiarze geopolitycznym trudno nazwać to inaczej niż trzęsieniem ziemi, bo od końca II wojny światowej Rosja uważała basen Morza Bałtyckiego za swoją strefę wpływów. Jeszcze w 1989 r. to Moskwa dyktowała *status quo* od Wysocka w Zatoce Fińskiej aż po niemiecką Lubekę. Główną bazą radzieckiej Floty Bałtyckiej był Tallin, okręty pod czerwoną banderą stacjonowały też w Rydze i Kłajpedzie, a turystów na plaży w Kołobrzegu płoszyły przelatujące tuż nad wodą MIG-i z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach, startujące z sowieckiej bazy w pobliskim Bagiczu.

Polityczna i militarna neutralność Finlandii i Szwecji czyniła z Bałtyku niemal ↦

akwen wewnętrzny ZSRR. Po rozpadzie Związku Sowieckiego i wejściu Polski oraz krajów bałtyckich do NATO hegemonia Moskwy w regionie uległa osłabieniu, ale nawet kontrolując tylko 400 km bałtyckiej linii brzegowej Kreml nadal nie miał nad Bałtykiem realnej przeciwwagi.

Wejście Szwecji i Finlandii do NATO – jak podkreśla gen. Mirosław Różański, były głównodowodzący Rodzajów Sił Zbrojnych Wojska Polskiego – przyniesie Moskwie brzemienne w skutkach konsekwencje geostrategiczne. Po pierwsze, znacząco straci na znaczeniu jej polityczny straszak, jakim była do tej pory wizja ataku na przesmyk suwalski, co skutkowałoby z kolei odcięciem krajów bałtyckich od NATO-owskiego podbrzusza Europy Środkowej. Gdyby do tego doszło po rozszerzeniu NATO, Litwa, Łotwa i Estonia nadal miałyby za plecami sojuszników. Z chwilą akcesji szwedzkie i fińskie radary oraz stacje nasłuchowe zostałyby przecież wpięte do sojuszniczego systemu ostrzegania. W efekcie, jak podkreśla generał, NATO zacznie zaglądać Rosji w okna już nie z jednej, a z trzech stron.

Sojusz już teraz ostentacyjnie sygnalizuje Moskwie zmianę reguł gry. W ćwiczeniach BALTOPS22, które potrwają do 17 czerwca, bierze właśnie udział 45 okrętów NATO. Flota Bałtycka Federacji Rosyjskiej – nie licząc statków pomocniczych – składa się tymczasem z zaledwie 29 jednostek bojowych. Być może to tylko zbieg okoliczności, ale wśród okrętów biorących udział w manewrach NATO znalazł się amerykański niszczyciel rakietowy USS „Gravely" – ten sam, który dokładnie pięć lat temu na Morzu Śródziemnym przegonił rosyjską fregatę Floty Bałtyckiej, idącą prowokacyjnym kursem w stronę lotniskowca USS „Harry Truman".

Nawet bez takiej „dyplomacji okrętów" rosyjscy admirałowie muszą dostrzegać, że ich flota z głównego rozgrywającego na Bałtyku staje się właśnie zawodnikiem drugoligowym. Wąskie wyjście z Zatoki Fińskiej, na którego północnym brzegu znajdują się Helsinki, a na południowym Tallin, po rozszerzeniu NATO będzie dla Rosji obszarem politycznie kłopotliwym, a militarnie – wręcz niebezpiecznym. Finlandię i Estonię dzieli tu zaledwie 70-80 km morza o średniej głębokości 38 m. Kilka baterii nowoczesnych rakiet, rozlokowanych na obydwu brzegach, uczyni zatem rosyjskie okręty stacjonujące w rejonie Petersburga zakładnikami NATO. Drugi kluczowy port Rosji w Bałtyjsku w obwodzie kaliningradzkim również może zostać łatwo wyłączony z użytku na skutek blokady Cieśniny Pilawskiej.

Odsiecz z zewnątrz? Cokolwiek spróbuje wślizgnąć się na Bałtyk, będzie musiało i tak przejść przez duńskie cieśniny, a więc również przez terytorium NATO. To wszystko oznacza jedno – nawet jeśli Rosji uda się kiedyś odblokować szlaki eksportu jej surowców przez Morze Bałtyckie, na razie bezużyteczne w wyniku sankcji Unii Europejskiej, nie będzie mogła tak łatwo jak dotąd zapewniać im militarnej eskorty.

Przed atakiem na Ukrainę Rosja każdego dnia eksportowała przez Bałtyk ok. miliona baryłek ropy, czyli 9 proc. dziennej sprzedaży. Po 24 lutego, kiedy wojna skomplikowała wysyłkę przez Morze Czarne, znaczenie bałtyckiego szlaku w łańcuchu logistycznym rosyjskiego przemysłu surowcowego wzrosło jeszcze bardziej. Analitycy agencji Bloomberg szacują, że między 1 stycznia a 8 kwietnia Moskwa zwiększyła eksport ropy drogą morską z 2,5 do 3,9 mln baryłek dziennie, z czego przez Bałtyk szło już ponad 1,3 mln baryłek. Obraz stanie się pełny po dodaniu do tej listy gazociągu Nord Stream, łączącego instalacje rosyjskie w rejonie Wysocka z niemiecką Meklemburgią. Biegnąc po dnie Bałtyku, dwie rury przecinają wyłączne strefy ekonomiczne Danii, Finlandii i Szwecji, na co wszystkie kraje wyraziły wprawdzie zgodę, ale miało to miejsce w latach 2009-10. Z dzisiejszego punktu widzenia – w epoce politycznego paleozoiku.

Pomimo szumnych zapowiedzi unijnych polityków, którzy mówią dużo o konieczności szybkiego uniezależnienia Europy od rosyjskich węglowodorów, Nord Stream wciąż działa. W ostatnich tygodniach Moskwa zmniejszyła wprawdzie przesył gazu tą drogą, ale na pełne odcięcie od rosyjskich źródeł wiele zachodnioeuropejskich gospodarek, włącznie z Niemcami, po prostu nie może sobie w tej chwili pozwolić.

Po wybuchu wojny w Ukrainie nie ruszył za to gotowy już Nord Stream 2, który miał zwiększyć dostawy błękitnego paliwa z Rosji z 55 do około 120 mld metrów sześciennych rocznie. Pod naciskiem europejskiej (ale też niemieckiej) opinii publicznej wstrzymano dokończenie certyfikacji i w tej chwili trudno sobie wyobrazić, by w przewidywalnej przyszłości inwestycja mogła zostać ponownie wykorzystana do surowcowej gry Rosji z Europą. W polityce oczywiście wszystko jest możliwe, ale szanse na to są znikome, skoro największe banki inwestycyjne przestały wierzyć w ten projekt. Jak piszą pracujący dla nich anali-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP

Nagroda dla naszego autora!

Łukasz Grajewski („Tygodnik Powszechny") wraz z **Jonasem Seufertem** („BuzzFeed News Deutschland") zostali laureatami Polsko-Niemieckiej Nagrody Dziennikarskiej im. Tadeusza Mazowieckiego za tekst **„Prawdziwe koszty szparaga"**, który ukazał się w zeszłym roku w „Tygodniku Powszechnym".

Artykuł dostępny jest pod adresem **powszech.net/szparagi**.
Autorom serdecznie gratulujemy!

ARCHIWUM PRYWATNE

tycy, Nord Stream 2 po prostu utraci ekonomiczną rację bytu z chwilą, gdy Europa wypracuje metody większej dywersyfikacji dostaw gazu. A że to zrobi, to niemal pewne.

W tym miejscu musi wreszcie paść nazwa państwa, które do tej pory nie pojawiło się w naszej opowieści. Czy Polska, nad głową której Rosja toczyła dotąd bałtycką rozgrywkę z krajami Europy Zachodniej, zdoła wykorzystać ten dogodny moment?

Pułapka jednego kierunku

„Piszcie do waszych młodych przyjaciół w Norwegii: oni powinni się podzielić tym nadmiarowym, gigantycznym zyskiem. Drodzy norwescy przyjaciele, to nie jest normalne. To nie jest sprawiedliwe. To jest również żerowanie, niechcący oczywiście, to nie jest wina Norwegii – na wojnie na Ukrainie. Ale to jest pośrednie żerowanie na tym, co się dzieje" – tymi słowami Mateusz Morawiecki zwrócił się pod koniec maja do uczestników Ogólnopolskiego Kongresu Dialogu Młodzieżowego. Treść wystąpienia polskiego premiera zaskoczyła nawet etatowych krytyków rządu, bo jeśli miało ono przygotować Polsce przedpole w negocjacjach w sprawie zakupu norweskiego gazu, to szef rządu wybrał chyba najgorsze z możliwych rozwiązań i potraktował kontrahenta jak przeciwnika, a nie partnera. Do tego zrobił to w kiepskim dla nas momencie.

Pod koniec kwietnia Rosja zakręciła Polsce kurki z gazem. Formalnie wskutek odmowy zapłaty za surowiec w rublach, a w rzeczywistości – dla pokazania państwom bardziej uzależnionym od rosyjskich węglowodorów, czym może się skończyć wspieranie Ukrainy. Polski kontrakt gazowy z Gazpromem miał i tak wygasnąć z końcem tego roku; taką decyzję rząd podjął już w pierwszych dniach wojny w Ukrainie. Rosyjski kontratak wymusił więc jedynie przyspieszenie poszukiwań nowego dostawcy, który będzie w stanie zaopatrzyć polską gospodarkę w brakujące 5-5,5 mld metrów sześciennych gazu – bo mniej więcej tyle nie dotrze do nas do końca roku ze wschodu.

Na szczęście jest to wykonalne. W maju ruszył gazociąg GIPL, którym będzie można ściągnąć do końca roku ponad 1,5 mld metrów sześciennych gazu z Litwy, która jako pierwsza w naszej części Europy całkowicie zrezygnowała z zakupu rosyjskiego gazu (surowiec trafia do bałtyckiego gazoportu w Kłajpedzie, z którego biegną rury w kierunku Polski – Warszawa podpisała już z Wilnem stosowne umowy). Mamy również połączenia gazowe z Ukrainą, Słowacją, Czechami i Niemcami, przez które można w każdej chwili uzupełnić dostawy. Możliwości przeładunkowe terminala LNG w Świnoujściu to kolejne 6 mld metrów sześciennych gazu rocznie. Natomiast rury gazociągu Baltic Pipe, który budowaliśmy razem z Duńczykami i Norwegami, będą mogły dostarczyć Polsce ok. 10 mld metrów sześciennych gazu z norweskiego szelfu. Wydobycie krajowe zapewnia ok. 4–5 mld metrów sześciennych, co razem daje tyle, ile w tej chwili rokrocznie zużywa Polska. W dalszych planach znajduje się kolejna rozbudowa sieci gazowych przyłączy z sąsiadami i dodatkowy bałtycki gazoport, który ma powstać w Gdańsku.

Do 1989 r. Rosja uważała basen Morza Bałtyckiego za swoją strefę wpływów. Dziś kontroluje raptem 400 km z ponad 8 tys. linii brzegowej. Bałtyk staje się akwenem wewnętrznym NATO.

Polska polityka energetyczna w ostatnich latach nie uniknęła kompromitujących wpadek (dość przywołać Ostrołękę czy Turów), ale na kierunku północnym jej ocena wypada całkiem dobrze. Kontynuacji wielu projektów pomimo zmian ekip rządzących zawdzięczamy dziś względne bezpieczeństwo energetyczne i większą elastyczność w obliczu rosyjskich szantaży. Jej największa zaleta jest jednak również jej sporą słabością, bo od jednej zależności, z kierunku wschodniego, wpadamy w drugą, tym razem o orientacji północnej. Bezpieczeństwo energetyczne całego kraju zależy dziś *de facto* od działania kilku nadmorskich instalacji znajdujących się w zasięgu wyrzutni Iskander, rozmieszczonych w obwodzie kaliningradzkim. A możliwości obronne dopiero budujemy.

Program „Miecznik", który wyposaży polską marynarkę w trzy nowoczesne fregaty rakietowe i przywróci jej możliwości operacyjne na morzu, w sprzyjających okolicznościach potrwa do końca dekady. Mniej więcej tyle samo czasu potrzebować będziemy na uruchomienie systemów obrony przeciwpowietrznej „Wisła" i „Narew". Pamiętajmy, że problemy z infrastrukturą krytyczną tego typu mogą łatwo zaburzyć funkcjonowanie całej gospodarki. Tajemniczy pożar terminala LNG w Teksasie, który wybuchł 10 czerwca, błyskawicznie wyśrubował i tak wysokie już ceny gazu w Europie.

Bałtycka ofensywa

Warto jednak zaznaczyć, że samo zaistnienie kierunku północnego w tak wyraźnej formie w naszym życiu publicznym jest ważnym momentem w polskich dziejach – a w pewnym wymiarze wpisuje się nawet w stare polskie marzenie o silnym Międzymorzu, czyli gospodarczej i politycznej unii krajów leżących w dorzeczach Bałtyku i Morza Czarnego.

Przez trzy ostatnie dekady nasza państwowość gorączkowo odbudowywała więzi z Zachodem, lekceważąc potencjał drzemiący w dostępie do morza. Nieprzypadkowo nitki budowanych autostrad pobiegły najpierw w kierunku zachodnim, a dopiero potem na północ. Na wybrzeżu państwo całkowicie porzuciło przemysł stoczniowy, oddając na tym polu inicjatywę prywatnym firmom. Z kolei Polskie Linie Oceaniczne, państwowy przewoźnik morski, już na początku lat 90. znalazły się na skraju upadłości. Flota PLO, która w 1989 r. liczyła 85 statków, dziś składa się z zaledwie dwóch jednostek. Średnia wieku wszystkich 21 statków pływających pod polską banderą dobiega pięćdziesiątki (dane z 2019 r). W połowie lat 70., kiedy wodowano większość z nich, polska flota składała się ze 176 jednostek.

Po objęciu władzy przez PiS rząd zapowiedział morską ofensywę, w tym dofinansowanie krajowego przemysłu stoczniowego zamówieniami publicznymi, rozbudowę sieci połączeń promowych z krajami basenu Morza Bałtyckiego i zacieśnienie współpracy gospodarczej z północnymi sąsiadami. Nie licząc słynnej stępki pod nowy prom, podłożonej uroczyście przez Mateusza ↦

↦ Morawieckiego, która już piąty rok rdzewieje w szczecińskiej stoczni, jedynym namacalnym efektem polityki morskiej PiS jest dziś przekop Mierzei Wiślanej. Inwestycja – dzięki której statki o zanurzeniu do 4,5 m, długości do 100 m i szerokości do 20 m będą mogły przepływać z Zatoki Gdańskiej na Zalew Wiślany i do portu w Elblągu – jest już właściwie gotowa i pochłonęła dotychczas blisko 2 mld zł. Pierwsze jednostki przejdą kanałem już jesienią. Za to port w Elblągu, który miałby stać się głównym beneficjentem tej inwestycji, wciąż czeka na poważne pieniądze na przebudowę.

W ubiegłym roku porty morskie polskiego wybrzeża obsłużyły łącznie 96,7 mln ton ładunku, czyli o 9,2 proc. więcej niż rok wcześniej. Aż 68 proc. stanowił fracht europejski. Na drugim miejscu były Afryka (11,8 proc.), a dopiero na trzecim Azja (11,4 proc.). Te zaskakujące na pierwszy rzut oka proporcje kierunków ruchu w polskich portach świadczą o tym, że transport morski służy rodzimej gospodarce przede wszystkim do eksportu wewnątrz Unii Europejskiej. Wymiana handlowa Polski z krajami basenu Morza Bałtyckiego stanowi w niej jednak dalszy plan. Z Gdańska, Gdyni czy Świnoujścia nadal pływa się częściej na zachód niż na północ.

Profesor Dariusz Filar, ekonomista, były członek Rady Polityki Pieniężnej i urodzony gdynianin: – Kiedy przypominam sobie teraz nasze trójmiejskie spory i debaty na temat rozwoju regionu, uderza mnie to, że w kontekście szans mówiliśmy wtedy przede wszystkim o projekcie terminala DCT, który miał otworzyć gdański port dla wielkich kontenerowców przewożących towary głównie z Dalekiego Wschodu i USA. Szwecja, Finlandia czy państwa bałtyckie pojawiały się w tych debatach niemal wyłącznie w kontekście rozwoju turystyki.

Ku zaskoczeniu wielu ekspertów rząd PiS ukatrupił jeden z najważniejszych projektów na polskim wybrzeżu, jakim miały być farmy wiatrowe. Niekorzystne przepisy podatkowe dla tej branży praktycznie wstrzymały jej rozwój. Tymczasem wietrzny i płytki Bałtyk wprost idealnie nadaje się pod takie inwestycje. Eksperci ESPON, międzynarodowego projektu badającego i wspierającego zrównoważony rozwój Europy, w raporcie z 2019 r. doszli do wniosku, że optymalnym scenariuszem rozwoju dla państw regionu Bałtyku do 2050 r. będzie rozwój zielonych technologii energetycznych, które staną się zapleczem dla tutejszego sektora wysokich technologii. W ich modelu Kopenhaga, Helsinki, Tallin oraz Malmö stają się dzięki temu jednymi z najsilniejszych ośrodków gospodarczych Europy, a Polska ma być dla nich logistycznym i naukowym zapleczem, uzyskując w ten sposób wzrost PKB do poziomu średniej UE *per capita*. W innych scenariuszach rejon Bałtyku czeka gospodarcza marginalizacja i w rezultacie wyludnienie.

Odtwarzaliśmy więzi z Zachodem, zapominając o potencjale Bałtyku.
Nieprzypadkowo nitki polskich autostrad pobiegły najpierw za zachód, a potem na północ.

Navigare non necesse est

Odpowiedź na pytanie, który scenariusz wydaje się bardziej prawdopodobny, w gruncie rzeczy zawiera się w odpowiedzi na jeszcze inne. Bo czy Morze Bałtyckie – rozumiane jako coś więcej niż tylko paseczek 800 km naszego wybrzeża – w ogóle stało się częścią polskiej przestrzeni wyobrażonej? Czy przypadkiem Polska na północy wciąż nie urywa się na bałtyckiej plaży, tak jak jej granice wyznacza na wschodzie Bug, a Odra na zachodzie? I czy któregoś z polskich polityków stać byłoby na deklarację podobną do słów łotewskiego ministra spraw zagranicznych Artisa Fabriksa, który podczas konferencji parlamentów państw Morza Bałtyckiego w grudniu 2007 r. stwierdził, że „nie mówimy jednym językiem, nie żyjemy w jednym kraju, nie mamy nawet wspólnej drużyny hokejowej (...). To, co nas łączy, to Bałtyk".

Sen o silnej Polsce nad Bałtykiem to oczywiście jeden z toposów naszej myśli politycznej, ale nigdy nie stał się jawą. Być może dlatego, że dla pokoleń mieszkańców mazowieckich i podlaskich równin morze nie było krainą szans, lecz raczej światem niosącym zagrożenia najazdami wrogich armii i przyciągającym indywidua podejrzanego autoramentu. Już Mikołaj Rej pisał: „Tum jeno po sadzawkach polskich trochę pływał / A na morzu – bodaj tam nikt dobry nie bywał!". W literaturze staropolskiej morze pojawia się najczęściej w roli szwarccharakteru, nawet królestwa Szatana. Zaciekawienie jego istnieniem, nie mówiąc już o pokusie wyruszenia w podróż za horyzont, opisywane bywa częściej jako dowód braku odpowiedzialności i zdrowego rozsądku.

O tym, jak mocno przenika nas wciąż ten duch i jak daleko jesteśmy na co dzień od morza i jego spraw, najdobitniej świadczy jednak nasz język. Profesor Jolanta Maćkiewicz, językoznawczyni z Uniwersytetu Gdańskiego, przeanalizowała polskie słownictwo pod kątem marynistycznych naleciałości i porównała jego stan z innymi językami, zwłaszcza z *lingua franca* marynarzy, jakim stał się język angielski. Okazuje się, że większość polskich określeń związanych z morzem pochodzi ze sfery rzecznej i stanowi dziedzictwo kultury flisaków (np. słowo rafa, które pierwotnie oznaczało kamień w rzece). Polszczyzna – jak pisze badaczka – nie ma również typowej dla angielskiego tendencji do antropomorfizowania morza poprzez porównywanie form jego ukształtowania do części ludzkiego ciała. W angielskim fale miewają np. języki i głowy. W polskim – jedynie grzywy, co ponownie ciągnie skojarzeniowo bardziej w step niż na środek morza. Również wiele polskich zwrotów frazeologicznych zdradza nizinne korzenie, chociażby „jeżdżenie na jednym wózku" – podczas gdy Anglik ma na ten sam użytek zwrot o przebywaniu „w tej samej łodzi" (*to be in the same boat*).

Rosyjski atak na Ukrainę właśnie to uświadomił krajom Morza Bałtyckiego. W polityce regionu dawno nie było tak dobrej pogody na współpracę. Żeby wykorzystać tę szansę, trzeba jednak mieć odwagę. Tymczasem Joanna Pajkowska, która w 2019 r. jako pierwsza Polka jachtem żaglowym samotnie i bez zachodzenia do portów opłynęła świat, żaliła się w rozmowie z „Gazetą Wyborczą": „Gdy żeglowałam w Anglii, co rusz miałam jakieś spotkania a to w szkole, a to w klubie kobiecym. W Polsce nikt mnie nie pyta o żeglowanie (...) Pytają: nie boisz się?".

©℗ MAREK RABIJ

Ukraińskie dzieci świętują Dzień Dziecka w sanatorium w Krasnobrodzie. 26 maja 2022 r.

Zdalna lekcja na polu rabarbaru

TEKST I ZDJĘCIA: ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Do Polski uciekły tysiące ukraińskich dzieci i młodzieży, którym nie towarzyszą rodzice. Opiekują się nimi babcie, rodzeństwo, nauczyciele. Wiele znikło z radarów polskiego państwa.

IWAN – 14 LAT, BOHDAN – 18 LAT | Iwan ukrywa twarz we włosach, je zupę i patrzy w telefon. Kiedy babcia odkłada smartfon na parapet, strzela łyżką w stół i zamyka się w pokoju. Nie ma w Polsce kolegów, rzadko wychodzi z domu, jego życie toczy się na ukraińskich grupach internetowych. Co prawda babcia zapisała go do szkoły, ale zrezygnował po tygodniu – nie radził sobie z językiem.

– Zgodziłam się tu przyjechać z wnukami, bo myślałam, że po dwóch tygodniach wrócę do domu. Trzeci miesiąc mam chłopaków na głowie – Tetiana częstuje herbatą i prosi, żeby nie podawać jej nazwiska.

Mieszkają w Lublinie, w kawalerce użyczonej przez pracujących w Polsce krewnych. Zaczyna im brakować pieniędzy, bo Tetiana musi też opłacać mieszkanie w Kijowie. Chętnie poszłaby do pracy, ale nikt nie chce zatrudnić siedemdziesięciolatki.

– W czerwcu starszy, Bohdan, skończy 18 lat. Jak wróci do domu, to mogą wziąć go do wojska – boi się Tetiana. – Nie dam wnuka. Wielu znajomych wywiozło chłopaków za granicę. Nie po to się wychowuje dziecko, żeby zginęło od ruskiej kuli.

Bohdan już studiuje informatykę i w świetle prawa nie grozi mu pobór do wojska, Tetiana boi się jednak, że w końcu zabraknie mężczyzn zdolnych do walki i wezwania dostaną pozostali. To dlatego Bohdan chce się przenieść na studia do Lublina. Osiemnastolatek lepiej znosi pobyt w Polsce od młodszego brata. Iwan ma już kręgosłup wykrzywiony od siedzenia przy komputerze, stracił zapał do nauki. Trudno go wyciągnąć na spacer. Ma żal do rodziców. Mówi, że wojna jest dla nich ważniejsza od niego. Ojciec chłopaków walczy w Donbasie, nie mają z nim kontaktu, matka pracuje na rzecz armii.

– Zięć poszedł na front jak na leśną wycieczkę, nic mu nie dali. Cała rodzina składała się na kamizelkę kuloodporną, buty i rękawice. Gdzie te miliony z Zachodu? – denerwuje się Tetiana. I chociaż jest dumna, że wychowała córkę na patriotkę, czasem przed snem zastanawia się, czy dla ojczyzny warto poświęcać dzieci. I czy cena, którą płaci jej rodzina, nie jest zbyt wysoka.

ANNA – 14 LAT | Anna Apostolova jest najmłodszą wychowanką internatu OHP w Zamościu, chodzi do Szkoły Podstawowej nr 9. Już po miesiącu mówiła po polsku i tłumaczyła ukraińskim kolegom polecenia nauczycieli. Jeśli wróci do Ukrainy, zostanie policjantką, jeśli zostanie w Polsce – będzie fryzjerką. Uważa, że testy gimnazjalne, które zdawała już w Polsce, poszły jej marnie i żadne zamojskie liceum nie przyjmie jej z takimi wynikami.

– Ania ma duże możliwości i jest bardzo zdolna – podkreśla Piotr Siewień, nauczyciel i opiekun ukraińskich uczniów. – Zorganizowałem jej korepetycje z polskiego i matematyki, ale nie da się w dwa miesiące nadrobić kilku lat. Widziałem, jak Ania załamuje się i zniechęca. Myślę, że gdyby była tu od września, zdałaby świetnie.

↦

↦ Anna pochodzi z okolic miasta Dniepr. Rodzice wysłali ją do Polski, do starszej córki Władysławy, która uczy się w Zamościu na kucharkę w Rzemieślniczej Branżowej Szkole I stopnia. Dziewczyny tęsknią za domem – za barszczem czerwonym mamy, kotem Ronim, gospodarstwem babci Nataszy, która hoduje krowy, gęsi i kaczki. Kiedy Ania o tym opowiada, oczy jej się śmieją.

W jej domu rozmawia się w surżyku, mieszaninie ukraińskiego i rosyjskiego. Kiedy posługuje się nim w Polsce, niektórzy rodacy patrzą na nią krzywo. Mówią, że prawdziwi Ukraińcy używają czystego języka. Ania nie wiedziała do tej pory, że język dzieli ludzi i trzeba starannie dobierać słowa.

– W szkole staram się mówić po polsku. Siedzę z Julią, pomaga mi, jak czegoś nie rozumiem. U nas angielski był raz w tygodniu, niemieckiego nie miałam. Dużo mam do nadrobienia.

Piotr Siewień ma 27 uczniów z Ukrainy, wszyscy z wyjątkiem Ani chodzą do szkoły branżowej. Choć z reguły przestrzegają regulaminu, zdarzają im się niespodziewane wybryki. Brak rodziców i obce państwo mogą wywołać przekonanie, że więcej wolno. Siewień był już na policji w sprawie ukraińskiej uczennicy, która ukradła kilka paczek prezerwatyw i testy ciążowe. Musiał też interweniować, kiedy podopieczni przesadzili z alkoholem. Podkreśla, że bez jasno określonych granic niczego nie można osiągnąć.

– Mówią do mnie: „*wy nasz otiec*". Nie ma tygodnia, żebym nie był na izbie przyjęć, nieustannie umawiam wizyty dentystyczne. Zdarzają się czasem wypadki na warsztatach, więc mam pełne ręce roboty.

Siewień w sytuacjach kryzysowych kontaktuje się z rodzicami w Ukrainie, kupuje ubrania, przybory szkolne. Uczniowie mają posiłki w internacie, więc na co dzień nie muszą na nic wydawać pieniędzy. Ustawa wprowadzona po wybuchu wojny przez rząd polski dała jednak pracodawcom możliwość podpisywania umów z ukraińskimi uczniami, którzy odbywają praktyki. Dzięki temu mają na drobne wydatki.

ROMAN – 17 LAT, YEHOR – 17 LAT | Wiele ich łączy, ale nigdy się nie spotkali. Pochodzą z tzw. dobrych domów. Ukraińska klasa średnia, wykształceni rodzice, obyci w świecie. Obaj chcą studiować w Polsce. Roman przyjechał ze Lwowa, gdzie chodził do Akademickiego Gimnazjum – jednej z najlepszych szkół w Ukrainie. Mieszka w Zamościu, uczy się w I Społecznym Liceum i marzy o studiowaniu informatyki. Yehor z kolei przyjechał z Żytomierza, kształcił się tam w zakresie rybołówstwa i akwarystyki, mieszka w Hrubieszowie, będzie studiował w Polsce anglistykę. Trenuje piłkę nożną i jest wolontariuszem w Hrubieszowskim Ośrodku Sportu i Rekreacji. Pomaga rodakom.

14-letnia Anna marzy o tym, żeby zostać policjantką.

– Byłam tego dnia na dyżurze w punkcie pomocy uchodźcom – wspomina Renata Kleczkowska-Pałka. – Zobaczyłam młodego człowieka z plecakiem, który nie ma się gdzie podziać. Tak do nas trafił. Yehor za każdym razem pyta, czy może w czymś pomóc, przed świętami umył okna, zajmuje się w domu zwierzętami.

Roman umawia się ze mną na kawę, ale za ciastko dziękuje – wojna, rozłąka z rodziną, nowa szkoła i stres, który zajadał słodyczami. Mieszka na zamojskiej starówce u znajomych rodziców, wygląda oknem i przypomina mu się Lwów. Nie ma czasu na rozmyślania: oprócz nauki w polskiej szkole przygotowuje się do matury, którą rząd ukraiński zorganizuje w lipcu w większych miastach naszego kraju.

– Yehor lubi sport i jest w tym dobry – mówi Kleczkowska-Pałka. – Rok temu jego ojciec kupił dwa bilety na mecz piłki nożnej w Paryżu. To miał być ich wspólny wyjazd. Wojna pokrzyżowała te plany, ojciec został w ojczyźnie. Yehor postanowił pojechać sam, zorganizował transport. Jest bardzo odpowiedzialny i stara się żyć normalnie.

Renata Kleczkowska-Pałka otworzyła dom także dla innych uchodźców. Podkreśla, że nikt nie zawiódł jej zaufania. Przez pięć tygodni gościła szesnastoletnią Daszę. Dziewczyna w dzieciństwie straciła ojca, a w styczniu matkę. Pochodziła spod Charkowa, nie mogła odnaleźć się w nowym miejscu. Nie chciała wychodzić z pokoju ani rozmawiać z ludźmi. Kiedy na wojnie został ranny jej chłopak, Dasza już tylko paliła papierosa za papierosem i milczała. W maju wróciła do Charkowa. Jeśli uda się załatwić potrzebne dokumenty, trafi do przyjaciółki matki w Tel Awiwie.

YULIA – 16 LAT, EUGENIUSZ – 15 LAT | – Pierwszego dnia po pracy zasnęłam na siedząco, bez mycia. Nogi mnie tak bolały od kucania, że w nocy miałam skurcze – opowiada Yulia o zbieraniu rabarbaru. – Każde z nas dostało swój rządek, ale Żeńka został daleko w tyle, więc musiałam mu pomagać.

Yulia i Eugeniusz przyjechali do Polski na początku marca. Trafili do gospodarstwa rolnego pod Lublinem. We wsi jest szkoła podstawowa, ale już się do niej nie kwalifikują, a do miasta odległego o 20 kilometrów nie mają czym dojechać. Zdecydowali, że będą uczyć się zdalnie. Jednak dużo lekcji im przepadało ze względu na alarmy przeciwlotnicze, a w części zajęć nie uczestniczyli, bo zaczęli pracę na plantacji. Można więc powiedzieć, że to kolejny stracony semestr – najpierw pandemia, a teraz wojna. Początkowo była z nimi mama, która pilnowała, żeby siadali do lekcji, i robiła z nimi dodatkowe ćwiczenia z matematyki, bo jest nauczycielką i sama uczy tego przedmiotu w Ukrainie. Jednak w kwietniu musiała wrócić do Winnicy, a dzieci zostały pod opieką gospodarzy.

Oboje pracują dziś na plantacji bez umowy, a Eugeniusz w ogóle nie powinien wychodzić w pole, bo jest za młody. Brakuje jednak rąk do pracy, oprócz niego rabarbar zrywało w tym roku jeszcze dwóch innych nieletnich chłopaków.

– Mama tu wcześniej przyjeżdżała dorobić. Tak miało być i teraz, ale babcia poważnie zachorowała. Zostaliśmy sami – mówi Yulia. – Gdyby nie praca, zanudziłabym się na wsi. Nawet lekcji słuchałam na telefonie przy zbieraniu rabarbaru, a raz odpowiadałam z biologii sortując łodygi. Ale nauka u nas skończyła się w maju.

Praca przy rabarbarze trwa od 7.00 do 18.00 z dwiema przerwami, gospodarze płacą od kilograma. Rodzeństwo tłumaczy, że do zerwania nadaje się łodyga dłuższa niż 40 centymetrów, że trzeba usunąć liście i potem sortować według jakości. Yulia zarabia dziennie od 120 do 150 zło-

tych, Eugeniusz na początku dostawał mniej. Obydwoje zbierają na konkretny cel – ona chce pojechać na wakacje do Barcelony, on marzy o gitarze. Mimo że trwa wojna Rosji z Ukrainą, Eugeniusz chce być jak Wiktor Coj, rockowy wokalista i poeta rosyjski. Miłość do grupy Kino zaszczepił mu ojciec, który pracuje na kolei, ale po godzinach gra w zespole amatorskim.

– Pewnie większość pieniędzy i tak oddamy rodzicom. Jest wojna, więc trzeba porzucić marzenia – Yulia mówi z rezygnacją w głosie. – W Ukrainie wszystko bardzo podrożało, pensji nie wypłacają regularnie.

– Ja nie oddam – obrusza się Eugeniusz. – Kupię w Polsce tę gitarę.

ROZA – 9 LAT, SASZA – 25 LAT | W polskich placówkach oświatowych uczy się 197 tys. ukraińskich dzieci. Największa grupa uczęszcza do szkół podstawowych, najmniej trafiło do zawodowych. Choć polskie placówki bardzo chętnie przyjmują uchodźców, organizują zajęcia przygotowawcze i kursy językowe – poza systemem jest według danych ministerstwa nawet 500 tys. uczniów.
Wśród nich znajduje się duża grupa niepełnosprawnych. W Samodzielnym Sanatorium im. Janusza Korczaka w Krasnobrodzie przebywa 29 takich dzieci, ze średnim i znacznym stopniem upośledzenia. Przyjechały pod opieką czterech nauczycielek.

– Mieliśmy pusty budynek, odnowiliśmy pomieszczenia, zrobiliśmy drugą łazienkę. Dzieci u nas odżyły. Nie ma co ukrywać, podejście do niepełnosprawności jest inne w Polsce niż w Ukrainie. Tam dzieci przebywały w niemal całkowitym zamknięciu, tu wychodzą na słońce, organizujemy im wycieczki i warsztaty. Były pierwszy raz w życiu na basenie. Ich radość jest największą zapłatą – mówi Barbara Kowal, dyrektorka sanatorium.

Pomoc grupie z Ukrainy jest możliwa dzięki fundacjom. Wsparły ich: międzynarodowa organizacja Olimpiady Specjalne, Caritas, PCK i Fundacja Polsat. Zaangażowali się także mieszkańcy Krasnobrodu – przynosili żywność i środki czystości. Ksiądz proboszcz ogłosił podczas mszy, że solidarność z potrzebującymi jest obowiązkiem chrześcijańskim: „Jeśli ktoś w sobotę piecze placek, trzeba się podzielić i zanieść dzieciom w sanatorium". Nie było do tej pory soboty, żeby ktoś nie przyszedł z ciastem.

– Jednak pozyskanie środków staje się coraz trudniejsze, pieniędzy wystarczy nam do końca czerwca – mówi Barbara Kowal. – Zapewniamy naszym podopiecznym posiłki, ubrania, ale wszyscy pracownicy sanatorium wykonują też dodatkowe obowiązki, już w ramach wolontariatu.

Kiedy przyjeżdżam do sanatorium, w bramie czeka na mnie Sasza. Pokazuje miejsce do parkowania i prowadzi na dziedziniec. Jest tu kierownikiem. A przynajmniej tak o sobie mówi. Gdybym spotkała go w sklepie lub na ulicy, nie rozpoznałabym, że jest upośledzony w stopniu średnim.

– Jeśli kazałabym Saszy kopać dół, robiłby to bez przerwy do utraty przytomności, tak samo przy tej bramie. Czekałby na panią dzień i noc. Nie ma poczucia czasu, nie doznaje strachu, wstydu, jest ufny i łatwo go skrzywdzić – opowiada Weronika Michaleńska, ukraińska opiekunka.

Nauczycielka przyjechała do Polski z synem. Sześcioletni Nazar bał się na początku podopiecznych mamy, ale szybko znalazł z nimi wspólny język. Weronika od trzech miesięcy nie miała dnia wolnego, jest z dziećmi od początku wojny, ukraińskie państwo płaci jej za pięć godzin pracy dziennie. Rozmawiamy na dziedzińcu sanatorium, pensjonariusze świętują Dzień Dziecka. Bawią się na dmuchanej zjeżdżalni, rysują, skaczą na materacach. Chcą mnie koniecznie objąć i pocałować, zapraszają do zabawy po rosyjsku i ukraińsku.

Tylko Roza chowa się za wózek inwalidzki koleżanki i kurczowo trzyma rękę opiekunki. Ma dziewięć lat, choć wygląda najwyżej na pięć. W Ukrainie nie chodziła samodzielnie, mogła się przesuwać na kolanach, a kiedy sama próbowała wstać i pójść, wybiła sobie zęby. Pielęgniarki z sanatorium znalazły dla niej specjalny chodzik i dzięki temu zaczęła stawiać pierwsze kroki.

Wojna bardzo pokrzyżowała plany dziewczynce. Małżeństwo z USA zadeklarowało co prawda chęć zaadoptowania Rozy, obiecali wstawić jej zęby i zapewnić rehabilitację, ale żeby mogła wyjechać, trzeba dopełnić formalności w Ukrainie. W obecnej sytuacji to bardzo trudne.

– Wśród tych dzieci panuje samoopieka – podsumowuje Anna Kawecka, pielęgniarka odpowiedzialna za pozyskiwanie funduszy i darów dla uchodźców. – Jak się jedno dziecko ubierze, zaraz pomaga drugiemu zawiązać buty, a Sasza to pomaga wszystkim kolegom i wciąż prosi opiekunki o nowe zadania.

Kiedy odjeżdżam, Sasza na chwilę porzuca układanie jogurtów i przygląda mi się uważnie. – My się chyba znamy? Dokąd idziesz? Zostań. Tu jest jak w raju.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

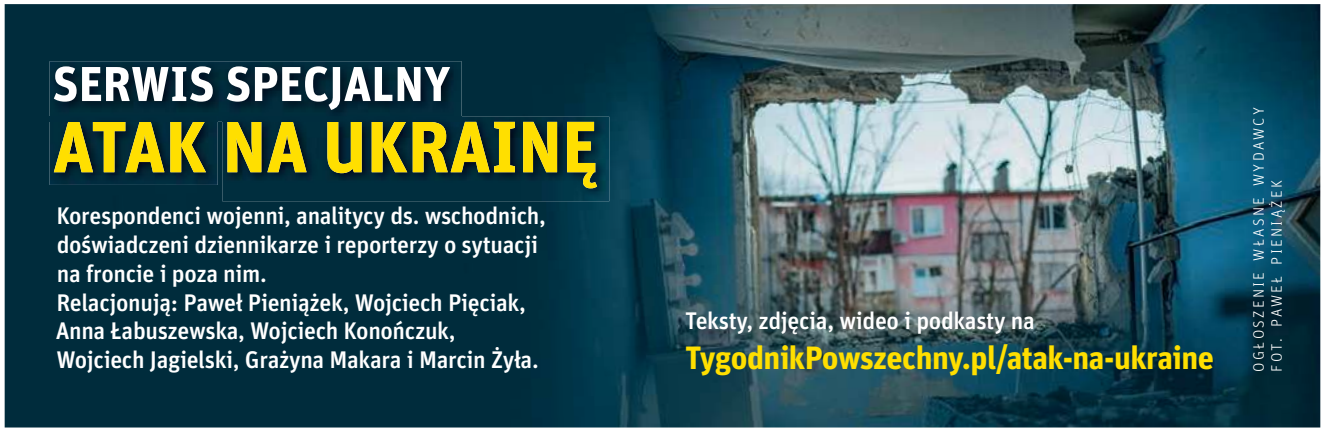

MYKOLA KALYENIAK / PAP

Przygotowanie nawozu do zastosowania w uprawie. Dergacze, Ukraina, 8 maja 2022 r.

Z głodu nie umrzemy, ale...

PIOTR WÓJCIK

Tarcza antyinflacyjna i obniżony VAT na żywność zatrzymały ceny towarów spożywczych jedynie na moment. Prawdziwy szok dopiero przed nami i tylko w części będzie miał on związek z wojną.

Według GUS w kwietniu artykuły żywnościowe oraz napoje bezalkoholowe zdrożały o niemal 13 proc. rok do roku i były najważniejszym motorem inflacji. W porównaniu do marca żywność zdrożała o przeszło 4 proc., co było niespotykanym od lat wynikiem i mocno odbiło się na nastrojach Polaków. Co prawda, w maju ceny trochę przystopowały, ale nie warto się do tego hamowania przyzwyczajać – to tylko cisza przed burzą.

– Przyczyną jest wzrost kosztów produkcji w przetwórstwie żywności i rolnictwie, który wcale nie zaczął się 24 lutego – tłumaczy Andrzej Gantner, dyrektor generalny Polskiej Federacji Producentów Żywności. – Już w styczniu mieliśmy kolosalne podwyżki cen gazu, mimo że jeszcze nie wybuchła wojna. Doszły do tego wyższe ceny energii elektrycznej i materiałów do opakowań, które są nie tylko coraz droższe, ale też coraz trudniej dostępne. Kolejnym elementem jest silny wzrost kosztów transportu. Obecnie mamy wręcz galopadę cen paliw, ale pamiętajmy, że już wcześniej koszty rosły z powodu braku kierowców.

Dyr. Gantner zwraca uwagę, że istnieją dwa rodzaje inflacji. Konsumencka, którą widzimy w finalnych cenach towarów na sklepowych półkach, oraz producencka. Ta ostatnia również jest podawana przez GUS, jednak nie wzbudza dużego zainteresowania opinii publicznej, gdyż nie przekłada się od razu na cenniki w sklepach. Obrazuje ona m.in. koszty materiałów, energii i towarów, które przedsiębiorstwa wykorzystują do produkcji. W kwietniu inflacja producencka wyniosła aż 23,3 proc., co jest najwyższym wynikiem od 1995 r. Może być jednak jeszcze gorzej, czego dowodzi przykład sąsiednich Niemiec, w których koszty producentów wzrosły o jedną trzecią w skali roku.

– Podwyżki nie następują z dnia na dzień, tylko stopniowo, chociażby ze względu na konieczność zmiany cenników w sieciach handlowych – tłumaczy Gantner. – Nie ma jednak możliwości, by wytwórcy żywności byli w stanie zamortyzować wzrost kosztów produkcji rzędu kilkudziesięciu procent, przy kilkuprocentowej marży. Część firm starała się je łagodzić, wykorzystując zapasy nabyte wcześniej w niższych cenach. Wszystkie

te możliwości już się jednak skończyły, co było widać w kwietniowym skoku cenowym. W maju się nieco uspokoiło, jednak część producentów zapowiada, że kolejny skok może nastąpić jeszcze w tym miesiącu.

Inni mają gorzej

Spoglądając w dane OECD łatwo zauważyć, że ze wzrostem cen żywności zmaga się każde z 38 państw należących do tej organizacji, zrzeszającej najbardziej rozwinięte kraje świata. W kwietniu w całym OECD ceny żywności wzrosły o 11,5 proc., czyli ponad punkt procentowy mniej niż w Polsce. Jednak w naszym regionie nie wypadamy już tak źle. W krajach bałtyckich skok cen artykułów żywnościowych był dużo większy niż u nas i wahał się w przedziale 15-22 proc. Ceny żywności w sklepach węgierskich wzrosły o 16 proc., a w słowackich o 14 proc. Jedynie w Czechach żywność drożała nieco wolniej niż nad Wisłą.

Generalnie, dane z Europy Środkowo-Wschodniej wyraźnie pokazują wpływ wojny na koszty wytwarzania żywności (dla porównania: ceny artykułów spożywczych we Włoszech wzrosły w kwietniu „tylko" o 6 proc.). Nic dziwnego, kraje naszego regionu są bardziej uzależnione od dostaw paliw ze Wschodu, jak również zbóż, nawozów i innych surowców rolnych. Tymczasem celowe zablokowanie przez Rosję eksportu znad Dniepru doprowadziło do skokowego wzrostu cen na rynkach. W przypadku olejów jadalnych było to najbardziej dotkliwe, gdyż Ukraina jest ich czołowym eksporterem nie tylko w Europie, ale i na całym świecie.

– W wyniku wojny nastąpiło przerwanie łańcuchów dostaw, oszalały ceny energii oraz pojawiły się poważne problemy z zaopatrzeniem w surowce, m.in. z dostępem do oleju słonecznikowego, co od razu winduje ceny oleju rzepakowego – twierdzi Andrzej Gantner. – Warto też zauważyć, że ceny takich surowców jak zboże, mleko, tłuszcze roślinne czy mięso, są w dużej mierze ustalane na rynkach globalnych. Niemożliwe jest więc, by ceny na świecie były wysokie, a w Polsce niskie.

Zupełne szaleństwo panuje na półkach z mięsem. W samym kwietniu mięso zdrożało o 8,5 proc. w stosunku do marca. W skali roku wzrost cen wyniósł aż 18 proc. Szczególnie mocno dotyczy to wieprzowiny i drobiu. Za tę pierwszą w kwietniu musieliśmy zapłacić 12 proc. więcej niż w marcu, a za drób – 14 proc. Oznacza to, że w ciągu roku zdrożał o niemal połowę.

Jedną z przyczyn zjawiska jest fakt, że producenci obu rodzajów mięsa zmagali się ostatnio z dotkliwymi epidemiami – afrykańskiego pomoru świń i ptasiej grypy – co mogło ograniczyć produkcję. Według Gantnera to jednak nie choroby zaważyły na cenach wieprzowiny czy drobiu.

– Główny wpływ miała niepewność na rynku pasz – wskazuje. – Pamiętajmy, że zboża, kukurydza czy soja to główne składniki pasz, które są niezbędne do produkcji mięsa. Nie da się wyprodukować drobiu bez paszy. Tymczasem jej składniki bardzo mocno zdrożały. Poza tym przedsiębiorstwa przewidują już złą sytuację na rynkach jesienią oraz ewentualne przyszłe niedobory. Wytwórcy gromadzą więc zapasy, co również wpływa na bieżące ceny.

Mniej nawozu, mniejsze plony

Ogarnięta wojną Ukraina to osobny rozdział. Według danych FAO, kraj ten jest piątym największym eksporterem pszenicy na świecie i trzecim największym eksporterem kukurydzy. Blokada portów czarnomorskich uniemożliwia jej eksport milionów ton surowców, co przekłada się na ceny na światowych rynkach. Między 24 lutego a połową maja na największej europejskiej giełdzie surowców rolnych MATIF cena kontraktu na dostawę pszenicy we wrześniu wzrosła z 296 do 438 euro za tonę. Czyli o prawie połowę w ciągu ledwie trzech miesięcy.

Dramatyczna sytuacja panuje również na rynku nawozów. Tutaj czołowym eksporterem na świecie jest Rosja, z której przed wojną sprowadzaliśmy jedną czwartą importowanych nawozów. Co prawda Polska również jest ich istotnym producentem, problem jednak w tym, że kluczowy surowiec do produkcji stanowi gaz, który na początku roku bił rekordy – warto przy tym pamiętać, że przedsiębiorstwa nie mają regulowanej ceny gazu, jak prywatni konsumenci, tylko płacą rynkową. M.in. dlatego na początku roku zanotowano drastyczny wzrost cen nawozów, rzędu 400 proc. w porównaniu do stycznia 2021 r. Według Gantnera dostęp do nawozów będzie miał ogromny wpływ na ceny żywności w najbliższej przyszłości.

– Na prognozy plonów w największym stopniu wpływa ilość nawozów użytych do produkcji, nawet bardziej niż susza rolnicza – wyjaśnia Gantner. – Część rolników ograniczyła ich zużycie z powodu zbyt wysokich kosztów. Zmniejszenie nawożenia skutkuje jednak przede wszystkim spadkiem plonów.

Obecnie kluczową kwestią jest udrożnienie ukraińskiego eksportu zbóż. Nad Dnieprem zalega 20 mln ton zboża, na które szczególnie czekają państwa Afryki Północnej (np. 100-milionowy Egipt), którym grozi nie tylko drożyzna, ale wręcz głód. Unia Europejska zamierza więc wdrożyć „korytarze solidarnościowe", wykorzystując m.in. porty w Gdańsku czy rumuńskiej Konstancy. UE na rok zniosła też cło na eksport towarów z Ukrainy, co powinno pomóc tamtejszym producentom w sprzedaży zalegających surowców rolnych.

– Umożliwienie eksportu choć części ukraińskiego zboża oddali nas przede wszystkim od globalnego kryzysu żywnościowego. Ceny pozostaną jednak wysokie – rozwiewa nadzieje Marcin Klucznik, analityk zespołu makroekonomicznego Polskiego Instytutu Ekonomicznego. – Nie będzie bowiem szans na eksport całości tego zboża. Poza tym, według ministra rolnictwa Ukrainy, obsiewy w tym roku mogły być nawet o połowę mniejsze niż zazwyczaj.

Według PIE dynamika cen osiągnie swój szczyt latem. Będzie to wzrost o ok. 20-21 proc. – W dalszych miesiącach czeka nas powolna stabilizacja rynków żywności – przekonuje Klucznik.

Czarniejszy scenariusz przedstawił minister Kowalczyk w wywiadzie dla Radia Zet. Jego zdaniem szczyt wzrostu cen zobaczymy dopiero jesienią i może on osiągnąć poziom aż 25-30 proc.

– Gdyby sytuacja była normalna, bez czynników wojennych, pod koniec roku wzrost cen powinien wyhamować. Ale to wszystko będzie zależeć od tego, czy zostaną odblokowane kanały dystrybucji i łańcuchy dostaw, a także jaka będzie sytuacja na rynku energii – uważa z kolei Gantner. Zarazem uspokaja: w Polsce nie wystąpią ani głód, ani niedobory żywności dla klientów. 40 proc. produkcji żywności kierujemy bowiem na eksport. To jest nasza poduszka bezpieczeństwa. Obyśmy z niej nie musieli skorzystać. ©

NOSIMY GO WYSOKO

W Boże Ciało po ulicach miast i wsi Ghany wędruje procesja eucharystyczna, jak w Polsce. Świętowanie jest jednak zupełnie inne.

TEKST I ZDJĘCIA: ANNA NIEDŹWIEDŹ

Kobiety niosą platformę z monstrancją podczas uroczystości Bożego Ciała uliczkami miasteczka Jema w centralnej Ghanie.

Tu u nas ludzie noszą swoich wodzów na ramionach wokół wioski. I my nosimy Chrystusa. Boga nosimy – tak procesję Bożego Ciała objaśniała mi Rose, śpiewaczka z parafialnego chóru w jednej z rzymskokatolickich parafii w centralnej części Ghany. Siedziałyśmy wieczorem przed jej sklepikiem. To pora przygotowywania kolacji, najważniejszego posiłku, spożywanego pod koniec dnia, więc Rose rozpaliła węgiel drzewny w przenośnym żeliwnym palenisku i energicznie zabrała się do gotowania.

– I w czasie takiej procesji to ja się naprawdę mogę modlić. Śpiewać i tańczyć – kontynuowała opowieść, a ciepło i dym z prażonej mąki kukurydzianej oraz rytmiczne odgłosy uderzającej o garnek drewnianej łyżki rozchodziły się w wąskiej uliczce. Dokładnie tędy kilkanaście miesięcy wcześniej, w tumanach wzbijanego przez liczne nogi czerwonego pyłu z ubitej glinianej drogi i w rytm grających bębnów oraz muzyki brassbandu, dosłownie przebiegłam wraz ze sporym roztańczonym tłumem uczestniczącym w lokalnej procesji Bożego Ciała. Dziś uliczkę wypełnia codzienna wieczorna krzątanina, ale opowieść Rose ożywia wspomnienia o ekstatycznym korowodzie.

Śpiewać i tańczyć dla Pana

To właśnie śpiew i muzyka, taniec i ruch są najwyżej cenionymi przez Ghańczyków formami modlitwy i religijnej ekspresji. W tym wieloetnicznym i wieloreligijnym kraju, podobnie jak w całym regionie Afryki Zachodniej, intensywne zaangażowanie ciała w świąteczne celebracje oraz nastawienie na emocjonalność i ekspresywność wspólnotowych rytuałów, stanowi charakterystyczny rys religijności zarówno chrześcijańskiej, jak i związanej z afrykańskimi religiami tradycyjnymi czy islamem. W wielu katolickich parafiach obchody Bożego Ciała trwają kilka dni, a centralna msza i następująca po niej procesja poprzedzone są czuwaniem, modlitwami charyzmatycznymi oraz publicznym dawaniem świadectw. Do kościoła parafialnego zjeżdżają wówczas mieszkańcy z oddalonych o wiele kilometrów od głównych miejscowości wiosek, gdzie na co dzień wspólnoty katolickie organizują osoby świeckie. Nierzadko to ci lokalni liderzy – kobiety i mężczyźni – wspólnie prowadzą ekstatyczną wieczorną modlitwę w przeddzień procesji.

Kiedy Belinda – jedna z założycielek grupy charyzmatycznej w parafii, w której prowadziłam badania etnograficzne – zaczyna intensywnie krążyć przed ołtarzem, dzwoniąc i uderzając tamburynem, wzywając do dziękczynienia za wspólnie przeżywane święto, do jej mocnego głosu natychmiast dołączają kolejne. Powietrze aż gęstnieje od szeptów, mamrotań i krzyków, w rytm których falują ciała modlących się ludzi. Niektórzy unoszą ręce, inni klaszczą, ktoś zaczyna chodzić tam i z powrotem, mówiąc na głos i gestykulując, potem pada na podłogę. Wreszcie po kilkunastu minutach modlitw tamburyn zmienia rytm i zaintonowana przez Belindę pieśń „Aseda" (co w języku twi oznacza dziękczynienie) zespala indywidualne głosy w jednorodny chór. Gdy następują świadectwa, zdaje się, że nabożeństwo nigdy się nie skończy. Opowieść toczy się za opowieścią, a słuchacze żywo reagują na wszystkie historie. O cudownym uzdrowieniu wnuczka, o rozwiązaniu domowych problemów z mężem, o ustaniu złych snów po tym, gdy sypialnia została omodlona przez katechistę i skropiona wodą święconą... Jedna z kobiet w podzięce za zdrowie ofiarowuje śpiew, inna na środku kościoła wykonuje ekstatyczny taniec.

Podobne charyzmatyczne modlitwy i czuwania praktykowane są dziś w zasadzie we wszystkich Kościołach aktywnych w Afryce Subsaharyjskiej. Co oczywiste, są domeną prężnie rozwijających się, coraz liczniejszych i popularnych wśród Afrykanów Kościołów pentekostalnych i neopentekostalnych. Ale też tzw. historyczne Kościoły – niegdyś misyjne, obecnie w zasadzie o charakterze postmisyjnym i prowadzone przez lokalnych hierarchów – zdecydowanie otwarły się na duchowość charyzmatyczną. – To naturalne, bowiem ta duchowość bliska jest afrykańskiej psyche. Odnosi się do witalności, rytmu i tańca, do harmonii jako zespolenia duchowości i życia, aktywności i energii – wyjaśnia ksiądz John Kofi Takyi, wikariusz generalny diecezji techimańskiej. I przyznaje, że celebracja życia i sił witalnych w afrykańskich kontekstach współgra również z lękiem przed czarami i złymi duchami. A aktywny i angażujący całe ciało udział w rytuale traktowany bywa jako sposób ochrony i źródło uzdrowienia.

↦

Dziewczyna sypiąca bibułki i sztuczne kwiaty w czasie procesji eucharystycznej, Jema, Ghana.

↦ Z księdzem Takyi rozmawiałam tuż po trzydniowych obchodach Bożego Ciała, którym przewodniczył w parafii w Jemie, w centralnej Ghanie. Jego spostrzeżenia pozwoliły mi lepiej zrozumieć ekstatyczny, mocno żywiołowy i nakierowany na intensywność i totalność doświadczenia charakter miejscowej procesji eucharystycznej. Jako motoryczny rytuał zdominowana była ona przez muzykę i taniec. Widoczny wysoko ponad głowami podest, na którym przedstawiciele parafii nieśli zainstalowaną monstrancję z eucharystią, okrążał centrum miasteczka w otoczeniu biegnącego, tańczącego i podskakującego rytmicznie tłumu. Olbrzymi czerwony parasol-baldachim – wypożyczony od miejscowego wodza – z daleka sygnalizował, gdzie w danej chwili wśród tańczących znajduje się monstrancja. Sam parasol-baldachim wprawiany był również w swoisty „taniec" – kręcił się i unosił oraz opadał wraz z rytmem kroków i muzyki. Obok dominujących dźwięków popularnych standardów wykonywanych przez brassband dudniły bębny. Niesione na głowach migrantów z północy kraju przyciągały przede wszystkim osoby z grupy etnicznej Dagaaba, a kobiety tańcząc wydawały co chwilę charakterystyczne, oparte na bardzo wysokich tonach, zawołania. Z kolei tuż obok bębnów swoje pieśni w języku twi śpiewał jeden z parafialnych chórów miejscowej ludności Akan. Chórzyści ubrani w odświętne sukienki i koszule uszyte z jednakowego materiału wyklaskiwali swoje rytmy i machali białymi chusteczkami, otaczając platformę z monstrancją.

Czasem, gdy jakaś grupa uczestników zatrzymywała się na bardziej intensywne tańce, w wąskich uliczkach robił się zator. Takim tańcom z nieskrywanym podziwem przyglądali się nie tylko uczestnicy procesji, ale też gapie – stojący w drzwiach swoich sklepów i domów muzułmanie oraz chrześcijanie z innych licznych w miasteczku Kościołów. W międzyczasie stół – pełniący funkcję ołtarza – niesiony na głowach kilku wiernych ustawiano w miejscu kolejnego przystanku, a przed dotarciem monstrancji obtańcowywano go, okrążając naokoło i biegając gęsiego. Gdy z tłumu do ołtarza przebijał się kapłan, okadzał ustawianą na ołtarzu monstrancję, błogosławił wiernych, a dym od razu mieszał się z pyłem wzbudzanym przez tańczących.

Chrystus wodzem

Wspomnienia tej oraz innych uroczystości Bożego Ciała często wracały podczas moich badań etnograficznych i rozmów z ghańskimi katolikami. Niektórzy opowiadali mi o ocaleniu przed czarami albo o niezwykłych uzdrowieniach, których mieli doświadczyć dzięki zaangażowaniu w śpiewy i tańce. Wielu wspominało o swojej osobistej relacji z Chrystusem, wręcz o odczuciu Jego realnej obecności i mocy, która się z tym wiąże. Madam Anastazja, która na jednym odcinku procesji wraz z grupą kobiet niosła podest z monstrancją, mówiła, że nagle wszystkie poczuły na ramionach olbrzymi ciężar, „jakbyśmy niosły prawdziwego człowieka".

Takie materialne, zmysłowe doświadczenia są traktowane przez ghańskich chrześcijan bardzo poważnie. Dodatkowo, dla Anastazji procesja stała się istotnym punktem odniesienia w jej rozważaniach na temat pozycji kobiet – zarówno w obrębie Kościoła, jak i w kontekście afrykańskich tradycji. – To było dla mnie kluczowe doświadczenie, że my, kobiety, możemy publicznie nieść Sakrament – wyznała, gdy wręczałam jej odbitki fotografii wykonanych podczas procesji. Kiedy po śmierci męża jechała do rodzinnej miejscowości na północy kraju, aby dopełnić obrzędy wdowieństwa, wymagane przez tradycję jej rodzimego ludu Kasena, zabrała ze sobą zdjęcia. Jak mówiła, po to, by pokazać krewnym i znajomym, że „kobiety są ważne".

Obchody Bożego Ciała w Ghanie można analizować na wielu poziomach społecznych i religijnych. Sama procesja stanowi interesujący przykład realizacji idei inkulturacji. Szczególnie po Soborze Watykańskim II Kościół rzymsko-

katolicki otworzył się na kulturowe zasoby afrykańskich tradycji, a afrykańscy kapłani i biskupi podkreślali potrzebę uwzględnienia kontynentalnej specyfiki w celebracjach liturgicznych. W postkolonialnej Ghanie w procesje Bożego Ciała bardzo mocno włączono symbolikę związaną z postaciami tradycyjnych wodzów. Kiedy w Jemie zobaczyłam biegnący uliczkami roztańczony i głośny tłum, który szczelnie otoczył niesiony na ramionach podest z eucharystią i kręcący się ponad nim ceremonialny wodzowski parasol-baldachim, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że biorę udział w powtórce dorocznego Święta Jamów. To tradycyjna uroczystość związana z pierwszymi zbiorami bulw jamowych, które są jednym z najważniejszych produktów gospodarstw rolników na południu i w środkowej części kraju.

Podczas Święta Jamów centralnym wydarzeniem jest procesja, w której na ramionach mieszkańców niesiony jest siedzący w palankinie i odziany w złote insygnia lokalny wódz-król (w języku twi *ɔhene*). To on jest łącznikiem pomiędzy światem żywych, przodkami i dającą plony ziemią. Katolickie Boże Ciało pełnymi garściami czerpie z tych odniesień i wodzowskiej symboliki oraz królewskich atrybutów, doskonale rozpoznawanych przez Ghańczyków. Chrystus jako *ɔhene* zdaje się urealniać i przybliżać – dla wielu nieco abstrakcyjnie brzmiącą – ideę eucharystii. Ponadto licznym Ghańczykom, którzy utożsamiają się z katolicyzmem, lecz nie należą do grupy *communicantes*, procesja daje możliwość odnalezienia się w bliskim kulturowo rytuale w roli aktywnych, pełnoprawnych i w pełni zaangażowanych uczestników.

Jeszcze do niedawna celebracje procesji eucharystycznej w wielu parafiach w Ghanie łączono z przypadającym na ostatnią niedzielę roku liturgicznego świętem Chrystusa Króla. Takie przesunięcie uroczystości Bożego Ciała tłumaczono przede wszystkim warunkami klimatycznymi i kumulacją pory deszczowej w czerwcu, czyli w okresie, na który z reguły przypadają obchody ruchomego katolickiego święta. Dodatkowo symbolika chrześcijańskiego Chrystusa Króla dobrze korespondowała z obrazem akańskiego wodza – *ɔhene*, a samo Święto Jamów w wielu miejscowościach zaledwie o kilka tygodni poprzedzało listopadową katolicką procesję eucharystyczną.

Wieczorne modlitwy i śpiewy poprzedzające uroczystość Bożego Ciała, Jema, Ghana.

Dziś, po ostatnich debatach liturgistów, większość ghańskich diecezji zaleca rozdzielanie święta Bożego Ciała od uroczystości Chrystusa Króla i pozostanie przy typowym katolickim kalendarzu. W wielu parafiach procesje urządzane są zatem w niedzielę, dwa tygodnie po Zesłaniu Ducha Świętego, choć nadal część proboszczów wybiera termin listopadowy. Dodatkowo ostatnie dwa pandemiczne lata ograniczyły uroczystości i nawet w tym roku w większych miastach ma nie być czerwcowych procesji.

Niezależnie od przyjętej daty obchodów procesje wpisują się w tradycyjne lokalne konteksty. Dla Afrykanów ważne jest, aby świętować zgodnie z własnym duchem. – Dla kogoś z zewnątrz nasze celebracje mogą czasem wydawać się niezbyt poważne, nieco chaotyczne czy nieuporządkowane, ale to właśnie jest w zgodzie ze znanymi formami, z muzyką, ruchem ciał, emocjami – tłumaczył mi jeden z ghańskich kapłanów.

Z kolei w Jemie starsi parafii z dumą pokazywali mi wypożyczony na procesję Bożego Ciała wodzowski parasol-baldachim. Jeden z nich wskazał na wieńczącą parasol złotą figurkę ptaka zwracającego się dziobem w kierunku swojego ogona i chwytającego jajko. To akański znak sankofa – oznacza: „wróć i podnieś to, o czym zapomniałeś". W Ghanie bywa przywoływany jako symbol powrotu do korzeni i przypomnienie o wartości lokalnych tradycji. © ANNA NIEDŹWIEDŹ

Autorka jest antropolożką kulturową. Pracuje w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Napisała m.in. książkę „Religia przeżywana. Katolicyzm i jego konteksty we współczesnej Ghanie" (Kraków 2015). Obecnie realizuje projekt badawczy dotyczący pozycji kobiet w chrześcijaństwie afrykańskim.

Trudny dom

USCHI PAWLIK I MISZA CZERNIAK, FUNDACJA WIARA I TĘCZA:

Zbyt wiele otrzymaliśmy ciosów i zbyt wiele słyszeliśmy strasznych rzeczy o sobie, by oddawać teraz w Kościele pole homofobii.

AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ: Wróciliście z Zurychu z konferencji Europejskiego Forum Chrześcijańskich Grup LGBT. W zaproszeniach zachęcano do uczestnictwa, zapowiadając m.in. „śmiech". Czy chrześcijanie LGBT+ mają powody do radości?

USCHI PAWLIK: Takie spotkanie daje radość bycia razem i bycia sobą. Dla niektórych, zwłaszcza osób wciąż „siedzących w szafie", albo ludzi z Europy Środkowej, Wschodniej czy Południowej to jedna z nielicznych przestrzeni, gdzie spotykają ludzi podobnych i przyjaznych, bezpieczna i wypełniona miłością. Więc tak, jest tam miejsce na radość i śmiech, bo – nawet jeśli brzmi to jak klisza – czujemy się rodziną.

MISZA CZERNIAK: To miejsce na różne emocje, także trudne, i jesteśmy tam po to, by się pocieszać i być dla siebie nawzajem. W EuroForum nie muszę nikomu niczego udowadniać, mogę się po prostu cieszyć z bycia w Kościele takim, jaki bym sobie wymarzył. Jakość relacji, jakie tam mamy, jest dla mnie niesamowicie ważna. To miejsce ładowania baterii.

UP: A czy chrześcijanie LGBT+ mają się z czego cieszyć? Na to pytanie nie da się jednoznacznie odpowiedzieć.

MC: Kultywujemy w sobie tę radość, także tworząc bezpieczne przestrzenie, w których nie musimy się wciąż konfrontować z głosami i wydarzeniami, które mogłyby nam ją odebrać.

Co w tym roku było dla Was szczególnie inspirujące?

MC: Kiedy w trakcie nabożeństwa końcowego przyszedł czas na znak pokoju, trwał on około 20 minut. Wspaniale jest przeżywać nawet bardziej sformalizowane wydarzenia w takiej jakości kontaktu. Ja w tym roku zaangażowałem się mocniej, bo zostałem wybrany na współprzewodniczącego EuroForum, za czym idą różne obowiązki, ale z tymi ludźmi chce się pracować. Poza tym były oczywiście ciekawe warsztaty, sesje, bardzo odkrywcze było bliższe poznanie Kościoła rzymskokatolickiego w Zurychu...

UP: To właśnie lokalny Kościół był głównym sponsorem konferencji – zarówno gdy chodzi o wkład finansowy, jak i gościnę. Wspierał nas jawnie, wszędzie był wymieniany jako sponsor, a w otwarciu uczestniczyła szefowa głównego obieralnego organu świeckich katolików kantonu Zurych – Franziska Driessen-Reding. Kościół rzymskokatolicki sponsoruje, współorganizuje i firmuje takie wydarzenie dla osób LGBT+! Postanowiłam się dowiedzieć, jak to jest możliwe.

I dowiedziałaś się, jak zorganizować podobne wydarzenie w Polsce?

UP: W Polsce takie wydarzenie odbyło się już dwa razy, w Warszawie/Otwocku w 2001 r. i w Gdańsku w 2017 r., ale oczywiście bez wsparcia polskiego Kościoła. W Zurychu poszłam na prowadzone przez Franziskę warsztaty, żeby dowiedzieć się, jak tego dokonali, i przyznam, że załamała mnie skala różnic. W Szwajcarii obowiązuje zasada radykalnego rozdziału władzy świeckiej i duchownej, wywodząca się z tradycji protestanckiej i trudnych relacji między państwem a Kościołami. Dochodzi do tego poczucie społecznej odpowiedzialności Szwajcarów, wychowanych w systemie referendalnym. To wszystko przełożyło się na zaangażowanie świeckich w Kościele, za którym idzie realna władza, oznaczająca także decydowanie w kwestiach finansowych oraz wpływ na to, co wiernych dotyczy. Trudno sobie wyobrazić przeniesienie tego na grunt polski.

Szczególnie trudna, ale otwierająca oczy, była część warsztatów, podczas której pracowaliśmy w grupach narodowych i dostaliśmy do wypełnienia obszerne formularze dotyczące tego, co wiemy o naszym Kościele, o podziale władzy i o jego finansach, np. o tym, czyją własnością jest siedziba parafii, kto podejmuje decyzje w sprawie finansowania remontu, kto opłaca katechetów itp.

MC: Ale też: kto wpływa na wybór prezbiterów.

UP: Tak, to jest bardzo ważne, bo w Kościele rzymskokatolickim w Szwajcarii prezbiterzy są wybierani przez świeckich. Biskup sugeruje prezbitera dla parafii, wierni głosują i jeśli go nie chcą, to biskup proponuje innego. I ludzie się w tej sprawie dogadują. Podczas warsztatów załamało nas nie tylko to, że niewiele wiemy, ale też – że nie byliśmy u nas w stanie tych informacji znaleźć.

Jakie są cele EuroForum?

MC: EuroForum funkcjonuje jako organizacja pozarządowa i ma status międzynarodowego NGO przy Radzie Europy, więc to poważna, duża organizacja, która ma obowiązki ustawowe – m.in. sprawozdania, wybory organów, walne konferencje. Te ostatnie organizujemy zwykle w maju w okolicach uroczystości Wniebowstąpienia Pańskiego.

Wszystko zaczęło się od siedmiu grup z Europy Zachodniej, zrzeszających samych gejów, którzy spotkali się, żeby wymieniać się doświadczeniami i wspierać się, wychodząc poza swoje małe podwórka. Następne dekady to lata ciągłej ewolucji i włączania kolejnych grup: lesbijek, osób biseksualnych, transpłciowych i niebinarnych, a od niedawna coraz mocniej brzmi głos osób interpłciowych. W tym roku obchodziliśmy 40. rocznicę pierwszej konferencji i jeden z dawnych uczestników opowiadał wzruszająco, jak po raz pierwszy przyjechały osoby ze wschodnich Niemiec. To poszerzenie na wschód dodało organizacji napędu, bo zwiększało świadomość, że pewne rzeczy, które w krajach zachodnich stawały się coraz bardziej osiągalne, dla uczestników ze wschodu i z południa Europy były perspektywą bardzo odległą. Dzięki temu EuroForum uświadomiło sobie, że jego zadaniem jest nie tylko dzielenie się doświadczeniem, ale i praca nad tym, by sytuacja stawała się lepsza dla wszystkich wierzących osób LGBT+ w Europie.

Co z tego otwarcia na wschód wynikło?

KAZIMIERZ STRZELEC / WIARA I TĘCZA / MATERIAŁY PRASOWE

Katedra Großmünster przygotowana na uroczyste nabożeństwo dla uczestników konferencji, Zurych, maj 2022 r.

MC: Rodziły się pomysły na budowanie potencjału liderek i liderów ze wschodniej Europy, na przykład programy mentoringowe, szkolenia, treningi, letnie szkoły... Ponadto uświadomiliśmy sobie, że w naszych czasach populistyczni politycy prawicowi często posługują się taką narracją: albo się jest osobą LGBT+, albo osobą wierzącą, jedno wyklucza drugie. Łatwo wtedy przedstawić dążenie osób LGBT+ do równouprawnienia jako starcie cywilizacyjne, w którym trzeba bronić cywilizacji chrześcijańskiej. W Polsce często słyszymy podobne teksty. Zadaniem EuroForum jest wstawianie stopy w te zamykające się drzwi: „Hej! My jesteśmy i tym, i tamtym, a taka dychotomia jest narzucona i sztuczna. Chcemy równych praw, a nie obalania Kościołów. Wierzymy w koegzystencję wszystkich. Przyznanie nam pełni praw nikomu niczego nie zabierze".

Czy ten głos przebija się gdzieś poza Wasze środowisko?

MC: Szczęśliwie około 13-15 lat temu zyskaliśmy dobrych sojuszników w kilku rządach i organizacjach europejskich, przede wszystkim w Holandii. Mogliśmy wejść do przestrzeni politycznych: przede wszystkim Rady Europy, ale mamy też kontakty z Komisją Europejską i kilkoma ciałami ONZ. Zajmujemy się tam tym, co po angielsku nazywa się *raising voice* (dosł. podnoszenie głosu), czyli podnosimy świadomość tego, że istniejemy i jakie mamy wizje, problemy, ale też, kim jesteśmy. Nasza obecność i to, co od siebie dajemy, zmienia podejście innych. W Radzie Europy udało się zorganizować wydarzenie „Prawa osób LGBT+ a wolność wyznania". To ważne, bo często przedstawia się te prawa jako kolidujące ze sobą, a to nieprawda.

Współpracując z unijną Agencją Praw Podstawowych, która w 2019 r. przeprowadzała kolejne badanie nad sytuacją osób LGBT+ w Europie, udało się nam sprawić, by w badaniach pojawił się wątek religijny, którego nie było. W ostatniej edycji pojawiło się pytanie „Czy jesteś osobą wierzącą?" i dzięki niemu udokumentowano, że ok. 40 procent społeczności LGBT+ w Europie (spośród ok. 140 tys. badanych) uważa się za osoby wierzące. Nasze zaangażowanie polityczne ma na celu zmieniać świat zarówno dla naszej własnej społeczności, jak i całej społeczności LGBT+.

Jakie są największe wyzwania dla wierzących osób LGBT+ w dzisiejszej Polsce?

UP: Dla mnie jako rzymskiej katoliczki znakiem nadziei jest synod o synodalności i inicjatywa Kongresu Katoliczek i Katolików. Wiem, że uczestniczy w tym mała część społeczności katolickiej w Polsce, jednak są to dla mnie miejsca, gdzie czuję powiew świeżości, powiew Ducha Świętego, który może spowodować, że Kościół będzie bardziej inkluzywny. To nadzieja, że Kościół jako wspólnota będzie słuchał swoich wiernych, ponieważ tylko wówczas ma szansę na większą różnorodność głosów. Nie chodzi o to, kogo jest więcej i kto jest lepszy, ale o to, by słyszeć siebie nawzajem.

Trudne jest na pewno to, że każda nasza – osób LGBT+ – wyraźniejsza obecność społeczna czy polityczna powoduje wzrost reakcji negatywnych. I to jest dla mnie wyzwanie: mam poczucie, że trzeba walczyć o widoczność osób LGBT+, również wierzących osób LGBT+, zwłaszcza rzymskich katolików w Polsce, ale z drugiej strony mam świadomość, że kiedy poświęca się nam więcej uwagi, wywołuje to więcej hejtu, zwłaszcza w internecie.

MC: Różnica między sytuacją Uschi a moją polega na tym, że jako prawosławny należę do Kościoła mniejszościowego w Polsce. Czasami jest tak, że duszpasterze z Kościołów mniejszościowych mają większą wolność, ale z drugiej strony mniejszościowe Kościoły za bardzo oglądają się na to, co robi większościowy. Dopóki w większościowym nie zajdą zmiany, dopóty mniejszościowe będą się bać. Dlatego jeszcze bardziej podziwiam luteran w Polsce, że w końcu zdecydowali się na ordynację kobiet. Na szczęście przestali się przejmować, co pomyśli „starszy brat". Nie wiem, jakie były reakcje Kościoła rzymskiego, za to mój prawosławny odezwał się bardzo krytycznie.

Mam dość dla mnie przyjazną parafię, ale też z powodu różnych wypowiedzi mojego Kościoła w ostatnich latach, szczególnie w okresie pandemii COVID-19 i teraz w czasie wojny Rosji z Ukrainą, musiałem postawić na własne samostanowienie. Owszem, potrzebuję Kościoła, ale mniej szukam go w budynkach kościelnych. Ważną kwestią jest to, że nawet jeśli udaje się znaleźć afirmujących pasterzy i wspólnoty parafialne, to i tak daleko do ideału. Muszą zajść globalne zmiany w Kościele, przekraczające jedynie tolerowanie, współczucie: „Szkoda nam Ciebie i będziemy dla Ciebie mili". ↦

↦ **UP:** „Będziemy się za Ciebie modlić...".

MC: „Więc dobra, przychodź do nas, wszyscy jesteśmy grzeszni, każdy ma coś swojego...". To jest bardzo poniżający dyskurs – „homofobia ludzi łagodnych i dobrych", jak to nazwał Marcin Dzierżanowski...

Należycie do Kościołów, w których bycie wierzącą osobą LGBT+ bywa bardzo trudne. Czy nie myślicie o konwersji?

UP: Zdarza mi się myśleć, że gdzie indziej byłoby przyjaźniej, nawet w Polsce – na przykład w reformowanym Kościele katolickim, ale ja nie chcę zmieniać wyznania. Często posługuję się metaforą domu, rodziny, a w tym przypadku powiedziałabym, że Kościół rzymskokatolicki jest moją ojczyzną. Czuję, że nie mogę nie być rzymską katoliczką, tak samo jak nie mogłabym przestać być Polką, choć mogłabym się przeprowadzić i mieszkać za granicą. Katolicyzm jest częścią mojej tożsamości. W innych Kościołach czuję się miło przyjętym gościem, ale mój Kościół to Kościół rzymskokatolicki.

MC: Ja też często posługuję się pojęciami domu i ojczyzny, ale z drugiej strony, mam w swoim życiu doświadczenie migracji... Na przestrzeni lat bardzo zmieniło się moje podejście do innych Kościołów i ekumenizmu. Pamiętam siebie sprzed około 15 lat, kiedy trudno by mi było wziąć udział w nabożeństwie prowadzonym przez kobietę. Jakieś 10 lat temu miałbym problem z interkomunią. Ale doświadczenie aktywnego udziału w ruchu chrześcijan LGBT+ mocno zmieniło moje spojrzenie na to, co jest ważne, a co nieistotne. Widzę, że tak jak kapitalizm i patriarchat zyskują na podziałach i skłócaniu społeczeństwa, tak w życiu kościelnym również ktoś zyskuje na podziałach, np. homofobii. Bycie ze sobą ponad różnymi granicami zyskało dla mnie ogromną wartość. I nawet jeśli mój udział w nabożeństwach komunijnych na EuroForum nie mieści się w granicach teologii prawosławnej, to jest dla mnie znakiem ogromnego zaufania Bogu. Uczestniczę we wspólnocie, która przeżywa w tej chwili wcielenie Boga. Więc pozostaję w mojej nieafirmującej rzeczywistości z myślą, że mam tam jeszcze coś do powiedzenia i zrobienia. Mogę przyczyniać się do tego, by inni nie przeżywali tego, co ja kiedyś przeżywałem. Zbyt wiele otrzymaliśmy ciosów i zbyt wiele słyszeliśmy strasznych rzeczy o sobie, by teraz oddawać w Kościele pole homofobii. Czuję powołanie, by z tym walczyć tak długo, jak długo mogę. Choć wiem, że moje siły nie są nieograniczone.

ARCHIWUM PRYWATNE

USCHI PAWLIK – aktywistka LGBT+ związana z Fundacją Wiara i Tęcza (współkoordynuje lokalną grupę Wiary i Tęczy w Warszawie), katoliczka. Zaangażowana w Kongres Katoliczek i Katolików, działa w grupie Spojrzenie na Małżeństwa i Związki Partnerskie. Współzałożycielka Stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza. Osoba biseksualna, od 17 lat w związku, którego nie może sformalizować w Polsce. Zawodowo: tłumaczka, korektorka i redaktorka.

MIKOŁAJ STEFAŃSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

MISZA CZERNIAK – muzyk, tłumacz, aktywista LGBT+, prawosławny. Urodził się w Moskwie, od 2011 r. mieszka w Warszawie. Współzałożyciel Fundacji Wiara i Tęcza skupiającej Chrześcijan LGBT+ w Polsce. Od maja 2022 r. współprzewodniczący Europejskiego Forum Chrześcijańskich Grup LGBT. Autor Listu otwartego do biskupów panprawosławnego soboru na Krecie w imieniu prawosławnych osób LGBT+ (2016), współredaktor tomu „For I Am Wonderfully Made. Texts on Eastern Orthodoxy and LGBT Inclusion". Założyciel i dyrygent pierwszego w Polsce chóru osób LGBT+ i przyjaciół Voces Gaudii.

Co chcielibyście powiedzieć chrześcijanom LGBT+ w Polsce?

UP: Katolicy w Polsce często nie mają doświadczenia tego, czym jest wspólnotowość. Bardzo wielu z nas przychodzi do swojego kościoła parafialnego z podejściem klienckim: przychodzą, zostają obsłużeni, msza, chrzest, ślub i wychodzą. Chciałabym zachęcić innych, by spojrzeli na swoje zaangażowanie we wspólnotę: czy to religijną, czy taką jak społeczność LGBT+, z perspektywy relacji. Żeby nawiązywać kontakty, a nie tylko biernie obserwować.

Nie chodzi mi po prostu o reklamowanie Wiary i Tęczy, do której oboje należymy. Po prostu wiem, jak to jest, gdy osoba nieznająca innych ludzi do siebie podobnych przychodzi na nasze spotkanie i nagle spotyka osoby LGBT+, dla których ważny jest kontakt z Bogiem. Często czujemy się wyobcowani w swoich środowiskach: zarówno w społeczności wierzących, jak i w społeczności osób LGBT+, które nie są wierzące. Można mieć do czynienia z ostracyzmem z obu stron.

MC: Chociaż nie ukrywajmy, że ze strony osób wierzących przytrafia się on dużo częściej...

UP: Warto zrobić ten pierwszy krok i przyjść na spotkanie.

MC: Chcę jeszcze dodać, że nieraz takie wspólnoty zawiązują się same. Częstym doświadczeniem queerowych chrześcijan jest to, że wspólnota jest nie tam, gdzie się jej spodziewasz. Uczono nas o wspólnocie parafialnej podlegającej biskupom itp., a Duch naprawdę wieje, kędy chce. Owszem, wielu uczestników EuroForum jest związanych z Kościołami, są pastorami, należą do struktur, które też ich często frustrują i są trudne. Jednak ważne jest także nasze doświadczenie transgresji, przekraczania granic, charakterystyczne dla osób queerowych. Mówi się często, że kiedyś Kościoły dojdą do jedności. Możemy na to czekać, opierając się na formalnych wytycznych, albo możemy już tym żyć. Wiem, że apel: „żyjmy rzeczywistością Królestwa Bożego!" może brzmieć naiwnie, ale tak, to właśnie próbujemy robić.

© Rozmawiała
AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ

MPC / MATERIAŁY PRASOWE

Patriarcha serbski Porfiriusz (z otwartymi ramionami) wita się z macedońskim arcybiskupem Stefanem. Belgrad, 18 maja 2022 r.

Lekcja kościelnej pokory

MIRELLA MAKURAT

Po ponad pół wieku rozłamu Patriarchat Konstantynopola przyjął do wspólnoty eucharystycznej Cerkiew z Macedonii, a Patriarchat Serbski uznał jej niezależność.

To, co się wydarzyło, prawosławny patriarcha serbski Porfiriusz nazwał cudem, choć to głównie dzięki niemu ten cud był możliwy. W prawosławne święto świętych Cyryla i Metodego, Apostołów Słowian, 24 maja w soborze katedralnym św. Klemensa Ochrydzkiego w Skopje zwierzchnicy prawosławnych Kościołów Serbii i Macedonii – patriarcha Porfiriusz i arcybiskup Ochrydy i Macedonii Stefan – przewodniczyli wspólnej liturgii. Podczas niej patriarcha ogłosił, że Święty Sobór Biskupów Serbskiej Prawosławnej Cerkwi uznał, po 55 latach rozłamu, autokefalię Macedońskiej Cerkwi. Oficjalny dokument przekazano 5 czerwca w Belgradzie.

Autokefalia to status pełnej niezależności lokalnego Kościoła prawosławnego od ośrodków poza granicami danego kraju, a jednocześnie pozostawanie w łączności wiary i sakramentów z całą Cerkwią. Status ten gwarantuje m.in. możliwość wybierania zwierzchnika własnego Kościoła. Niezbędnymi warunkami otrzymania autokefalii jest zgoda Kościoła-Matki, uznanie nowego statusu przez pozostałe Kościoły autokefaliczne, a także posiadanie odpowiedniej liczby biskupów, diecezji i klasztorów.

Kilkanaście dni wcześniej, 9 maja, po posiedzeniu Świętego Synodu Ekumenicznego Patriarchatu Konstantynopolitańskiego pod przewodnictwem patriarchy Bartłomieja jego Kancelaria ogłosiła, że „przyjmuje do wspólnoty eucharystycznej hierarchię, duchowieństwo i lud Kościoła pod przewodnictwem arcybiskupa Stefana, uzdrawiając ranę schizmy i polewając »winem i olejem« rany naszych tamtejszych, prawosławnych braci”. A także: „Do najświętszego Soboru Cerkwi Serbii należy uregulowanie kwestii administracyjnych, które istnieją między nią a Cerkwią w Macedonii Północnej, oczywiście w ramach aktu kanonicznego i cerkiewnej tradycji. Za nazwę tego Kościoła uznaje »Ochrydzki« (biorąc pod uwagę obszar jego jurysdykcji w granicach państwa Macedonii Północnej)”. Akt ten zakończył trwającą ponad pół wieku izolację macedońskiego Kościoła.

Trudna droga do autokefalii

Chrześcijaństwo na tych terenach pojawiło się już od swego zarania. Macedonia, rozumiana szerzej niż obszar dzisiejszego państwa Macedonii Północnej – jako prowincja Cesarstwa Rzymskiego, wspomniana jest w Dziejach Apostolskich: „W nocy miał Paweł widzenie: jakiś Macedończyk stanął [przed nim] i błagał go: »Przepraw się do Macedonii i pomóż nam!«. Zaraz po tym widzeniu staraliśmy się wyruszyć do Macedonii w przekonaniu, że Bóg nas wezwał, abyśmy głosili im Ewangelię” (por. Dz 16, 9-14). W Filippi – największym mieście ówczesnej Macedonii – Paweł ochrzcił sprzedawczynię purpury o imieniu Lidia z miasta Tiatyry. Była ona pierwszą chrześcijanką na kontynencie europejskim. Jej dom dał początek powstającej w Filippi gminie chrześcijańskiej.

W 535 r., niedaleko dzisiejszego Lebanu w Serbii, w starożytnym mieście Iustiniana Prima powstało arcybiskupstwo. Przetrwało do początku VII wieku, do najazdu Awarów i Słowian. Obejmowało obszar pokrywający się częściowo z Arcybiskupstwem Ochrydzkim, które istniało w latach 1018-1767, a zostało uformowane za panowania cara Samuela (976-1014), do którego roszczą sobie prawo zarówno współcześni Bułgarzy, jak i Macedończycy. Samuel przeniósł stolicę państwa bułgarskiego do Ochrydy, która stała się centrum kulturalnym i politycznym, a także siedzibą patriarchatu.

Po klęsce Samuela w starciu z bizantyjskim władcą Bazylim II (976-1025) w 1018 r. Ochryda straciła status patriarchatu na rzecz arcybiskupstwa. Jako lokalna autokefaliczna Cerkiew istniała nawet po opanowaniu tych terenów przez Imperium Osmańskie, do 1767 r., kiedy to zlikwidował ją sułtan Mustafa III. Jej jednostki administracyjne zostały wówczas przyłączone do Patriarchatu Konstantynopolitańskiego. Obszar dzisiejszej Macedonii Północnej znajdował się pod jego jurysdykcją do czasu wojen bałkańskich, kiedy to przechodził na zmianę pod wpływy Serbii i Bułgarii. Gdy po II wojnie światowej utworzono w ramach Jugosławii Macedońską Republikę Ludową, diecezje wróciły do Serbskiej Cerkwi. Jednak już w marcu 1945 r. odbył się w jugosłowiańskiej Macedonii pierwszy ↦

Cerkiewno-Ludowy Sobór, podczas którego ogłoszono odnowienie arcybiskupstwa ochrydzkiego, domagając się ustanowienia rodzimego zwierzchnika i kleru, a także niezależności kościelnej.

Ponieważ Zgromadzenie nie było zwołane przez biskupów, Cerkiew Serbska nie uznała go. Także władze odrzuciły ten pomysł, widząc w nim „macedoński separatyzm". W 1958 r. drugi Cerkiewno-Ludowy Sobór ogłosił odnowienie arcybiskupstwa w postaci autonomicznej Macedońskiej Cerkwi Prawosławnej. W końcowej uchwale sobór zapewniał o pozostaniu w łączności z Serbskim Kościołem Prawosławnym i uznaniu zwierzchnictwa patriarchy serbskiego. W roku następnym, mimo zastrzeżeń co do kanoniczności tego soboru (obecność tylko jednego biskupa w momencie jego otwarcia), Serbski Kościół Prawosławny zadeklarował aprobatę wobec jego postanowień.

Dążąc do całkowitej niezależności, jesienią 1966 r. zwierzchnik Macedońskiej Cerkwi Prawosławnej arcybiskup Dosyteusz wystąpił do patriarchy Serbii o nadanie Kościołowi macedońskiemu autokefalii. W maju następnego roku prośba została odrzucona. Kościół macedoński postanowił wtedy, mając wsparcie władz państwowych, działać jednostronnie. W czasie synodu w dniach 17-19 lipca 1967 r. w Ochrydzie Święty Sobór Cerkwi ogłosił autonomiczny Kościół Macedonii autokefalicznym, z metropolitą Ochrydy i całej Macedonii jako zwierzchnikiem. Decyzje te Patriarchat Serbski uznał za nieważne, a na jego prośbę macedońskiej autokefalii nie uznały także inne lokalne Kościoły prawosławne.

Przyznanie niezależności dla macedońskiej Cerkwi część Serbów uznała **za wyrzeknięcie się średniowiecznego dziedzictwa serbskiego.**

Po dziesięcioleciach niemal całkowitego braku jakichkolwiek kontaktów Kościół serbski, chcąc uregulować napiętą sytuację, przywrócił w 2002 r. arcybiskupstwo ochrydzkie w ramach Patriarchatu Serbskiego. Jego zwierzchnikiem został arcybiskup Jovan (Jan) – zdobył on minimalne poparcie wśród wiernych, którzy pozostali przy dotychczasowej hierarchii. Rozłam tylko się pogłębiał.

Nie widząc szans na upragnioną autokefalię, część biskupów i wyższego kleru Cerkwi macedońskiej zwróciła się w 2017 r. w stronę Bułgarii. Chcieli odzyskać chociaż autonomię (a przez to być włączonymi do wspólnoty eucharystycznej), uznając Cerkiew bułgarską za swój Kościół macierzysty. Sprzeciwili się temu jednak pozostali macedońscy biskupi.

Nowa szansa na porozumienie pojawiła się w 2021 r., kiedy kolejnym serbskim patriarchą został Porfiriusz, uznawany za autorytet duchowy i za zwolennika dialogu. Niewątpliwie to dzięki jego dobrej woli, a także przychylności patriarchy konstantynopolitańskiego Bartłomieja, Macedońska Cerkiew Prawosławna zawdzięcza uznanie jej autokefalii.

Pokój na Bałkanach

Postęp w procesie przywrócenia kanonicznego statusu Cerkwi macedońskiej można uznać za odpowiedź Serbskiego Kościoła Prawosławnego na obecne czasy niepokojów i kryzysów. Zdaje się, że Bałkany wyciągnęły lekcję z historii – chociaż mimo ogólnego entuzjazmu, jaki zapanował w Serbii i Macedonii, pojawiły się też głosy sceptyczne. Część wiernych z Serbii decyzję patriarchatu uznała za wyrzeknięcie się średniowiecznego dziedzictwa serbskiego, sprawie zazdrośnie przygląda się też Bułgaria, której trudno przychodzi godzenie się z utratą wpływów w Skopje. Konstantynopol z radością przyjął uznanie macedońskiej autokefalii przez Sobór serbski, choć i tu nie zabrakło elementu politycznego, odnoszącego się do nazwy nowo uznanej Cerkwi – w kontaktach z Grekami nie może ona używać nazwy „Macedonia" ani jej derywatów. Kościół grecki rozpatruje już uznanie kanonicznego statusu nowej autokefalii – wyrażając zarazem zaniepokojenie używaniem przez Serbów samego przymiotnika „macedońska".

Mimo tych wątpliwości i trudności, delegacja biskupów i duchowieństwa Cerkwi macedońskiej z jej zwierzchnikiem od 9 do 13 czerwca przebywała na zaproszenie patriarchy Bartłomieja w Stambule, gdzie w dzielnicy Fanar mieści się siedziba Patriarchatu konstantynopolitańskiego. Centralnym punktem wizyty była wspólna liturgia 12 czerwca, w Święto Zesłania Ducha Świętego. Jest to wydarzenie historyczne – prawdopodobnie pierwsza wspólna celebracja liturgii przez Patriarchę Ekumenicznego i arcybiskupa ochrydzkiego w historii nowożytnej (niektóre zapisy wskazują, że ostatni raz miało to miejsce w 1763 r.). Oczekuje się, że zwieńczeniem całego procesu będzie w niedalekiej przyszłości wydanie tomosu przez Bartłomieja.

© MIRELLA MAKURAT

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Mrągowie I Wydział Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 199/21, toczy się sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po Suwezda Anna, mającej ostatnie miejsce zamieszkania w Szestnie 36/4, 11-700 Mrągowo, zmarłej w dniu 27 czerwca 2020 roku. Spadkodawca majątku nie pozostawił.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Mrągowie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Tarnowie, pod sygn. akt I Ns 766/21, toczy się postępowanie z wniosku Stanisława Janasa i Marioli Janas przy uczestnictwie Wandy Janas, Bogusławy Sumary i Marii Kurpiel o stwierdzenie nabycia przez wnioskodawców przez zasiedzenie, na mocy wspólności małżeńskiej, prawa własności nieruchomości stanowiącej gospodarstwo rolne położonej w Olszynach, gmina Wojnicz, powiat tarnowski, w obrębie nr 0008, składającej się z działek ewidencyjnych oznaczonych numerami: 147 – o pow. 0,81 ha i 558 – o pow. 0,50 ha, dla której to nieruchomości Naczelnik Gminy Wojnicz wydał 29 listopada 1979 roku na rzecz Jana Magiery, syna Jana i Rozalii, akt własności ziemi, nr UG/7429/470/170/79.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Tarnowie i wykazali swe prawa do przedmiotu postępowania o stwierdzenie nabycia z mocy prawa własności nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd może stwierdzić nabycie własności zgodnie z wnioskiem.

WOJCIECH

Bonowicz:
Głos z „dworu”

Dużo się musi zmienić, żeby nic się nie zmieniło. Na Wschodzie kolejny dzień krwawej wojny, wojny na serio, wojny, która pustoszy część kraju i której ofiary liczyć należy już w dziesiątkach tysięcy, a u nas kolejna odsłona głupawej wojenki, właściwie teatrzyku wojennego, nie wiadomo, czy amatorskiego, czy amatorszczyznę udającego. Kiedy już-już miało się odrobinę złudzeń, że ktoś tam w ekipie siedzącej u sterów trzeźwieje, wychodzi poseł Ruski (komputer sam zmienił nazwisko, a ja nie zamierzam poprawiać...) i mówi, co mówi. Właśnie czytam głośną książkę Simona Montefiorego „Stalin. Dwór czerwonego cara” i jeśli by iść za skojarzeniami posła Ruskiego, okazałoby się, że to nic innego, tylko opowieść o dziejach... Unii Europejskiej. Czyli – myślę sobie konsekwentnie – nowego przedmiotu o nazwie „historia i teraźniejszość” można by właściwie uczyć z książki Montefiorego... Jest naprawdę dobrze napisana, owszem, gruba, ale proponowany podręcznik też jest gruby, a Montefiore daje jednak coś w zamian: daje mianowicie pożyteczny wgląd w zjawisko „dworu” politycznego. A więc – jak się ów „dwór” formuje, jakie są konsekwencje podporządkowywania polityki nastrojom i fobiom jednej osoby, a kiedy „dwór” może tę politykę korygować, a nawet skutecznie na nią wpływać, jak się wewnątrz „dworu” można wspinać po kolejnych szczeblach, a jak się wypada z łaski, i tak dalej. Ciekawe, czy poseł Ruski czytał Montefiorego? Mam wrażenie, że przeczytał uważnie i dlatego powiedział to, co powiedział.

Jest w tej książce mnóstwo scen ciekawych, pokazujących, jak dramatyczne bywały losy tych, którzy walczyli o wpływy „czerwonego cara”. Niekiedy wystarczył drobny błąd – ktoś w obecności Stalina skurczył się przerażony, ktoś inny nie złożył na czas samokrytyki – i człowiek, którego nazwisko jednego dnia budziło strach, drugiego spadał do piekła. Piękna jest scena, w której Stalin tłumaczy Eisensteinowi, dlaczego sposób przedstawienia Iwana Groźnego w nowym filmie go oburzył. „Wasz car jest mazgajowaty, przypomina Hamleta. Car Iwan był wielkim, mądrym władcą (...) mądrym (...) nie wpuścił do kraju cudzoziemców. Piotr też był wielkim carem, ale traktował cudzoziemców zbyt liberalnie. Tym bardziej Katarzyna. Czy dwór Aleksandra I był rosyjski?... Nie, był niemiecki. Postacie historyczne należy odpowiednio pokazywać”.

Niechęć do cudzoziemców jest jedną z tych fobii, którymi stosunkowo najłatwiej manipulować. Podział na „swoich” i „obcych” jest w naszej umysłowości mocno ukorzeniony. Uprzedzenia z niego wynikające plączą się nawet po otwartych głowach, cóż dopiero mówić o głowach niewietrzonych. Żeby pognębić politycznego przeciwnika, najlepiej zarzucić mu „obcość”, wysługiwanie się „cudzoziemcom” – tak rozprawiał się z opozycją Stalin, tak, w ślad za nim, postępuje Putin. Nie należy powtarzać pomysłów posła Ruskiego i budować tyleż łatwych, co absurdalnych analogii: nasz obecny „dwór”, „dworek” właściwie, i tamte „dwory” to zupełnie inne rzeczywistości. Jeśli się jednak sięga po przykłady autorytarnych przywódców i zarzuca autorytaryzm innym, dobrze by było stuknąć się najpierw we własne piersi. A najlepiej – w piersi i w czoło. ©

PS. *Á propos* poprawiania nazwisk przez komputer: w moim tekście sprzed trzech tygodni, zatytułowanym „Retoryka kolorowych zadków” autokorektor konsekwentnie zmieniał nazwisko włoskiego krytyka Giorgio Manganellego na Marinellego. Bardzo mi wstyd, że tego nie wyłapałem. Przepraszam za błąd szczególnie znakomitą tłumaczkę Manganellego – Klaudię Wajdę-Nalezińską. I dziękuję jej za miłe słowa, które dołączyła do sprostowania.

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Szczytnie Wydział I Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 316/21, toczy się sprawa o zasiedzenie udziałów we własności nieruchomości zabudowanej położonej w Gromie pod numerem 93, stanowiącej działkę gruntu o numerze ewidencyjnym 205, dla której Sąd Rejonowy w Szczytnie prowadzi księgę wieczystą o numerze OL1S/00016441/4, gdzie w dziale II jako współwłaścicieli nieruchomości w częściach po 3/40 ujawniono Marię Baas, Frydę Ern, Annę Habich i Jana Masłowskiego. Posiadaczami nieruchomości są obecnie małżonkowie Bożena i Jan Wanowicz, współwłaściciele w 28/40.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, w szczególności następców wskazanych wyżej osób, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Szczytnie i wykazali swoje prawo własności, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o zasiedzenie i sąd stwierdzi zasiedzenie udziałów w nieruchomości.

Przed Sądem Rejonowym dla Krakowa-Podgórza w Krakowie Wydział XII Cywilny toczy się postępowanie w sprawie o sygn. XII Ns 749/21/P z wniosku Sebastiana Antosiewicza przy uczestnictwie Adama Antosiewicza, Elżbiety Antosiewicz, Damiana Antosiewicza i Rafała Antosiewicza o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Antosiewicz z domu Apostoł, córce Jana i Anny z domu Rożek, urodzonej w dniu 20 lutego 1880 roku, zmarłej w dniu 10 września 1946 roku w Krakowie i tu ostatnio stale zamieszkałej. Zmarła nie pozostawiła testamentu.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby zgłosili się w terminie 3 miesięcy i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Wzywa się również wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zmarłej, aby w powyższym terminie przekazały je Sądowi.

NARESZCIE DOSTRZEGAMY, JAK WSPANIAŁY JEST NASZ KRAJ

JAROSŁAW HRYCAK, UKRAIŃSKI HISTORYK:

Swoimi rakietami Putin niszczy także prorosyjską orientację na Ukrainie. Ona kojarzy się dziś z wojną i jej skutkami.

PAWEŁ PIENIĄŻEK: Jak Pana zastał 24 lutego?

JAROSŁAW HRYCAK: O godzinie szóstej trzydzieści rano – to jest piąta trzydzieści czasu polskiego – obudził mnie telefon od Myrosława Marynowycza [prorektor Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie, działacz społeczny – red.]. Powiedział, że się zaczęło. Moja żona była na leczeniu w uzdrowisku niedaleko Lwowa, więc od razu się z nią skontaktowałem i poprosiłem, by natychmiast wracała do domu. Bałem się, że dojdzie do paniki i żona utknie w korku nie wiadomo na jak długo. Nie wiedziałem, kiedy się znowu spotkamy. Na szczęście wszystko ułożyło się pomyślnie i zobaczyliśmy się kilka godzin później.

Przez pierwsze dni inwazji prowadziłem dziennik, ale potem to porzuciłem i ostatnie miesiące zlały mi się w jedno.

Od razu Pan uwierzył, że wojna rozgorzała na nowo?

W zeszłym roku w ukraińskich mediach ostrzegałem, że zmierzamy od roku 1933 do 1939, i że teraz znajdujemy się w roku 1938. Groźba wybuchu pełnowymiarowego konfliktu była bardzo prawdopodobna. Dlatego to, co stało się 24 lutego, nie było dla mnie dużą niespodzianką. Choć nie spodziewałem się, że dojdzie do tak zmasowanego ataku.

Dlaczego sądził Pan, że to nadciąga?

W lipcu ubiegłego roku ukazał się ten, przepraszam za słowo, głupawy artykuł Władimira Putina, w którym wyjaśniał, dlaczego Rosjanie i Ukraińcy są jednym narodem. Przytaczałem wtedy słowa rosyjskiego ekonomisty Andrija Iłarionowa, że werbalna agresja poprzedza militarną. To znaczyło, że plan był już gotowy. Oczywiście nie dało się tego powiedzieć na pewno, ale pojawiło się poczucie, że zagrożenie jest realne. Poziom skonfliktowania mocno narastał i to nie tylko między Rosją a Ukrainą, ale na całym świecie. Uważałem, że ponownie dzieje się to, co podczas dwóch wojen światowych, mianowicie: Ukraina będzie jądrem tego konfliktu.

To znaczy, że 24 lutego nie rozpoczął się rok 1939?

Nie rozpoczął się w tym sensie, że rosyjsko-ukraińska wojna nie przerodziła się w wojnę światową. Ale jeśli, broń Boże, przerodzi się, to ci historycy, którzy przeżyją, powiedzą, że to był jej początek.

Co sprawia, że narasta to skonfliktowanie?

Na pewno jednym z ważnych elementów jest to, że wyrosły już dwa pokolenia, które nie widziały takiej wojny jak ta obecna. Wtedy dużo łatwiej uznać ją za coś prostego, lekkiego, a nawet pociągającego. To był element bardzo silnie obecny w rosyjskiej propagandzie – wojna była wszędzie. A kiedy zaczyna się jej heroizacja, to można się spodziewać, że do niej dojdzie.

Nie tylko w Rosji zresztą, ale w całym świecie euroatlantyckim wyrosło pokolenie, które zna taką wojnę tylko z hollywoodzkich filmów i gier komputerowych. Wydaje się im ona nierealna. Pamięć ludzka jest bardzo krótka, przez co im dalej od wielkiej wojny, tym jej zagrożenie staje się większe.

I z tego powodu przywódcy nagle planują kolejny konflikt?

Powszechnie sądzi się, że wszczęcie wojny to świadoma decyzja, a ona zazwyczaj jest podejmowana z powodu błędnych założeń. Przede wszystkim przecenienia własnych sił i niedocenienia przeciwnika. Dlatego często ci, którzy atakują, przegrywają.

OKSANA TYSOVSKA

Jarosław Hrycak, lipiec 2021 r.

To jak w przypadku rosyjskiej ofensywy z 24 lutego?

Tak, to jest wojna, o której zadecydował jeden człowiek na podstawie błędnych założeń – zarówno wobec Ukrainy, jak też całego Zachodu.

Pan nie traktuje konfliktu w Donbasie, który trwał od roku 2014, oraz ofensywy rozpoczętej 24 lutego jako jednego wydarzenia?

Oczywiście jest tu ciągłość, bo Rosja zaatakowała teraz również dlatego, że – jak twierdziła – chciała obronić samozwańcze republiki ludowe, doniecką i ługańską, przed rzekomym ukraińskim atakiem. Jednak wojna rozpoczęta w 2014 r. należała do konfliktów niskiej intensywności. Większość Ukraińców i Rosjan nie doświadczyła jej osobiście. Dlatego nie łączyłbym ich w taki sposób. Można natomiast spojrzeć na nie jako na jeden proces, jeśli cofniemy się jeszcze o krok.

JAROSŁAW HRYCAK (ur. 1960) jest ukraińskim historykiem i intelektualistą. Profesor Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie, doktor honoris causa Narodowego Uniwersytetu Akademia Kijowsko-Mohylańska. Wykładał także na Harvardzie i Uniwersytecie Columbia. Autor książek poświęconych dziejom Ukrainy, z których w Polsce ukazały się m.in. „Historia Ukrainy 1772-1999: Narodziny nowoczesnego narodu" (przeł. Katarzyna Kotyńska), „Prorok we własnym kraju. Iwan Franko i jego Ukraina (1856-1886)" (przeł. Anna Korzeniowska-Bihun i Anna Wylegała). Za tę ostatnią otrzymał nagrodę im. Jerzego Giedroycia. K ilka razy był na liście „stu najbardziej wpływowych Ukraińców", publikowanej przez tygodnik i portal „Novoye Vremya".

Mianowicie?

Do roku 2008. Wtedy to, od razu po wojnie gruzińsko-rosyjskiej, Kreml przyjął nową strategię wobec Ukrainy. Wyciekła ona do mediów i rok później pisali o niej m.in. były sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy Wołodymyr Horbulin wraz ze swoim współpracownikiem Ołeksandrem Łytwynenką w ukraińskim tygodniku „Dzerkało Tyżnia". Wówczas wyglądało to na czystą fantastykę i nikt im nie uwierzył.

A co było tam tak szokującego?

Założenie artykułu było bardzo proste: Putin uważał, że traci Ukrainę raz na zawsze. Dlatego postanowił zastosować zbrojną agresję wobec Ukrainy do roku 2015. Zapominamy, że Putin zaczął swoją karierę polityczną w otoczeniu prezydenta Borysa Jelcyna. Przed samym upadkiem Związku Sowieckiego to właśnie oni zdecydowali, żeby pozwolić Ukrainie ↦

MINCHENKO HENNADII / UKRINFORM/ ABACA /EAST NEWS

Demontaż pomnika Braterstwa Rosyjsko-Ukraińskiego w Kijowie, kwiecień 2022 r.

stać się niepodległym państwem, bo – jak sądzili – będzie to kraj niezdatny do życia i jego elity same poproszą o ponowne przyłączenie do Rosji, tylko już na kolanach. To się nie sprawdziło. Ukraina nie tylko nie wracała, a umacniała swój zachodni wektor.

Zgodnie z tą rosyjską strategią z 2008 r. założono, że kto by nie przyszedł do władzy w Kijowie, nawet z części rosyjskojęzycznej, to i tak będzie oddalać Ukrainę od Rosji. Tak stało się z prezydentem Leonidem Kuczmą, a potem nawet prezydent Wiktor Janukowycz okazał się być nie tak sterowalny, jakby życzył sobie tego Kreml.

A dlaczego akurat do roku 2015?

W otoczeniu Putina obawiano się, że w tym czasie zacznie się zmiana pokoleniowa wśród ukraińskich elit. Stopniowo do głosu będzie dochodzić pokolenie, którego dorosłość nie przypadła na okres sowiecki, które nie będzie emocjonalnie związane z Rosją, a do tego będzie jeszcze bardziej zwrócone na Zachód. Dlatego Kreml musiał działać, żeby nie stracić Ukrainy na zawsze.

Otoczenie Putina zakładało, że w 2015 r. odbędą się kolejne wybory prezydenckie, i że partie prorosyjskie będą manipulowały ich rezultatem, co w efekcie doprowadzi do kolejnego Majdanu [po tym z przełomu lat 2004-05, który nazwano pomarańczową rewolucją – red.]. To dałoby Rosji sprytny argument do ataku militarnego, aby rzekomo ochronić Ukrainę przed wojną domową i zaprowadzić na niej porządek.

Co Rosja miała osiągnąć dzięki siłowemu rozwiązaniu?

Podział Ukrainy na trzy części. Na południu i wschodzie miała zostać stworzona Noworosja, która ostatecznie stałaby się częścią Rosji. W założeniu miało się to udać przy minimalnych stratach, bo Kreml zakładał, że ludność rosyjskojęzyczna z radością przywita wkraczające na te ziemie wojska rosyjskie. Z kolei zachodnia Ukraina miała robić, co zechce, bo dla Rosji to i tak utracone terytorium. Dlatego politycy z Kremla co chwila wrzucają prowokacyjne wypowiedzi, żeby zachodnią Ukrainę zajęły Polska czy Węgry. Natomiast na pozostałym terytorium miała powstać pomniejszona Ukraina z centrum w Kijowie. Miała być lojalna wobec Rosji, z marionetkową władzą.

Drugi Majdan rozpoczął się jednak nie w roku 2015, lecz jesienią 2013 – po tym, jak Janukowycz odrzucił projekt stowarzyszenia Ukrainy z Unią Europejską.

To nas prawdopodobnie uratowało, bo Rosja nie była jeszcze gotowa na działanie, a ponadto była zajęta zimową olimpiadą w Soczi. Iłarionow ostrzegał jednak Ukraińców, że jak olimpiada się skończy, to rozpocznie się wojskowa agresja. To wszystko się wydarzyło.

Na skutek wojny w Donbasie zginęło przynajmniej 13 tys. ludzi. Powstały dwie nieuznawane marionetkowe republiki na części terytoriów obwodów donieckiego i ługańskiego, ale Kreml osiągnął znacznie mniej, niż zakładał. Noworosja nie powstała.

A my naiwnie sądziliśmy, że skoro to się nie udało, to Putin zrezygnował ze swoich planów. Okazuje się, że one pozostawały jednak na jego biurku.

Dlaczego zdecydował się na zmasowany atak dopiero osiem lat później?

Mogę podzielić się wyłącznie moimi przypuszczeniami. Po 2014 r. doszło do protestów na Białorusi i w Kazachstanie. Oba reżimy obroniły się przy wsparciu Rosji. Do tego doszło do zwycięstwa Putina w Syrii i porażki Stanów Zjednoczonych w Afganistanie. To wszystko sprawiło, że na Kremlu uznano, iż Zachód jest słaby i niezdolny do działania. Do tego Putin i jego otoczenie byli przekonani, że w razie ataku Ukraina szybko się podda.

Co zmieniło się w ukraińskim społeczeństwie, że Rosja tak źle oceniła sytuację?

Tak bardzo skupialiśmy się na myśleniu o podziałach Ukrainy na wschód-zachód, że nie zauważyliśmy zachodzących zmian. Pojawiło się młode pokolenie, zazwyczaj z wyższym wykształceniem i pracujące w sektorze usług. W znacznej mierze Majdan był ich rewolucją.

Przy czym te wydarzenia wpisują się w szersze globalne tendencje. Do tego typu wystąpień dochodziło podczas arabskiej wiosny, protestów Occupy Wall Street, w Moskwie, Białorusi czy na stambulskim placu Taksim. Ich motorem byli głównie ludzie młodzi i wykształceni, którzy zwykle pragnęli lepiej funkcjonującego państwa i większych politycznych swobód. Przy czym różnica między nimi a Ukrainą była taka, że u nas dochodził jeszcze jeden istotny czynnik: nie walczono po prostu ze skorumpowanym reżimem, tylko ze skorumpowanym reżimem popieranym przez Rosję. To nie była więc walka wyłącznie o lepsze jutro, lecz o Ukrainę w ogóle. Wątpię, czy bez nacjonalizmu rewolucji udałoby się wygrać, ale to nie znaczy, że rewolucję wygrali nacjonaliści.

Gdy mówię o globalnych tendencjach, jest to również kwestia tego, jak będzie wyglądać przyszłość. To znaczy, czy narzucą jej swoją wizję reżimy w stylu Rosji czy Chin, czy raczej młode demokracje. Te pierwsze zagrażają tym drugim – i odwrotnie. Dlatego ludzie tacy jak Putin wy-

stępują jako „żandarmi" i chcą powstrzymać rewolucje.

Co zmieniło się po 24 lutego? Oczywiście nie mówię tutaj o ofiarach i zniszczeniach, ale o przemianach społecznych.

Ukraina jest krajem cudów. Po raz pierwszy od uzyskania niepodległości Ukraińcy twierdzą dziś, że sprawy w kraju zmierzają w dobrym kierunku, choć przecież trwa wojna. Po drugie, Ukraińcy zaczęli ufać państwu – gdy w takich momentach zazwyczaj dochodzi do czegoś przeciwnego. Po trzecie, społeczeństwo jest zmobilizowane i zjednoczone w skali dotychczas niewidzianej. Oczywiście po kilku miesiącach wojny może to osłabnąć, jednak teraz czuć niesamowitą wzajemną empatię i solidarność. Podobnie było podczas obu Majdanów, ale teraz ten duch rozszedł się po całej Ukrainie. Nareszcie zaczęliśmy widzieć, jaki mamy wspaniały kraj, i jak szkoda go stracić. Potrzebowaliśmy wojny, aby to zrozumieć. Po czwarte, Ukraińcy bardzo gwałtownie przechodzą dziś na język ukraiński, bo rosyjski kojarzy się z językiem Putina.

Adam Michnik powiedział kiedyś, że losy europejskiej integracji Ukrainy będą rozstrzygać się nie w Kijowie czy Lwowie, tylko w Charkowie i Odessie. To właśnie dziś widzimy. Przykładem mer Charkowa Ihor Terechow. Wcześniej przez długi czas sprzeciwiał się zmianie nazwy alei nadanej na cześć sowieckiego marszałka Gieorgija Żukowa. Teraz sam powiedział, że nazwa zostanie zmieniona, podobnie jak inne toponimy powiązane z Rosją. Można powiedzieć, że swoimi rakietami i artylerią Putin niszczy prorosyjską orientację na Ukrainie, bo ona kojarzy się dziś z wojną i jej konsekwencjami.

W tym kontekście pojawiło się wiele głosów na Ukrainie, by usunąć rosyjską kulturę – nie czytać jej ani nie oglądać. Pan też tak uważa?

Rosyjska kultura zalicza się do światowej, ale ma w sobie wiele toksycznych elementów, o których trzeba głośno mówić. Takim toksycznym pisarzem jest Fiodor Dostojewski, choć jednocześnie trudno sobie wyobrazić bez niego współczesną rosyjską kulturę. Innym przykładem może być Josif Brodski: wspaniały poeta, który pod koniec swojego życia napisał wyjątkowo wulgarny antyukraiński wiersz. To nie przypadek. Trzeba być Ukraińcem albo Polakiem, aby odczuwać te toksyczne elementy. Często za wielką rosyjską kulturą zmierza wielka rosyjska armia.

To nie znaczy, aby palić książki czy ich zabraniać. Nie da się zakazać kultury. Rosyjscy pisarze muszą jednak trafić w to miejsce, które się im należy. To znaczy na półki obok Szekspira, Cervantesa czy Camusa, aby na Ukrainie stali w tym samym szeregu, co pisarze z innych krajów. Nie widzę powodów, dla których ma stać u nas pomnik Puszkina, skoro nie ma pomnika Szekspira. Rosyjska kultura ze statusu wielkiej musi zostać obniżona do rangi normalnej – jednej z wielu funkcjonujących na Ukrainie.

Idea *russkogo mira,* rosyjskiego świata, odchodzi do lamusa?

Tak uważam. W końcu jej głównym założeniem jest to, by stać murem za Rosją. ↦

REKLAMA

MUZEUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

↦ Nawet nie wiadomo, jak daleko ma ten świat sięgać. Do Białorusi i Ukrainy czy może aż do Grecji, gdzie też jest prawosławie? Uważam, że zadaniem naszym, to znaczy zadaniem Ukraińców, Polaków i reszty, jest uczynienie Rosji nie wielką, lecz normalną. Tak jak to stało się z Niemcami. Rosja wreszcie musi się pogodzić z granicami z roku 1991. Jeśli tak się stanie, *russkij mir* zniknie tak, jak po Hitlerze zniknęła idea Trzeciej Rzeszy.

Doszło do jeszcze jakichś zmian po rosyjskiej inwazji?

To na pewno nie spodoba się polskim czytelnikom, ale na Ukrainie pojawił się kult Stepana Bandery. Badania pokazują, że ponad połowa społeczeństwa odnosi się do niego pozytywnie.

Dlaczego teraz do tego doszło?

On jest symbolem sprzeciwu wobec Rosji. Polakom trudno w to uwierzyć, ale dziś nikt na Ukrainie nie łączy go z antypolskością czy antysemityzmem. Nikt nie mówi „Polacy za San" czy „Żydzi na haki". Jest on kojarzony wyłącznie z antyrosyjskim oporem.

Kwestia Bandery i wydarzeń pośrednio lub bezpośrednio z nim powiązanych, na czele z Wołyniem, były główną kością niezgody w dialogu polsko-ukraińskim. Teraz ten temat zniknął. To znaczy, że został rozwiązany?

Polskę i Ukrainę łączy wspólny wróg i poczucie zagrożenia przed jego działaniami. Ponadto Ukraina jest teraz postrzegana nie jako słabe państwo, lecz kraj, który skutecznie walczy. To bardzo stymuluje empatię. Nie wiem, co będzie po wojnie, ale myślę, że kwestie Bandery i Wołynia w końcu wrócą. Mam jednak nadzieję, że staną się drugorzędne, a nie pierwszorzędne, jak to było za rządów PiS do 24 lutego. Sądzę, że po wojnie będziemy mogli o tym rozmawiać dużo spokojniej niż dotychczas.

Jesteśmy bardzo wdzięczni Polakom za pomoc. Wielu moich znajomych, którzy trafili do Warszawy, podkreśla, jak ogromnie zmienił się ich stosunek do Ukraińców. Od swego rodzaju wyższości i pogardy aż do wielkiego szacunku i nawet miłości.

Rozmawiamy w chwili, gdy w Donbasie toczą się zapiekłe walki, ważą się losy ostatnich skrawków obwodu ługańskiego. Jak wyobraża Pan sobie koniec tej wojny?

Uważam, że potrwa ona długo, a jej rezultat będzie zależał od tego, kto dłużej ustoi na nogach. Będziemy mieli wielkie bitwy, ale same fronty będą zmieniać się na korzyść jednej czy drugiej strony bardzo powoli. Taka jest logika wojny na wyczerpanie. Wiele zależy od tego, jakie zasoby ma Rosja i jak długo może prowadzić działania zbrojne. Oceny są bardzo różne – od dwóch miesięcy do dwóch lat.

Oczywiście nie wiadomo też, ile zasobów ma Ukraina. Boję się, choć jednocześnie wątpię, aby do tego doszło, że za pewien czas nasze społeczeństwo będzie na tyle zmęczone wojną, iż pojawią się głosy, by wstrzymać ją za każdą cenę, niezależnie od tego, ile naszych terytoriów znajdzie się po drugiej stronie linii frontu.

Uważam, że ani Rosja, ani Ukraina nie są w stanie wygrać tej wojny na polu walki. To patowa sytuacja, bo żadna ze stron nie ma możliwości, by przejść do rozstrzygającego ataku. Ukraina jest mniejsza, a Rosja ma niską gotowość bojową.

I jak wyjść z tej sytuacji?

Mam nadzieję, że rosyjski reżim upadnie, tak jak w 1991 r. Dopiero wówczas będzie można rozmawiać o granicach. Na razie musimy wystać, wytrzymać i w miarę możliwości zbliżać się do granic z 24 lutego. Ale czy to się uda? Nie wiem. Dla Ukrainy kluczowym warunkiem – i tu znowu ogromne podziękowania także dla Polaków – jest dostęp do zachodnich zasobów. Bez nich nie miałaby szans.

W ogóle nie bierze Pan pod uwagę dialogu?

Obecnie nie ma on sensu. Francuzi nie byli gotowi na pojednanie z Niemcami, dopóki u władzy był Hitler. Pierwszym warunkiem było jego odejście. Tak samo Ukraińcy myślą o Rosji. Dopóki Putin jest na Kremlu, nie ma o czym rozmawiać. Przyjdzie nowa władza, to można próbować. Oczywiście po Buczy czy Mariupolu Ukraińcy będą wymagać od Rosjan pokajania się, przyznania się do odpowiedzialności.

Jerzy Giedroyc powiedział, że dla dobra Polaków Lwów musi zostać ukraińskim miastem, a Wilno – litewskim. Nie wiem, czy w Rosji znajdzie się ktoś, kto powie, że dla dobra ich kraju muszą uznać Donbas i Krym za ukraińskie.

W najbliższym czasie znaczna część południa i wschodu Ukrainy pozostanie pod rosyjską okupacją, a dostęp do Morza Czarnego będzie blokowany. To ogromny cios dla państwa.

Wojna robi rzeczy niemożliwe możliwymi. Na początku lat dwutysięcznych ówczesny przewodniczący Komisji Europejskiej Romano Prodi powiedział, że Ukraina nigdy nie stanie się częścią Unii Europejskiej. Widzimy teraz, że choć kwestia członkostwa nie została jeszcze rozstrzygnięta, to przynajmniej jest zielone światło w sprawie akcesji.

Podczas Majdanu ukraińscy i zachodni intelektualiści apelowali do rządów państw zachodnich, by Ukraina została objęta nowym „planem Marshalla". Wtedy nas wyśmiano, a dzisiaj jest on na stole. Mam nadzieję, że nie będzie dotyczył tylko odbudowy gospodarki, ale także zawierał punkty, które wymuszą zakończenie reform w kraju.

Ukraina otrzymała szanse, których wcześniej nie miała. Mój optymistyczny scenariusz jest taki, że po reformach politycznych i „planie Marshalla" będzie w stanie zostać wschodnioeuropejskim tygrysem. Choć pewnie nie dojdzie do tego szybko. Wówczas będą dwa silne kraje naszego regionu: Polska i Ukraina. Dzięki temu zmieni się zupełnie balans sił w Europie Wschodniej oraz w Europie w ogóle. To wszystko może się wydarzyć, jeśli wystoimy podczas tej wojny. Myślę, że to się uda, bo cena dla Ukraińców jest wysoka.

A szanse uda się wykorzystać?

Nie wiem, bo już dwa razy nam się nie udało. Podczas pierwszego i drugiego Majdanu wielu Ukraińców nie było gotowych do zmian. Teraz jest inaczej. Ponadto Ukraina nie ma dużego wyboru, bo jeśli się nie zmieni, to pozostanie słabym państwem, które będzie podatne na ciągłe zagrożenia. To nie jest już kwestia chęci, lecz konieczności.

Przed światem coraz więcej wyzwań, które mogą prowadzić do konfliktów. To zmiany klimatu, kryzys demograficzny i wyczerpywanie się zasobów. Dlatego nawet jeśli Rosja przestanie być zagrożeniem, pojawią się inne zagrożenia. Niestety, jak mówi nam historia, wojna jest normą, a pokój wyjątkiem. To nie znaczy jednak, że mamy się poddać wojnie. Po prostu o pokój musimy walczyć.

© Rozmawiał PAWEŁ PIENIĄŻEK

AMIR COHEN / REUTERS / FORUM

Mendy, ukraiński Żyd i uciekinier z Żytomierza, świętuje Purim w Forest Education Center. Nes Harim, Izrael, 17 marca 2022 r.

Lepiej siedzieć cicho

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

Izrael, który na co dzień większość energii poświęca kwestiom bezpieczeństwa, od ponad trzech miesięcy przechodzi test własnych wartości: jak pomóc Ukrainie, nie narażając własnych rodaków i interesów.

Yael Belenky mieszka w Efracie, żydowskim osiedlu na Zachodnim Brzegu Jordanu. Na dwa tygodnie przed rosyjską inwazją pojechała do Ukrainy, aby odwiedzić rodzinę w Odessie. – Opiekowałam się chorym dziadkiem, który wkrótce potem, po moim powrocie do Izraela, zmarł – opowiada Yael. – Dziadek przeżył II wojnę światową, traumę niósł w sobie przez całe życie. Czasem myślę, że odszedł w dobrym momencie: gdyby zobaczył to, co Rosja zrobiła z jego krajem, pękłoby mu serce.

Martha Shtapura-Ifrah mieszka w Hajfie. Przed rosyjską inwazją część członków jej rodziny żyła w Charkowie. – Do ostatniej chwili przed wybuchem wojny nikt z nich nie wierzył, że to się stanie – mówi Martha. – Moja babcia uciekała przed rosyjskimi bombardowaniami do metra, drzemała tam na ziemi lub krześle, a nocami wracała do domu. Pewnego dnia bombardowanie zaskoczyło ją w łóżku, biegła do metra wśród spadających bomb. Oświadczyła nam przez telefon, że się poddaje, że zaczeka na śmierć w swoim mieszkaniu. Zrozumieliśmy, że musimy natychmiast zorganizować pomoc i mimo jej rezygnacji sprowadzić ją do Izraela.

Yael Belenky: – Moja rodzina nie zgodziła się na wyjazd z Ukrainy. Wszyscy zaangażowali się w pomoc. Mama, na co dzień zastępczyni gubernatora, w pomoc humanitarną. Tata i brat w budowanie barykad na drogach. Ojczym ze strony mamy w obronę terytorialną, a młodsza siostra w działalność kuchni polowej dla żołnierzy w Kijowie i okolicach. Była jedną z pierwszych osób, które wjechały do Buczy po uwolnieniu jej przez wojska ukraińskie i zobaczyła na własne oczy to, co potem wstrząsnęło światem. Kuzyn poszedł do wojska, zostawiając żonę w długo wyczekiwanej, zagrożonej ciąży. Dziewczyna ruszyła w samotną drogę autostopem, dotarła do Bułgarii. Niedawno urodziła tam dziecko, całe i zdrowe. Kuzyn ogląda zdjęcia i czeka na dzień, w którym się zobaczą.

– Czy wobec okrucieństw wojny Izrael zareagował tak, jak bym tego chciała? – Yael powtarza pytanie. – Jako jego obywatelka chcę oczywiście, by zapewnił mi bezpieczeństwo, zanim zajmie się sprawami innych krajów. Ale są wydarzenia historyczne, w których zło objawia się radykalnie i ma konkretną twarz. W czasie II wojny światowej byli to Niemcy, a dziś jest to Rosja.

– Świadczy o tym nie tylko ludobójstwo w Ukrainie, ale także sytuacja wewnętrzna w Rosji – dodaje Yael. – Milczenie w takiej sytuacji oznacza zgodę, współudział. Nie twierdzę, że Izrael powinien wysłać tam armię. Ale oczekiwałabym od mojego kraju przynajmniej głośnego sprzeciwu i jednoznacznego ↦

↦ określenia swej pozycji. Zwycięstwo Rosji to zwycięstwo zła. Jestem pewna, że za brak konkretnej reakcji zapłacimy wysoką cenę.

Nigdy więcej? Tak, ale...

Rosyjska inwazja przeciw Ukrainie postawiła Izrael przed prawdziwym dylematem. Ten mały bliskowschodni kraj, który na co dzień większość energii poświęca kwestii bezpieczeństwa granic, od 24 lutego 2022 r. przechodzi test deklarowanych przez siebie wartości. Państwo żydowskie, które w historii swojego narodu ma zapisaną Zagładę, chciałoby – według własnych kryteriów – być nieugiętym strażnikiem hasła „nigdy więcej", a dla innych narodów wzorem stosunku do uchodźców wojennych.

Na przeszkodzie ideałom staje bieżąca polityka i sytuacja w Syrii, na granicy z Izraelem, gdzie od 2015 r. Rosja prowadzi działania wojenne, wspierając prezydenta-dyktatora Baszara al-Asada. Z uwagi na rosyjską obecność w tym regionie, izraelskie wojsko, prowadzące od lat działania przeciw Iranowi, Hezbollahowi czy Państwu Islamskiemu, musi koordynować operacje z Rosjanami – tak, aby nie nadepnąć im na odcisk.

– Izrael ma ogromny moralny problem: z jednej strony nasi politycy doskonale zdają sobie sprawę, co dzieje się w Ukrainie – mówi mi Yair Navot, analityk do spraw środkowoeuropejskich i były korespondent czołowych izraelskich mediów w Moskwie. – A izraelska opinia publiczna wspiera Ukrainę, co utrwaliło się szczególnie po straszliwych obrazach zbrodni wojennych popełnionych przez Rosjan w okolicach Kijowa.

– Wciąż jednak odpowiedź Izraela na tę wojnę jest bardzo ostrożna – przyznaje Navot. – Gdy rosyjskie wojska są obecne w Syrii, tuż przy granicy, nasi politycy obawiają się, że większe zaangażowanie z ich strony, jak choćby wysłanie broni do Ukrainy, zostałoby odczytane przez Putina jako prowokacja. Sytuacja w Syrii budzi w Izraelu dużo lęku i stanowi realne zagrożenie dla naszego kraju – Navot odnosi się tu do odmowy sprzedania Ukrainie izraelskich systemów przeciwrakietowych i broni przeciwpancernej.

Mimo prób działania na rzecz pokoju (premier Naftali Bennett proponował, że podejmie mediację między stronami) Navot uważa, że reakcja tutejszych polityków pozostawia wiele do życzenia.

Izrael odmówił Ukrainie swoich systemów przeciwrakietowych i broni przeciwpancernej.

– Wiele osób w Izraelu oczekuje, że nasze państwo bardziej radykalnie niż dotąd potępi Rosję – zaznacza.

W rozterkach

Obawę izraelskich polityków przed radykalną krytyką Putina budzi też fakt, że w Rosji żyje duża społeczność żydowska: ok. 155 tys. osób. Władze Izraela nie chcą dopuścić do sytuacji, w której ludzi tych miałyby spotkać represje z uwagi na pochodzenie. Z drugiej strony Ukrainą bohatersko rządzi podziwiany przez większość świata Wołodymyr Zełenski, pochodzący z żydowskiej rodziny. W Izraelu budzi to dumę i jest chętnie podkreślane przez media. Izrael wie, że jego obowiązkiem jest stanąć po stronie brata. Tymczasem Zełenski kilka razy podkreślał, że jest rozczarowany zachowawczą postawą izraelskiego rządu.

Rosja zdaje się jawnie kpić z tych rozterek, sięgając w swej propagandzie po najcięższy w Izraelu kaliber – temat Holokaustu – i wypaczając go do granic możliwości. Gdy atakując Zełenskiego Ławrow stwierdził, że Hitler też miał żydowską krew, Izrael się wściekł. Premier i szef MSZ zareagowali ostro. Wydaje się jednak, że to wciąż za mało – zwłaszcza że izraelscy badacze alarmują o wzroście liczby antysemickich haseł w Rosji.

Powodów, dla których Izrael waha się przed radykalną krytyką Putina, jest więcej. Nie bez znaczenia jest przyjazny stosunek oligarchów – jak Roman Abramowicz czy Mosze Kantor – którzy hojnie obsypują dotacjami izraelskie instytucje, np. Yad Vashem, szpitale i uniwersytet w Tel Awiwie. W marcu – po naciskach mediów i po tym, jak Londyn umieścił Abramowicza na czarnej liście – Yad Vashem oświadczył, że nie zaakceptuje już donacji od oligarchy. To zresztą nie pierwszy raz, gdy Instytut na własne życzenie stał się polem politycznych rozgrywek w zamian za finansowe wsparcie.

No i jest jeszcze inny niż w Europie Wschodniej stosunek Izraela do roli Rosji podczas II wojny światowej. Yair Navot: – W Izraelu funkcjonuje silny wizerunek Armii Czerwonej jako wyzwoliciela obozów koncentracyjnych i zwycięzcy nad nazistami. Uważam, że ten wizerunek często przesłania Izraelczykom fakty. Czują się niezręcznie, by potępiać Rosję, bo historia Zagłady ma w Izraelu szczególne miejsce. Przyznaję, że w obecnej sytuacji trąci to hipokryzją. Widzimy, co się dzieje w Ukrainie, potępiamy to z całego serca, ale wolimy siedzieć cicho.

W przymykaniu oka na rosyjskie zbrodnie pomaga też przekonanie o silnym antysemityzmie wśród Ukraińców – tym dawnym i tym współczesnym, mimo żydowskiego prezydenta-herosa. Wraz z rosyjską inwazją dało się w Izraelu słyszeć – zwłaszcza w starszym pokoleniu – historie o tym, jak ukraińscy nacjonaliści napadali na Żydów.

Uchodźca lepszy i gorszy

Na początku wojny Izrael wysłał Ukrainie 100 ton pomocy humanitarnej i stworzył szpital polowy prowadzony przez izraelską służbę medyczną. Do Ukrainy regularnie jeżdżą izraelscy lekarze (w samolocie z Krakowa do Tel Awiwu spotkałam ostatnio lekarzy arabskich z Izraela, którzy wracali z misji). W pomoc zaangażowało się wiele organizacji. Są też zwykli Izraelczycy, którzy biorą urlop i jadą do Polski i innych krajów graniczących z Ukrainą, by pomagać uchodźcom.

Ważnym tematem stało się również przyjmowanie ukraińskich uchodźców. Według najnowszych danych, zaprezentowanych w minionym tygodniu w Knesecie, w Izraelu przebywa ich obecnie 14528 – to osoby, które nie mają podstaw do ubiegania się o aliję [tak określa się „powrót do ojczyzny", oznaczający też otrzymanie obywatelstwa – red.].

W marcu Ayelet Shaked, szefowa MSW, sprzeciwiła się przyjmowaniu nieżydowskich uchodźców z Ukrainy. Po medialnej burzy zgodziła się na przyjęcie limitu: 5 tys. osób, które nie mają rodziny w Izraelu. Na wizie turystycznej mogą też wjechać bez limitu osoby, które mają w Izraelu rodzinę, na jej zaproszenie.

Martha Shtapura-Ifrah zorganizowała dla babci bilet na pociąg z Charkowa do granicy z Rumunią. Stąd babcia poleciała do Izraela, przy wsparciu żydowskich or-

ganizacji. – Ona nie ma izraelskich dokumentów, potraktowano ją jak uchodźczynię. Pomogło jej to, że była już u nas wiele razy, ma tu rodzinę. No i fakt, że jest starsza – mówi Martha.

Kolejnych 5 tys. osób (zgodnie z danymi Knesetu) przyjechało z Ukrainy, korzystając z prawa powrotu. Yael Belenky pracuje w jerozolimskiej organizacji Itim, która wspiera osoby pragnące przejść ortodoksyjną konwersję na judaizm lub zatwierdzić swoje żydowskie pochodzenie. Pomaga też osobom robiącym aliję odnaleźć się w tutejszej biurokracji.

Od początku inwazji Itim notuje wzmożone zainteresowanie: zajęło się około tysiącem spraw związanych z aliją i procedurami uchodźczymi. Dodatkowe 2 tys. osób zgłosiło się do Itim z podobnymi pytaniami drogą elektroniczną.

Yael nie kryje frustracji istniejącymi procedurami. – Nie mam wątpliwości, że przyjęcie przez nas tej fali aliji to wielka porażka. Rządy, także izraelski, wiedziały już na początku zimy, że ta wojna wybuchnie. Nie zrobiły nic, aby tę aliję przygotować. Przeciwnie: ciężko było załatwić cokolwiek w konsulacie, a tuż przed inwazją Izrael ewakuował pracowników, więc zdobycie dokumentów było niemożliwe.

– Na miejscu w Izraelu wielokrotnie pomagałam *olim* [nowo przybyłym w ramach aliji – red.] w rozwiązywaniu problemów, które w ogóle nie powinny mieć miejsca, jak otwarcie konta czy zdobycie ubezpieczenia – mówi Yael. – Utrudnianie procedur, piętrzenie biurokracji wobec osób, które w czasie wojny nie mogły zdobyć konkretnych dokumentów, niekompetencja: z tym przyjezdni mierzą się w zetknięciu z naszymi urzędnikami. Dlatego denerwuję się, gdy widzę potem urzędników, jak robią sobie zdjęcia z *olim* na lotnisku, by ich praca wyglądała pięknie w mediach.

– Tymczasem najważniejsze projekty, które funkcjonują sprawnie, to projekty obywatelskie, wolontariat, NGO-sy. Państwo się poddało i zrzuciło tę pracę na obywateli – dodaje Yael.

Ucieczka z dyktatury

Według statystyk Knesetu w ostatnim czasie do Izraela aliję – oprócz Ukraińców – zrobiło też 5 tys. Żydów z Rosji. Są wśród nich Leonid i Daria. Do izraelskiego Holonu przyjechali z Moskwy wraz z córką.

Leonid: – Widzieliśmy od dawna, że w Rosji dzieje się źle. Ale zawsze wydawało nam się, że jest granica, której Putin nie odważy się przekroczyć. Nie chcieliśmy wyjeżdżać, tam był nasz dom, rodziny, kariery zawodowe. Gdy wybuchła wojna, zrozumieliśmy, że ta granica została przekroczona. Uznaliśmy, że nie ma dla nas już miejsca w tym kraju. Z dnia na dzień spakowaliśmy kilka rzeczy i przybyliśmy do Izraela. Do Rosji nie wrócimy, choć ciężko nam z myślą, że trzeba to, co było, skreślić, i zacząć wszystko od początku.

Sprzeciw wobec dyktatury Putina dominuje w społeczności rosyjskich Żydów w Izraelu. Gdy zaczęła się inwazja, młodzi rosyjscy Żydzi wyszli na ulice Tel Awiwu, by podpalić swoje paszporty. Na wielu domach w mieście zawisły ukraińskie flagi, a pod ambasadą Rosji przechodziły marsze, w których Rosjan nazywano mordercami i nazistami.

Marta Shtapura-Ifrah: – Większość Rosjan, których tu spotykam, jest bardzo wspierająca. Powiedziałabym nawet, że mają potrzebę tłumaczenia, że dystansują się od Rosji Putina. Tylko raz, w szkole syna, usłyszałam od starszej kobiety coś, co mną wstrząsnęło: że to straszne, co dzieje się w Ukrainie, i jak wspaniale, że Putin wkłada tyle wysiłku w to, by pomóc Ukraińcom w zabijaniu nacjonalistów.

Odbyły się także niewielkie marsze poparcia dla Rosji.

Leonid: – Nie pytaj mnie, jak to możliwe, że są tu jeszcze ludzie, którzy mają takie poglądy. Nie rozumiem tego. W Rosji owszem, jest problem z dostępem do rzetelnych informacji. Ale tu, w zachodnim kraju? Gdzie wszystkie media codziennie mówią o rosyjskich zbrodniach?

Nie wszystkie media: kontrowersje budzi fakt, że Izrael nie zdecydował się na cofnięcie koncesji kanałowi rosyjskiej telewizji RT, który wciąż tu nadaje.

Bez zmian?

Yair Navot: – Nic nie wskazuje, aby ta wojna miała się szybko skończyć. Sądzę, że Izrael nadal będzie pomagać humanitarnie i kierunku tej pomocy nie zmieni. Ukraina nie otrzyma izraelskiej broni czy systemów, których mogłaby użyć przeciw Rosji. Ale im dłużej ta wojna trwa, tym trudniej będzie Izraelowi pozostawać przy zbyt łagodnej reakcji.

Martha Shtapura-Ifrah: – Mieszkam tu przez większość mojego życia i nie mam oczekiwań co do militarnego zaangażowania Izraela w sprawy inne niż własne. Ale oczekiwałabym większego humanitaryzmu, gotowości i lepszego przygotowania się na przyjęcie ukraińskich uchodźców. Sądzę, że Izrael powinien się teraz bardziej zaangażować w pomoc tym, którzy tu już są: w stworzenie systemu edukacyjnego dla dzieci i wsparcia psychologicznego dla osób w stresie pourazowym.

W kraju z niestabilną sytuacją bezpieczeństwa i syrenami wyjącymi od czasu do czasu taka pomoc tym, którzy nie mają do czego wracać, też jest ważna.

©℗ KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Słubicach, pod sygnaturą akt I Ns 379/21, prowadzi postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Ryszardzie Wieczorkiewiczu, synu Lucjana i Emilii, zmarłym 17.02.2021 r. w Kostrzynie nad Odrą i mającym tam stale miejsce pobytu. W skład spadku wchodzą długi o nieustalonej wysokości.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Słubicach pod sygnaturą akt I Ns 30/22 w sprawie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Rusinek zmarłej 29.10.2009 r., której ostatnim miejscem stałego pobytu był Kostrzyn nad Odrą, wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili i wykazali swoje prawa do spadku pod rygorem pominięcia. W skład spadku wchodzi udział do 1/2 w nieruchomości położonej w Kostrzynie nad Odrą składającej się z zabudowanej działki o numerze ewidencyjnym 157/3 dla której Sąd Rejonowy w Słubicach prowadzi księgę wieczystą GW1S/00004231/1.

Archipelag odnaleziony

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z BANGKOKU

Odkąd Wyspy Salomona podpisały pakt z Chinami, ten kraj w Oceanii i sąsiednie wyspiarskie państwa cieszą się uwagą świata, jakiej dawno nie miały. To dla nich i dobre, i groźne.

Symboliczne rozpoczęcie budowy stadionu, na którym odbędą się Igrzyska Pacyfiku 2023. Inwestycja realizowana jest we współpracy z Chinami. Honiara, Wyspy Salomona, 26 maja 2022 r.

Mikronezja, Melanezja i Polinezja to części Oceanii, które leżą na północ i wschód od Australii i Nowej Zelandii. Kilkanaście wyspiarskich krajów, rozrzuconych na kilku milionach kilometrów kwadratowych oceanu. Zagubione wśród bezkresu Pacyfiku, ale ważne strategicznie archipelagi są w większości niepodległe od mniej więcej pół wieku. Największy z nich, Papua-Nowa Gwinea, ma 9 mln mieszkańców. Fidżi, druga w kolejności, niespełna milion. Najmniejsze państwo – Niue, stowarzyszone z Nową Zelandią – w 2017 r. zamieszkiwały 1784 osoby.

Patrząc z globalnej perspektywy, te wyspy łatwo przeoczyć. Ale to błąd.

Na uboczu

Thomas Lien, norweski żeglarz i filmowiec, pod koniec lat 90. XX w. wyruszył na poszukiwanie raju: miejsca o nieskażonej przyrodzie, nietkniętego zachodnią cywilizacją. Po trzech latach rejsu dookoła świata znalazł je na polinezyjskiej wyspie Tikopia, położonej na skraju archipelagu Wysp Salomona. – Nie było tam wtedy prądu ani żadnych maszyn, a miejscowi prawie nie używali pieniędzy – opowiada „Tygodnikowi" Lien, który wraca na Tikopię od ponad 20 lat, a przez pół roku mieszkał tam wraz z rodziną.

– Od tamtego czasu wyspy mało się zmieniły. Może tylko to, że oprócz radia mieszkańcy zaczęli używać paneli słonecznych i telefonów – relacjonuje podróżnik. – Wyspiarze mówią po angielsku, odbierają australijskie stacje radiowe, wiedzą, co się dzieje w innych krajach, i są ich ciekawi. Ale cieszą się, że żyją na uboczu, z dala od problemów, które mają inni.

Globalne sprawy jednak coraz częściej domagają się ich uwagi. Zwłaszcza te związane z destrukcją środowiska. Wiele wysp Oceanii traci ziemię z powodu podnoszącego się poziomu Pacyfiku. Częściej zdarzają się tajfuny. W 2002 r. trwający wiele dni tropikalny cyklon Zoe doszczętnie zniszczył wszystkie wsie na Tikopii. Ludzie przeżyli tylko dzięki temu, że schronili się w jaskiniach.

Lien uważa, że prócz postępu technologicznego to właśnie globalne zmiany klimatu i niszczenie środowiska przez firmy wydobywcze najbardziej zmieniły życie na wyspach Pacyfiku w ostatnich dekadach. W tym ostatnim kontekście coraz częściej słychać o żądnych zysku Chińczykach.

Zapomniana kolonia

Przez stulecia życie na dzisiejszych Wyspach Salomona toczyło się podobnym rytmem. Od XI w. ludzie żyli w niewielkich osadach, rozwijała się miejscowa religia z megalitycznymi miejscami kultu i żeglarstwo. Między wspólnotami kwitł handel morski. Europejczycy dotarli tu w wieku XVI, ale wtedy nie zostali na stałe. Dopiero w 1886 r. Wyspy stały się częścią imperium brytyjskiego. Kolonią pozostały do 1978 r.

Niepodległy kraj, liczący niespełna 700 tys. obywateli, pozostał w orbicie państw Zachodu z Australią jako najbliższym sojusznikiem. Ale nie przyniosło mu to bogactwa ani szybkiego rozwoju. Wyspiarze eksportują głównie drewno, ryby i produkty rolne oraz rudę aluminium, choć pod ziemią czekają złoża innych metali. Paliwa i produkty przemysłowe trzeba sprowadzać.

O wyspach pamięta się głównie przy okazji rocznic bitwy o wyspę Guadalcanal, którą USA stoczyły z Japonią w czasie II wojny światowej, na przełomie lat 1942-43. Wynik tego starcia był kluczowy dla całej kampanii na Pacyfiku: Amerykanie, wspierani przez miejscowych zwiadowców, po raz pierwszy pokonali wtedy Japończyków w starciu na lądzie i zatrzymali ich zwycięski dotąd pochód przez kolejne kraje i wyspy.

Po tamtej kampanii wyspiarzom pozostały pomniki, niewybuchy i wraki spoczywające na rafach koralowych.

Wejście Smoka

Pierwsi Chińczycy zaczęli osiedlać się na Wyspach Salomona jeszcze przed II wojną światową. Przypływali jako handlarze, zakładali sklepy i szybko stawali się naturalizowanymi obywatelami. Aż do ostatnich lat XX w. zamieszkiwali w stołecznym mieście Honiara tylko jedną dzielnicę, zwaną China Town. Potem – w miarę, jak pomnażali majątki – zaczęli kupować budynki poza nią. Dziś są wszędzie. W centralnej dzielnicy biznesowej należy do nich większość ziemi, podobnie jak większość firm we wschodniej dzielnicy przemysłowej. Zdominowali połowy ryb, budują domy, prowadzą supermarkety.

– Odkąd pamiętam, radzili sobie w biznesie lepiej od miejscowych i mieli wpływ na to, co kupujemy i jak jadamy – mówi Dorothy Wickham, doświadczona dziennikarka z Honiary. – Większość towarów w sklepach, od podstawowych produktów po słodycze, jest sprowadzana z Chin. Jada się u nas dużo ryżu, który trzeba w całości importować, bo u nas nie rośnie. Choć język mandaryński nie jest powszechnie używany, ostatnio zaczęli go uczyć w podstawówkach.

W latach 80. XX w. Wickham chodziła do chińskiej szkoły w Honiarze, jednej z dwóch najlepszych w kraju. Zapamiętała, że dyrektor był Chińczykiem, a podczas codziennych apeli uczniowie musieli pozdrawiać nauczycieli wyuczoną formułką po kantońsku.

Interesy i sympatie

Chińska ekspansja przyspieszyła w latach 90. XX w., gdy duże firmy z Państwa Środka zaczęły szukać okazji biznesowych na Pacyfiku. Rosnące wpływy Chińczyków zaczęły przeszkadzać miejscowym dopiero na początku lat dwutysięcznych, gdy azjatyccy przedsiębiorcy zaczęli wspierać odpowiadające im partie.

– Wtedy zaczęliśmy patrzeć na nich inaczej. Nasi młodzi postrzegali ich zaangażowanie w politykę jako próbę przejęcia kontroli nad krajem – mówi Wickham.

Coraz ściślejsze kontakty gospodarcze przyniosły logiczne następstwa. We wrześniu 2019 r. politycy z Honiary nawiązali z ChRL relacje dyplomatyczne, jednocześnie zrywając je z Tajwanem. Zaraz potem, w październiku, władze tutejszej Prowincji Centralnej podpisały z chińską firmą umowę dzierżawy na 75 lat wyspy Tulagi. Po tygodniu rząd centralny uznał to za niezgodne z konstytucją i umowę unieważniono.

W listopadzie 2021 r. mieszkańcy najludniejszej prowincji Malaita wyszli na ulice, by protestować przeciw sojuszowi z Chinami. Protesty przelały się do Honiary, zginęło w nich kilka osób. Młodzi bezrobotni z przedmieść plądrowali sklepy w China Town i podpalali należące do Chińczyków budynki. Sytuację uspokojono dzięki pomocy Australii, która przysłała żołnierzy i policjantów – choć premier Manasseh Sogavare sugerował, że protesty to efekt spisku zachodnich mocarstw, które nie chcą sojuszu jego kraju z Pekinem.

Ale nie trzeba spisków, by zauważyć, że mieszkańcy Wysp Salomona większą sympatią darzą Zachód niż Chińczyków, wobec których są coraz bardziej podejrzliwi.

Między Zachodem a Chinami

– Pokolenie mojego ojca zostało wychowane w kulcie Zachodu. Brytyjczyków, Amerykanów i Australijczyków wynosiło się na piedestał jako lepiej wykształconych i mogących więcej niż my – mówi Dorothy Wickham.

Jej zdaniem zaczęło się to zmieniać w latach 90., w miarę jak poprawiał się dostęp do informacji. – Dzięki internetowi wiemy dziś o rzeczach, o których wcześniej mieliśmy słabe pojęcie. Obserwujemy kampanię Black Lives Matter w USA i widzimy, jak niesprawiedliwie Australijczycy traktują uchodźców. A gdy Stany mówią nam, jak mamy zarządzać krajem, możemy im wypomnieć testy nuklearne na Wyspach Marshalla – przekonuje dziennikarka. – Przestaliśmy widzieć w nich starszych braci i siostry, i zaczynamy wątpić, czy Australia powinna być naszym oczywistym partnerem.

Emmanuelle Mangalle, miejscowy urzędnik i aktywista, uważa jednak, że większość społeczeństwa i nowe pokolenie liderów nadal widzi swoje miejsce bliżej zachodnich demokracji niż autorytarnych Chin. – Starsza generacja, dzieci zwiadowców z czasów II wojny, naturalnie czuje się związana z USA. W przypadku młodszych to skomplikowane, ale zachodnia popkultura i system polityczny nadal cieszą się większą popularnością – mówi Mangalle.

To, co jego zdaniem odróżnia pokolenie wykształconych milenialsów od starszych, to dostęp do informacji. – Zdajemy sobie sprawę z chińskich nadużyć np. w Tybecie i Sinciangu, widzimy też podwójne standardy na Zachodzie. Ale ostatecznie ludzie i tak wyrabiają sobie opinie na podstawie bezpośrednich kontaktów i najbardziej dla nich liczy się, jak im się żyje.

Młodzi chcą dróg i stadionów

Trzydziestoparoletni Mangalle jako aktywista angażuje się w obronę praw mieszkańców w starciach z zagranicznymi firmami, które nielegalnie wyrębują lasy i eksploatują złoża. A także w lobbowanie na rzecz potrzeb tutejszych milenialsów. Trzy czwarte mieszkańców Wysp Salomona ma mniej niż 30 lat.

Emmanuelle pochodzi z wioski na południu wyspy Guadalcanal. Ze stołecznej Honiary płynie się tam motorówką co najmniej pięć godzin. Mówi, że ludzie z prowincji mają proste potrzeby: chcą prądu, dróg i stałych dostaw podstawowych produktów żywnościowych. W wiejskich podstawówkach brakuje podręczników i wykształconych nauczycieli.

Także w stolicy, gdzie na ulicy nadal widuje się osoby chodzące bez butów, aspiracje dotyczą rzeczy oczywistych dla mieszkańców choćby Australii. – W Honiarze nie ma ani jednego kina. Brakuje parków i obiektów sportowych. Gdy Chińczycy zbudowali tu pierwszy stadion futbolowy, a Indonezja ufundowała halę futsalową, bardzo poprawiło to postrzeganie tych krajów – mówi Mangalle.

W tym samym czasie państwa takie jak Australia swoją pomoc rozwojową dla niewielkich krajów Oceanii przeznaczały głównie na mniej namacalne rzeczy, takie jak szkolenia dla urzędników, policjantów oraz wysyłały wyspiarzom doradców i instruktorów.

Chińska ofensywa...

Umowa, którą Chiny zawarły z Wyspami Salomona w kwietniu tego roku, nazwana paktem bezpieczeństwa, sprawiła, że świat zauważył na nowo ten archipelag. W dokumencie mowa jest bowiem o możliwości postojów w miejscowych portach chińskich okrętów i współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa, w tym o możliwości przysłania na Wyspy chińskiej policji i wojska, jeśli zażyczą sobie tego władze w Honiarze.

Pekin nie poprzestał na tej jednej umowie. W czasie 10-dniowego tournée na przełomie maja i czerwca szef chińskiej ↦

XINHUA / AFP / EAST NEWS

↦ dyplomacji Wang Yi spotkał się z przywódcami wszystkich wyspiarskich państw Pacyfiku, z którymi ChRL utrzymuje stosunki dyplomatyczne.

Pierwszym przystankiem na trasie tej podróży były właśnie Wyspy Salomona. Będąc w Honiarze, Wang nazwał „swoim starym przyjacielem" Jeremiaha Manele, szefa tutejszego MSZ, i zapowiedział ułatwienia dla eksportu wyspiarskich produktów do Państwa Środka, pomoc rozwojową i inwestycje. Według jego słów Chiny chcą pomagać krajom regionu w rozwoju i podnoszeniu jakości życia mieszkańców. Wang zastrzegł, że nie będą ingerować w ich sprawy wewnętrzne i nie planują budowy bazy wojskowej, czego obawia się Zachód. Na Wyspach Salomona chińskie firmy mają za to zbudować stadiony i hotele dla atletów, którzy wezmą udział w Igrzyskach Pacyfiku, zaplanowanych tu na koniec 2023 r. Trwają też konsultacje w sprawie budowy największego w kraju szpitala.

Analitycy polityki zagranicznej ChRL oceniają, że Pekin potrzebuje na Pacyfiku sojuszników, którzy w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ będą głosować zgodnie z jego interesami. Chińscy wojskowi chcą się też upewnić, że w razie zaostrzenia konfliktu z Zachodem będą mogli operować w tym regionie.

...i zachodnia riposta

Dla państw zachodnich pakt między Chinami a Wyspami Salomona był niemiłą niespodzianką. Wieść o jego zawarciu gruchnęła w czasie australijskiej kampanii wyborczej.

Dorothy Wickham: – Nasz rząd przyglądał się, czy umowy, które z Chinami zawarły w ostatnich latach Fidżi i Vanuatu, przyniosą tam korzyści. Ocena wypadła chyba pozytywnie. Do decyzji o zawarciu paktu przyczyniła się świadomość, że Australia realizuje głównie swoje interesy, a wielu polityków w regionie czuło, że w czasie spotkania Forum Wysp Pacyfiku w 2021 r. australijski premier Morrison zachował się wobec nich w uwłaczający, protekcjonalny sposób.

Zachodnie demokracje, w tym USA, Australia, Wielka Brytania i Francja, od kilku lat zapowiadały wzmocnienie obecności w regionie Pacyfiku. Ale intensywne zabiegi podjęły dopiero w tym roku, gdy stało się jasne, że ChRL chce zwiększać tam swoje wpływy. W lutym wizytę na Fidżi złożył sekretarz stanu Antony Blinken, a Stany poinformowały o planie ponownego otwarcia ambasady w Honiarze, nieczynnej od dwóch dekad. Na początku czerwca archipelag Tonga odwiedziła Penny Wong, szefowa MSZ Australii.

Chiny szukają na Pacyfiku sojuszników, którzy pozwolą operować tam ich armii i poprą Pekin na forum ONZ.

Balansowanie

Dorothy Wickham uważa, że dzięki zainteresowaniu świata Wyspy Salomona oraz ich sąsiedzi nabiorą wiatru w żagle. – Będziemy chcieli to przełożyć na własne korzyści. Nagle odwiedza nas wielu zagranicznych polityków, ich ton zmienił się z pobłażliwego na partnerski. Jestem dobrej myśli, choć to ostrożny optymizm. Chiny w wielu krajach pomagają w rozbudowie portów i dróg, ale wystarczy spojrzeć na to, co się dzieje na Sri Lance, aby dojść do wniosku, że najważniejsze jest pragmatyczne zarządzanie – mówi Wickham.

Prof. Tarcisius Kabutaulaka z University of Hawaii uważa, że małe kraje powinny być ostrożne w przyjmowaniu pomocy i inwestycji: – Wyspy Oceanii są największym odbiorcą zagranicznej pomocy w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Ale finansowane przez cudzoziemców duże projekty infrastrukturalne niosą koszty utrzymania tej infrastruktury, które dla biednych krajów potrafią być ciężarem nie do uniesienia. Poza tym nowe drogi same w sobie nie gwarantują wzrostu gospodarczego.

Chinom, które zawarły wprawdzie nowe umowy z kilkoma krajami regionu, nie udało się nakłonić ich wszystkich do podpisania dużego wielostronnego porozumienia. Kabutaulaka sądzi, że Pekin popełnił ten sam błąd, co duże państwa Zachodu: nie docenił podmiotowości rządów Oceanii, przedstawiając im dokument bez wcześniejszych konsultacji.

– Przykładem asertywności jest rząd Fidżi, który sam dyktuje agendę rozmów z ChRL. Nie zgodził się też na przyjęcie chińskich pożyczek. Bliższe relacje handlowe z Pekinem i chińska pomoc mogą być dobre dla regionu, ale retoryka płynąca z wysp wskazuje, że także relacje z Zachodem pozostają dla nich niezwykle ważne – mówi profesor.

Tam, gdzie walczą słonie

Kabutaulaka wychował się na Wyspach Salomona. Dziś żyje na Hawajach i zajmuje się studiami nad wyspami Pacyfiku. W rozmowie z „Tygodnikiem" zauważa, że jest mało prawdopodobne, by rodzinna Oceania stała się nowym punktem zapalnym na mapie świata – obok np. Morza Południowochińskiego – bo w strategii i Chin, i USA zajmuje miejsce zbyt odległe.

Profesor sądzi, że jeśli rywalizacja tych dwojga się zaostrzy, kraje regionu będą unikać opowiedzenia się po którejś stronie, choć państwa z północy (Palau, Mikronezja i Wyspy Marshalla) są ściślej związane z USA. Z kolei dla Papui-Nowej Gwinei, Tonga, Samoa i Fidżi relacje z ChRL mogą być atrakcyjniejsze: – Ale i one nie będą chciały stać się jej satelitami, w każdym razie nie w najbliższej dekadzie.

Jego zdaniem większe zaangażowanie Chin na obszarze Oceanii nie zmieni architektury bezpieczeństwa z dnia na dzień, choć umożliwi Pekinowi dostęp na większą skalę do tamtejszych strategicznych zasobów. Ale gra nie będzie łatwa: – Stany planują nową bazę marynarki na Nowej Gwinei i prowadzą rozmowy o wojskowej obecności na Palau. Mają zaś już bazy na Guam i Wyspach Marshalla.

Gotowość Zachodu do kontrowania ruchów Pekinu pokazuje też podpisanie w 2021 r. brytyjsko-amerykańsko-australijskiego polityczno-wojskowego paktu AUKUS, który umożliwi Australii pozyskanie atomowych okrętów podwodnych.

Emmanuelle Mangalle: – Najbardziej się boję, że zostaniemy postawieni wobec wyboru: Chiny lub Zachód. Na razie udaje nam się utrzymywać dobre relacje ze wszystkimi, i to rozsądne podejście. Jesteśmy demokracją młodą i niezamożną. Musimy budować drogi, walczyć z korupcją, ograniczać zachłanność firm wydobywczych i dbać o wolność słowa. Mamy zbyt ważne sprawy na głowie, by dać się wciągać w gry mocarstw.

– Oczekiwanie, że w razie konfliktu balansowanie będzie łatwe, jest nierealistyczne. Gdzie walczą dwa słonie, tam cierpi trawa – dodaje prof. Kabutaulaka i podkreśla, że najważniejsze to nie wchodzić w bliskie relacje z Chinami bez zrozumienia ich prawdziwych intencji.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

ATOPIX / AP / EAST NEWS

Demonstranci palą kukłę Putina. Tbilisi, Gruzja, 27 marca 2022 r.

Jeśli padnie Kijów, kolejne będzie Tbilisi

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z TBILISI

Gruzja dotąd nie nałożyła na Rosję sankcji. Jej władze boją się, że spotkałyby się z ostrą reakcją Kremla. Inicjatywę przejmują więc zwykli Gruzini.

Tylu unijnych flag nie znajdziemy chyba na ulicach żadnego europejskiego miasta. Gruzja nie jest nawet oficjalnym kandydatem do Unii Europejskiej, ale po wyglądzie jej stolicy widać, że bardzo tego chce.

Świeci słońce, a Tbilisi po jedenastej zaczyna być głośne i tłoczne. Policja kieruje ruchem, bo wiele ulic jest od paru dni pozamykanych – w tym ta główna, prowadząca od stacji metra Rustaweli aż do placu Wolności. Tutaj, w sercu miasta, przy złotej kolumnie świętego Jerzego zabijającego smoka, od wczesnych godzin porannych trwają ćwiczenia do defilady wojskowej na dzień przed Świętem Niepodległości. Dokładnie 26 maja 1918 r. Gruzja odzyskała niepodległość, aby stracić ją trzy lata później po ofensywie Armii Czerwonej zimą 1921 r. Dzisiaj 20 proc. powierzchni tego górzystego kraju, liczącego niespełna 4 mln mieszkańców, znajduje się pod okupacją Rosji.

Dlatego wiele osób sceptycznie podchodzi do świętowania tego dnia. Także Lia, po pięćdziesiątce, która pracuje jako opiekunka dwóch osób niepełnosprawnych i całe życie spędziła w Tbilisi, w niewielkim domu w okolicy placu Wolności. Zaprasza mnie na czaj z konfiturami, ale znając gruzińską gościnność na tym się nie skończy.

– A co tu świętować? – zaczyna opowiadać. – Jedna piąta Gruzji jest pod rządami Ruskich, a nasi chłopcy walczą teraz w Ukrainie. Wierzymy, że to także nasza wojna. Okupant jest wciąż ten sam.

Ochotnicy do zadań specjalnych

Gruzińskie ministerstwo obrony nie chce ujawniać danych dotyczących żołnierzy-ochotników przebywających w Ukrainie. Szacuje się, że w różnych oddziałach może walczyć nawet 2 tysiące Gruzinów.

Jednym z nich jest Mamuka Mamułaszwili, założyciel ochotniczego Gruzińskiego Legionu Narodowego. Wcześniej stał na czele gruzińskiej federacji mieszanych sztuk walki.

Rozmawiamy przez internet. Ze względów bezpieczeństwa mężczyzna nie może zdradzić swojego położenia. Mówi jedynie, że jego legion (w skład którego wchodzi około tysiąca Gruzinów, ale też żołnierze z innych krajów) bierze udział w operacjach specjalnych na wschodzie Ukrainy. Wszyscy mają doświadczenie bojowe.

Rosyjski Komitet Śledczy wszczął postępowanie przeciw Mamułaszwilemu, oskarżając go o stworzenie nieformalnej formacji wojskowej i wzywanie do nienawiści etnicznej. Wcześniej walczył z Rosjanami w Czeczenii (1994-96), Gruzji (2008), a od 2014 r. w Ukrainie.

– Jeśli padnie Kijów, kolejne będą Tbilisi i Warszawa. Jeśli Rosjanie zaatakują ↦

↦ Polskę, to ja z moimi ludźmi będę walczyć i w waszej obronie – mówi mi Mamułaszwili.

Dodaje, że czuje moralny obowiązek walki ramię w ramię z Ukraińcami, bo to oni jako pierwsi przyszli im z pomocą, gdy Rosjanie w latach 90. zaatakowali Abchazję, gruziński region na zachodzie kraju, do dziś okupowany przez Rosję.

– Wtedy 30 Ukraińców zginęło w naszej obronie. Czuję wobec nich moralne zobowiązanie. Nasz rząd jest prorosyjski, ale wszyscy pozostali, których ambicją jest wolność, muszą opowiedzieć się po stronie Ukrainy – podkreśla w rozmowie.

Po 24 lutego prezydent Wołodymyr Zełenski odznaczył już kilkoro Gruzinów za odwagę i poświęcenie w obronie Ukrainy. Wśród nagrodzonych jest m.in. małżeństwo Gela Beglarishvili i Rusudan Ivanishvili.

Z obawy przed Rosją

Zupełnie inaczej na obecność Gruzinów w Ukrainie reagują władze Gruzji.

Gdy na lotnisko w Tbilisi docierały trumny gruzińskich żołnierzy, którzy tam zginęli, wśród tłumów witających je na lotnisku na próżno było szukać przedstawicieli władz. Rząd na początku rosyjskiej inwazji blokował nawet loty czarterowe, aby utrudnić ochotnikom dotarcie do Ukrainy.

– Jeśli ktoś wraca z frontu do domu, musi się liczyć z problemami. Policja szuka pretekstów, aby go aresztować – mówi Mamuka Mamułaszwili.

Potwierdza to aktywista Nodar Rukhadze z organizacji Shame Movement: – Mój kolega walczący w Ukrainie po powrocie do kraju był przez 18 godzin przesłuchiwany na lotnisku. To jakiś absurd.

Z kolei Giorgi Khelashvili z partii rządzącej Gruzińskie Marzenie przekonuje w rozmowie z „Tygodnikiem", że władze nie utrudniają wyjazdu ochotnikom, lecz że Gruzja nie może ich oficjalnie wspierać, podobnie inne państwa. Mówi także, że wyjazd na wojnę jest moralnym wyborem każdego człowieka.

Bez sankcji

Choć od początku rosyjskiej inwazji minęły ponad trzy miesiące, gruziński rząd wciąż nie nałożył na Rosję żadnych sankcji.

Zależność Gruzji od rosyjskich surowców i produktów spożywczych jest faktem. Oficjalnie kraj importuje najwięcej z Turcji i Unii Europejskiej, ale wystarczy wejść do dowolnego sklepu, aby zobaczyć, że większość produktów pochodzi z Rosji. W niektórych nawet gruzińskie produkty „zdobi" rosyjska naklejka z napisem „cena".

Gruzini boją się nowego starcia z Rosją. Wciąż mają w pamięci sierpień 2008 roku i tamtą „wojnę pięciodniową".

15 marca rosyjska Federalna Służba Nadzoru Weterynaryjnego i Fitosanitarnego zniosła wcześniejszy zakaz importu produktów mlecznych z Gruzji. Zdaniem Gruzińskiej Narodowej Federacji Żywności jest to efekt dwuletnich negocjacji, ale według opozycji to reakcja Kremla na zachodnie sankcje.

– To poniżające, że pomimo tych wszystkich okrucieństw wojennych dokonanych przez Rosjan nasz rząd chce z nimi prowadzić interesy – mówi aktywista Nodar Rukhadze.

Gruziński rząd wysłał do Ukrainy 140 ton pomocy humanitarnej, ale o sankcjach wciąż nie ma mowy.

– Gruzja jest dziś być może w jednym z najtrudniejszych geopolitycznych miejsc na świecie – przekonuje Giorgi Khelashvili z Gruzińskiego Marzenia. I porównuje jej sytuację do życia obok wulkanu, który może wybuchnąć w każdym momencie i w każdym kierunku.

– Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Poparliśmy wszystkie międzynarodowe rezolucje potępiające Rosję. Jednak nałożenie sankcji miałoby dużo poważniejsze skutki dla samej Gruzji – mówi polityk. Uzasadnia to kilkoma czynnikami. Po pierwsze, oddziały rosyjskie okupują tereny położone zaledwie 30 km od Tbilisi. Po drugie, kraj ma blisko 300 tys. uchodźców wewnętrznych. No i nie może liczyć na wsparcie NATO.

Jednak według marcowego sondażu Caucasus Research Resource Centers, 61 proc. Gruzinów domaga się od rządu silniejszej reakcji na rosyjską agresję przeciw Ukrainie.

W zachodniej prasie coraz częściej można spotkać nagłówki mediów: „Putin przegrywa w Ukrainie, ale wygrywa w Gruzji".

Flagi na domach

Tam, gdzie zawodzą działania władz państwowych, górę biorą społeczne inicjatywy wspierające Ukrainę.

W jednej z restauracji w Kutaisi – drugim pod względem wielkości mieście Gruzji – słyszę, jak grupa kobiet domaga się menu w języku rosyjskim. Obsługujący je kelner protestuje i, mimo że zna rosyjski, chce, aby zamówienie złożyły po gruzińsku lub angielsku.

– Po wybuchu wojny w Ukrainie do Gruzji przyjechało ponad 100 tys. Rosjan. To dużo jak na rozmiary naszego kraju. Wiem, że część z nich uciekła przed prześladowaniami w swoim kraju, ale jakoś tak trudno zacząć mi z nimi rozmowę po rosyjsku – mówi Nodar Rukhadze.

Podobnie uważa wielu Gruzinów, którzy choć znają rosyjski, to coraz częściej nie chcą go używać.

Wiele pomników w kraju zdobi teraz niebiesko-żółta flaga. Nie spotkamy ich natomiast na budynkach państwowych – kolejny przejaw polityki „nieprowokowania Rosji". Flag ukraińskich jest za to mnóstwo gdzie indziej – namalowanych na domach, wywieszonych na balkonach czy na drzwiach prywatnych firm. Pojawiają się także naklejki na samochodach, ulicznych lampach i słupach oraz napisy po ukraińsku na murach „Sława Ukraini!".

Akcja edukacja...

Wystarczy przejść się po Tbilisi w poszukiwaniu wi-fi, aby przekonać się, że trwa tam prawdziwa akcja edukacyjna wobec Rosjan.

Właściciele wielu kawiarni czy restauracji wymagają od swoich gości, pragnących skorzystać z darmowego dostępu do internetu, aby wpisywali takie hasła jak: „Wojna w Ukrainie", „Slava Ukraini", a także słynnego „Putin idi nachuj".

Na tych, którzy mają jeszcze wątpliwości, kto jest w tej wojnie agresorem, czeka jedna z tbiliskich restauracji, która przed wejściem wymaga od gości podpisania następujących wniosków: „Rosja rozpoczęła wojnę w Ukrainie" i „Rosja okupuje 20 proc. Gruzji". To obowiązkowe, aby móc tam zjeść.

W wielu miejscach stolicy można też spotkać rosyjskojęzyczne napisy „Najlepsze chinkali w Tbilisi", wraz z kodem QR. Gdy przybysz z Rosji będzie chciał dowiedzieć się, gdzie może skosztować tej tra-

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Mariam Dolidze i Nodar Rukhadze, Tbilisi, 25 maja 2022 r.

dycyjnej gruzińskiej potrawy i zeskanuje kod, wyświetlą mu się informacje o wojnie w Ukrainie.

...i marsze solidarności

Po rosyjskiej inwazji Gruzini kilkanaście razy wychodzili na ulice stolicy, a także mniejszych miast, by wyrazić solidarność z Ukrainą. 7 marca protestujący przeszli główną aleją Rustawelego, by przed parlamentem rozwinąć ogromną flagę Ukrainy. Domagali się reakcji rządu i dymisji premiera Irakliego Garibaszwilego. Niektórzy rzucali w stronę budynków rządowych papierem toaletowym i mąką. Policja aresztowała 15 aktywistów, w tym Nodara Rukhadzego z grupy Shame Movement.

– Chcieli rozproszyć marsz, to oczywiste. Policja dostała rozkaz, aby zatrzymać kilka osób, a że nasze twarze są im dobrze znane z innych protestów, poszło im to szybko. Jednego z naszych kolegów złapali, gdy wsiadał do samochodu – mówi Rukhadze.

Teraz aktywiści mają do zapłacenia grzywny o równowartości ponad 11 tys. dolarów – to ponad 27 średnich pensji.

Gruzińskie aspiracje

Od 10 lat krajem rządzi partia Gruzińskie Marzenie, założona przez biznesmena Bidzinę Iwaniszwilego, który dorobił się w Rosji. Kiedy Iwaniszwili wchodził do polityki, wartość jego majątku była szacowana na połowę wartości gruzińskiego PKB. Na stronie internetowej partii czytamy, że jej celem jest „spełnienie europejskich i euro-azjatyckich aspiracji Gruzinów".

– To tylko slogan. Od dekady łamane są demokratyczne wartości. Dziś w ich rękach jest nie tylko parlament, lecz także większość instytucji, w tym sądy i prokuratura – mówi Mariam Dolidze, aktywistka z Shame Movement.

Ogromnym echem odbiła się w ostatnim czasie sprawa szefa opozycyjnej stacji telewizyjnej: Nika Gvaramia trafił na 3,5 roku do więzienia za rzekome nadużycia swojej pozycji i szkodzenie interesom firmy. Według Amnesty International to działanie motywowane politycznie, które ma zdusić wolność słowa.

Tymczasem przewodniczący parlamentu Irakli Kobakhidze zapewnia, że „Gruzja jest przed Ukrainą i Mołdawią, jeśli chodzi o parametry do osiągnięcia oficjalnego statusu kandydata do Unii Europejskiej". Z sondażu prowadzonego przez amerykański ośrodek International Republican Institute wynika, że tego właśnie chce 88 proc. Gruzinów.

Strach przed kolejną wojną

Kiedy rozmawiamy w biurze Shame Movement w centrum Tbilisi, słyszymy nagle, jak nad budynkiem przelatuje wojskowy samolot. Widzę dezorientację na twarzach rozmówców. Po chwili ciszy mówią, że to tylko ćwiczenia przed Dniem Niepodległości.

Gruzini boją się wojny. Wciąż mają w pamięci sierpień 2008 r. i trwający pięć dni konflikt z Rosją. Odcisnął na nich piętno.

– Rządzącym łatwo jest uprawiać propagandę i straszyć ludzi, że dla ich polityki nie ma alternatywy, bo rządy opozycji oznaczałyby wojnę z Rosją. Mówią, że konflikt z 2008 r. był sprowokowany przez naszego prezydenta Micheila Saakaszwilego – mówi Nodar Rukhadze (Saakaszwili, który po wielu latach pobytu na emigracji wrócił do kraju, trafił do więzienia i przebywa tam do dziś).

Tatia Muchauri miała 8 lat, gdy – będąc na placu zabaw – zobaczyła, jak gruziński czołg staje w płomieniach. Słyszała krzyk żołnierza. To było w Cchinwali, w ogniu wojny. Tatia pamięta też, jak wielokrotnie musiała uciekać do schronu z obawy przed Rosjanami. Mówiło się, że słyną z brutalności i gwałcą dziewczyny. Nie było wtedy łączności telefonicznej, a Tatia bała się o życie ojca, z którym straciła kontakt. Dziś ma 22 lata i mieszka w Tbilisi. Do teraz czasem trzęsą się jej ramiona, gdy nagle słyszy nieznany hałas.

Z kolei Julia Kharashvili w 1992 r. musiała uciec ze swojego domu w Abchazji. Wówczas straciła nie tylko dom, lecz także przyjaciół, sąsiadów i rodzinę. W kolejnych latach trudno było jej pozbyć się koszmaru nocnego, w którym znajduje się na podwórzu swojego domu, ale nie może wejść do środka.

Wspólnota losu

Takich ludzi jak Tatia i Julia jest w Gruzji mnóstwo. Trudno dziwić się, że strach przed wojną jest tutaj wciąż wszechobecny – zwłaszcza u tych kilkuset tysięcy uchodźców wewnętrznych, którzy musieli opuścić region Abchazji oraz Południowej Osetii, do dziś okupowane przez Rosjan.

– Większość świata nie dostrzegała naszych wojen – mówi Julia Kharashvili, należąca do stowarzyszenia IDP Women Association „Consent". – Wielu naszych uchodźców wewnętrznych wciąż żyje w zbiorowych centrach: w hostelach, budynkach publicznych i przedszkolach. Dla nich nie ma powrotu do domu. Borykają się z problemami natury psychologicznej, podobnie jak dziś miliony Ukraińców. Także dlatego utożsamiamy się z Ukraińcami i chcemy im pomagać.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

HISTORIA

Wolny czas reformatora

MACIEJ MÜLLER

500 lat temu na prasy drukarskie wędrował szczególny przekład Biblii. Opracował go ukrywający się Marcin Luter.

Droga wiodła przez gęsty las porastający góry Turyngii. Wóz otaczało kilku zbrojnych ze straży cesarskiej. Pasażerem, którego eskortowali, był doktor Marcin Luter. Zgodnie z obietnicą cesarza Karola V, wyjechał on z Wormacji jako człowiek wolny i udał się w kierunku Wittenbergi. Nie wiedział, że strażnicy mają rozkaz go aresztować, kiedy tylko skończy się termin zapisany w liście żelaznym.

Wtem z przydrożnych zarośli wyskoczyła grupa zbrojnych jeźdźców: rozbójnicy! Choć dziwnie zdyscyplinowani i podejrzanie dobrze wyposażeni... Obezwładnili zaskoczonych strażników, wywlekli z wozu Lutra, posadzili go na wolnego konia i odjechali.

Porwanie było sfingowane: to był pomysł protektora Lutra, księcia elektora saskiego Fryderyka Mądrego. Książę wiedział, że zaraz po wyjeździe augustianina – Luter ciągle jeszcze był zakonnikiem – cesarz wydał edykt (zwany wormackim), który wyjmował go spod prawa, zakazywał mu pomagać i żywić, a także kupować i czytać jego pisma. Dlatego wysłał ludzi, by uprowadzili reformatora i zawieźli go do leżącego na uboczu zamku w Wartburgu.

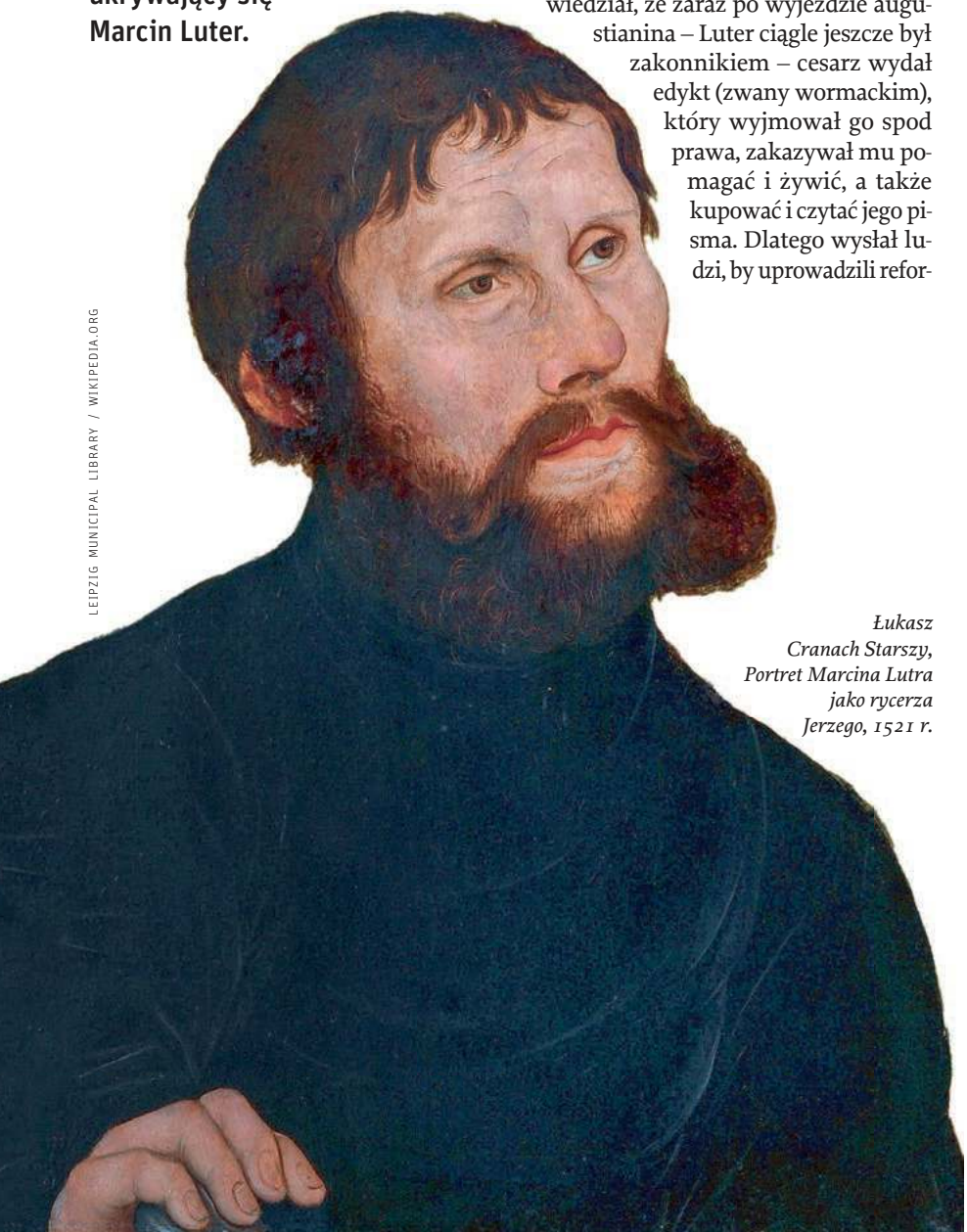

LEIPZIG MUNICIPAL LIBRARY / WIKIPEDIA.ORG

Łukasz Cranach Starszy, Portret Marcina Lutra jako rycerza Jerzego, 1521 r.

Rozmyślania w toalecie

Minęły zaledwie cztery lata, od kiedy młody profesor Pisma Świętego z uniwersytetu w Wittenberdze ogłosił 95 tez przeciwko odpustom (zostawmy na marginesie pytanie, czy istotnie przybijał je do wrót kościoła). To ten czyn doprowadził zakonnika na Sejm Rzeszy, czyli zgromadzenie stanów Cesarstwa w Wormacji, a potem do Wartburga.

Luter od dzieciństwa żył w lęku przed potępieniem. Czuł się w obliczu Boga bezwartościowy. Jak sam pisał (a nigdy nie przebierał w słowach), jego „wewnętrzne gówno", czyli grzeszna natura, jest barierą między nim a Stwórcą. Nie znalazł otuchy w klasztornej ascezie. Wprost przeciwnie: doszedł do wniosku, że mnożenie obowiązków religijnych tylko pogarsza jego stan.

Ówczesny Kościół na lęki chrześcijan miał jedną odpowiedź: odpusty. Zakup listu odpustowego miał zapewnić dostęp do tzw. puli zasług Chrystusa i świętych, skracając czas kar czyśćcowych. Luter, studiując List św. Pawła do Rzymian, doszedł tymczasem do fundamentalnego dla całej nadchodzącej Reformacji wniosku, iż na zbawienie nie można zasłużyć żadnymi uczynkami, lecz że jest ono darmo dane przez Chrystusa i jedyne, co człowiek musi zrobić, to uwierzyć. Jeśli uznać za prawdę wspomnienia reformatora, do odkrycia tego doszło podczas rozmyślań w klasztornej wieży kloacznej. „Tę sztukę Duch Święty dał mi w ustępie" – opowiadał.

Szatańska pycha

Zakres tego, przeciw czemu buntował się Luter, stopniowo się poszerzał: w kolejnych pismach i kazaniach krytykował rzymski przepych („co taka szatańska pycha ma wspólnego z Chrystusem, który chadzał piechotą?" – pytał), odrzucał autorytet papieża i soborów, kult świętych i Maryi (jedynym pośrednikiem jest przecież Chrystus), ofiarny wymiar mszy (bo ofiara była jedna i już się dokonała), sens życia zakonnego, wzywał do udzielania komunii pod dwiema postaciami oraz afirmował ludzką cielesność i seksualność. Umieszczenie obok siebie na świecie mężczyzny i kobiety, a następnie zakazanie im seksu to „jak gdyby się nagromadziło słomę i ogień, po czym nakazało się,

by się nie paliło i nie dymiło" – dowodził. Teologię odpustów porównywał do systemu bankowego i się nią brzydził. Jego pisma były niezwykle popularne: między rokiem 1500 a 1530 co piąta z drukowanych w krajach niemieckich publikacji była autorstwa Lutra.

Działalność augustianina doprowadziła go na kurs kolizyjny najpierw z dominikańskim inkwizytorem i sprzedawcą odpustów Janem Tetzlem, a później z całym Kościołem symbolizowanym przez kurię rzymską. Stawką było jego życie – wcześniejsza o sto lat historia czeskiego reformatora Jana Husa, spalonego na stosie podczas Soboru w Konstancji mimo udzielonego mu listu żelaznego, nie pozostawiała co do tego wątpliwości.

Wyklęty

Bulla papieża Leona X „Exsurge Domine" z czerwca 1520 r. potępiła 41 twierdzeń z traktatów Lutra i dawała mu dwa miesiące na ich odwołanie pod groźbą ekskomuniki. Reformator kopię bulli wrzucił do ognia, wspólnie z kodeksem prawa kanonicznego. Kiedy papież się o tym dowiedział, ekskomunikował zakonnika.

Sprawa była poważna – gdyby Luter dostał się w ręce zwolenników papieża, niechybnie skończyłby na stosie. A tymczasem postulaty wittenberczyka rozpalały wyobraźnię zarówno niemieckich mieszczan czy chłopów, jak też książąt. Elektor saski Fryderyk Mądry, którego sekretarzem był wielki zwolennik Reformacji Georg Spalatin, wystarał się, by nad sprawą Lutra pochylił się nie papież, ale cesarz. Luter otrzymał wezwanie do złożenia wyjaśnień na Sejmie w Wormacji w kwietniu 1521 r. – cesarz Karol V nadesłał mu list żelazny z zapewnieniem osobistego bezpieczeństwa.

Luter wspominał potem, że „nawet gdyby w Wormacji było tyle diabłów, ile dachówek na dachach, i tak by przyjechał". Wezwany do ukorzenia się za swoje błędy, stwierdził, że uczyni to chętnie, a nawet sam spali swoje książki, o ile ktoś „obali jego błędy na podstawie pism proroków i ewangelistów". Karol V uznał za niemożliwe, żeby mylili się „teologowie wszystkich stuleci", a rację miał jeden zakonnik. Innymi słowy: Luter i jego zwolennicy stawiają się poza Kościołem i trzeba ich traktować jak heretyków. Nie postąpił jednak jak Zygmunt Luksemburski wobec Husa – i pozwolił Lutrowi wyruszyć w drogę powrotną do Wittenbergi.

Biblia dla wszystkich

Intryga z porwaniem została tak pomyślana, by na elektora nie spadło podejrzenie o ukrywanie banity. Luter zamieszkał na zamku w Wartburgu jako rycerz Jerzy, zapuścił brodę, habit zmienił na szaty szlacheckie i musiał uczestniczyć w polowaniach. Tymczasem rozeszły się plotki: jedni mówili, że augustianin został zamordowany i wrzucony do studni; inni, że papież opłacił mu podróż do Nowego Świata.

Luter szybko zaczął się nudzić. Użalał się na „wymuszone próżnowanie", od którego doznał chronicznego zatwardzenia („Pan doświadcza mnie silnym bólem w zadku" – pisał). Frustrację postanowił opanować, biorąc na warsztat tłumaczenie Biblii na niemiecki. W ciągu niecałych trzech miesięcy – do marca 1522 r. – przełożył Nowy Testament.

Jego tłumaczenie nie było pierwszym (sporo ich powstało w Niemczech w wiekach XV i XVI), stało się jednak kamieniem milowym w historii przekładu. Luter, po pierwsze, porzucił Wulgatę i tłumaczył z języków oryginalnych (szczęściem niedługo wcześniej grecką edycję Nowego Testamentu wydał Erazm z Rotterdamu). Po drugie, przyjął za cel, by tekst Pisma był zrozumiały dla każdego odbiorcy. Łączył niemczyznę literacką z potoczną, unikał kalk językowych, tworzył też nowe słowa konieczne do oddania treści (jak *die Nächstenliebe* – miłość bliźniego). Ale nade wszystko starał się oddać sens ksiąg, nawet kosztem akademickich zasad przekładu. „Nie trzeba pytać łacińskich liter, jak należy mówić po niemiecku" – podkreślał.

Potem ze strony teologów papieskich spadły za to na niego oskarżenia o fałszowanie treści. Oto przykład: zdanie z Listu do Rzymian (3, 28), które literalnie brzmiałoby „Uważamy bowiem, że człowiek zostaje usprawiedliwiony przez wiarę, niezależnie od uczynków ciała" – Luter przełożył, stosując wyrażenie „jedynie przez wiarę". Uważał, że taki jest najgłębszy sens Pawłowej teologii i należy go w tym miejscu uwypuklić, bowiem „nie ze względu na uczynki prawa, ale dzięki wierze w Chrystusa zostaniemy usprawiedliwieni". List do Rzymian uwielbiał do tego stopnia, że zachęcał do uczenia się go na pamięć.

Praca Lutra szybko powędrowała na prasy drukarskie i 21 września 1522 r. ukazało się pierwsze wydanie Nowego Testamentu z drzeworytami Łukasza Cranacha. Był to przebój wydawniczy wieku XVI. Pierwsze 3 tys. egzemplarzy poszło na pniu, w grudniu ukazał się dodruk, a do roku 1534, kiedy Luter wydał przekład całości Pisma Świętego, sam Nowy Testament wznawiano 85 razy. Nikt dotąd nie upowszechnił Biblii w takim stopniu: już w latach 30. XVI stulecia w co dziesiątym niemieckim domu znajdował się Lutrowy przekład. A do dzisiaj wielu tłumaczy protestanckich przyjmuje założenia człowieka, którego zwolennicy nazwali potem Ojcem Reformacji: Biblia ma być tak zrozumiała, jak to tylko możliwe.

Powrót

Luter był tak zadowolony ze swojej pracy literackiej (napisał też wiele kazań), że stwierdził: „Wypędziłem diabła atramentem". Potem luterańscy propagandziści, jak na ironię, wyjaśniali te słowa literalnie, opowiadając, że w prześladującego go diabła doktor Marcin rzucił kałamarzem (przez kolejne stulecia pokazywano w Wartburgu skwapliwie odnawianą plamę atramentu na ścianie).

Bezpieczny i twórczy pobyt w Wartburgu dobiegał jednak końca. Do Lutra docierały niepokojące wieści z Wittenbergi: jego zwolennicy plądrowali kościoły, obrzucali kamieniami wiernych papieżowi księży. Augustianie na dziedzińcu klasztornym rozpalili ognisko, w którym spalili ołtarze, obrazy i rzeźby. Z miasta wygnano prostytutki, zakazano wspólnego życia bez ślubu. Luter nie popierał radykalizmu, a tym bardziej rozruchów społecznych, i uznał, że z jego nauk wyciągnięto zbyt pochopne wnioski.

Wbrew woli Fryderyka Mądrego, który ostrzegał, że poza murami zamku nie może zapewnić mu bezpieczeństwa, opuścił Wartburg i podjął przerwaną dziesięć miesięcy wcześniej drogę do Wittenbergi – głęboko zaniepokojony, że wywołany przez niego ruch, nazwany potem Reformacją, wymyka się spod kontroli. ©℗

Korzystałem m.in. z: Lyndal Roper „Marcin Luter. Prorok i buntownik", Łukasz Barański, Jerzy Sojka „Reformacja. Tom I".

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *JKW*

Miłowała zwierzęta. Najbardziej psa Burusia, ale i królika, żółwia oraz papugę.

Litowała się nad biednymi dziećmi, rozdawała im słodycze i pozwalała bawić się swoją lalką.

Miała chore oczy, ale znachorka z Nowolipek cudowną maścią uratowała jej wzrok.

Nauczyciele śpiewu zwrócili uwagę na jej głos i wyjechała na naukę do Lwowa.

Uwielbiała Modrzejewską, która przyjechała na gościnne występy, kupiła jej kwiaty. Kosztowały dwa guldeny, zostało jej tyle co dla dozorcy – sześćdziesiąt centów. Otwarcie bramy kosztowało dziesięć, można było za nie kupić pięć bułek na śniadanie.

Pobiegła do Modrzejewskiej za kulisy i zobaczyła z bliska jej twarz, całą w zmarszczkach. Płakała nad tymi zmarszczkami do nocy.

Zaśpiewała Hannę w „Strasznym dworze". Sama uszyła kostium, żeby było taniej. Materiał kupiła w sklepiku pani Auerbachowej, która lubiła jej śpiew i otworzyła jej konto do dwustu guldenów.

Śpiewała coraz piękniej.

Pojechała do Warszawy. W operze byli sami Włosi. Źle nie śpiewali, ale jako patriotka wolała Polaków i walczyła z „włoską okupacją".

Zaśpiewała dla Mikołaja II, cara Rosji. Stała dwa kroki od niego i przed oczami przeleciały jej wszystkie zmagania narodu polskiego. Powinna była rzucić mu bombę pod nogi, ale zaśpiewała arię z „Traviaty".

Bywała na kawie u państwa Rajchmanów. Gospodarz, redaktor „Echa Muzycznego", był inicjatorem budowy warszawskiej filharmonii. Na otwarcie przybył Ignacy Paderewski, a na przyjęcie Henryk Sienkiewicz. W trzydziestą piątą rocznicę zbudowania filharmonii znowu był koncert i było przyjęcie, nazwiska Aleksandra Rajchmana nie wymieniono ani razu. Co zanotowała jako fakt, w imię prawdy.

Wyszła za mąż za doktora praw, syna powstańca styczniowego.

Śpiewała dla króla Portugalii. Był królewski i nadęty.

Śpiewała dla króla Hiszpanii, był sympatyczny.

Śpiewała w Kijowie.

Mieszkała w kamienicy naprzeciw teatru. Na trzecim piętrze mieszkał żydowski krawiec z sześciorgiem dzieci. Był pogrom Żydów, krawca zrzucono na bruk. Zdążyła ukryć u siebie jego dzieci, całą szóstkę.

Śpiewała z Szalapinem. W antrakcie przedstawienia odmawiał wyjścia na scenę, jeśli natychmiast nie dostanie honorarium. Diengi połuczili? Niet? Tak padażdiom. Dostawał pieniądze i śpiewał dalej.

Odmówiła udziału w „Salome" Richarda Straussa, bo rola była odrażająca. Kompozytorowi powiedziała, że nie będzie niszczyła sobie głosu w jego operze.

Do pieśni Rachmaninowa akompaniował jej kompozytor.

Przyjaźniła się z Reymontem, który był nerwowy, ale przemiły. Chciał, żeby jego prochy gdzieś po polu były rozsypane – zwierzył jej się podczas spaceru. Żałowała, że leży na cmentarzu, że z jego prochów nie wyrosły łany zbóż i płomienne maki.

Wyjechała do Ameryki. W Metropolitan śpiewała z Caruso. Miał czarowny głos i popędliwe gorące serce. Porzuciła go żona. Szalał z rozpaczy, śpiewając arię „Śmiej się, pajacu" płakał na scenie rzewnymi łzami. W ostatnim akcie „Pajaców" przebijał ją nożem. Przed każdym przedstawieniem sprawdzała, czy nóż jest bezpiecznym rekwizytem, czy w zapamiętaniu nie uśmierci jej na scenie.

Zdumiewał ją i przerażał stosunek Amerykanów, białych ludzi, do Murzynów. Oburzały ją lincze, nie rozumiała nienawiści, w jakiej wychowuje się młode pokolenie.

Wróciła do Polski.

Wybuchła wojna – pierwsza, światowa. Śpiewała w szpitalach rannym żołnierzom.

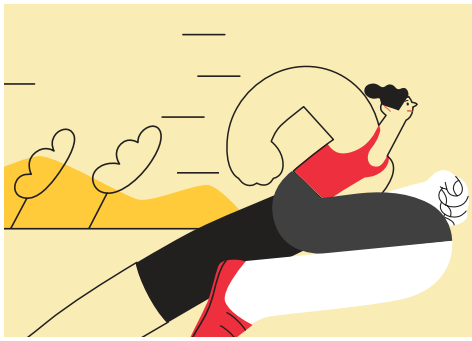

Serwisy specjalne: patrz szerzej

KRYZYS KLIMATYCZNY

Jak zatrzymać katastrofę

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KRYZYS-KLIMATYCZNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Przyszła na zebranie pań, które szykowały gwiazdkę dla rannych. Miała listę pięciuset żołnierzy, panie też miały listę, krótszą o dwieście nazwisk. Wyjaśniło się, że szykują gwiazdkę tylko dla Polaków. Będą panie chodziły od łóżka do łóżka? Będziecie pytały ludzi bez rąk i bez nóg, czy są Polakami? – spytała i wyszła z zebrania. Zrobiła paczki z pomocą przyjaciół i rozdała pięciuset żołnierzom.

Powiedziała prezydentowi Warszawy, że jest gotowa pokierować warszawską operą.

Prezydent przystał na propozycję.

Została pierwszą na świecie kobietą-dyrektorem teatru operowego.

Wystawiła Moniuszkę i publiczność była zachwycona. Wystawiła Glucka i nikt nie przyszedł. W pustym teatrze siedziały w loży dwie osoby – ona i jej mąż.

Przez dwa lata dyrekcji – bez deficytu i bez miejskiej dotacji – pokazała trzysta przedstawień. Była obecna na każdym, nie mogła zostawić teatru bez opieki.

Ponownie pojechała do Ameryki.

Zachorował Caruso, marzył o powrocie do Neapolu, odprowadziła go na okręt. Umarł po kilku miesiącach. Dyrekcja Metropolitan spytała ją, kto mógłby go zastąpić. Poleciła Polaka, Józefa Manna. Świadomość, że ma zastąpić Caruso, wprawiła go w nerwowe podniecenie tak wielkie, że umarł, śpiewając Radamesa w „Aidzie".

Wróciła do Polski i ponownie objęła dyrekcję Opery. Zaczęła od mycia okien i podłóg i od wkręcenia żarówek.

Po śmierci Piłsudskiego ogłoszono żałobę i teatry zamknięto. Operze groził deficyt, a pracownikom bezrobocie. Po zakończeniu żałoby wystawiła „Rose-Marie", operetkę. Melomani byli zgorszeni, ale grali „Rose-Marie" ponad sto razy i deficytu nie było.

Ceniła współpracę z kasjerem, buchalterem i garderobianą. I z bileterem, którym był syn jej fryzjera, komunista, późniejszy „Mały Franek", dowódca oddziału Gwardii Ludowej.

Powstanie przeżyła w Warszawie, w schronach i piwnicach. Wyszła z miasta ostatniego dnia z jednym przedmiotem – srebrną łyżeczką do herbaty.

Podczas jubileuszu (60 lat pracy artystycznej i społecznej) poprosiła o pomnik Moniuszki przed gmachem Opery.

W szpitalu poprosiła o maszynę do pisania, do końca poprawiała swój pamiętnik – „Sztuka i życie".

W muzeum Teatru Wielkiego są jej białe rękawiczki balowe, nieodebrane z pracowni, i jej czarna torebka – z jedwabiu czy rypsu. W torebce jest saszetka, za mała na puderniczkę i lusterko – nieostre, w którym nie można się przejrzeć. ©

Janina Korolewicz-Waydowa „Sztuka i życie", Wrocław 1969

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

weź, czytaj!

Do każdej prenumeraty wyjątkowy notes kulinarny w prezencie.

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- **internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- **dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

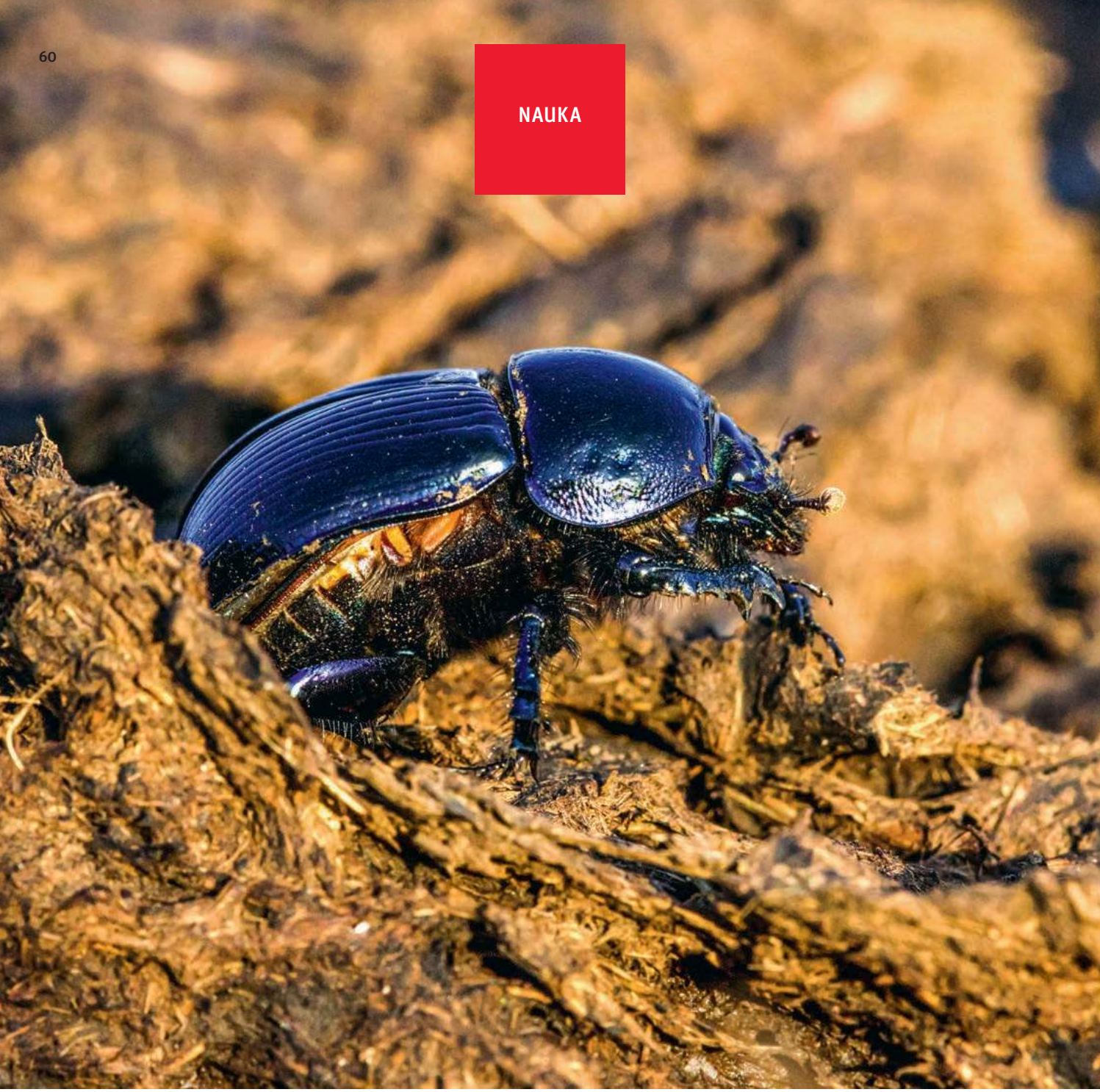

Żuk gnojowy (Geotrupes stercorarius) – jeden z ponad 350 tys. opisanych gatunków chrząszczy.

PLANETA OWADÓW

ANNE SVERDRUP-THYGESON, BIOLOŻKA:

One są jak drobniutkie koła zębate natury,
dzięki którym działa maszyneria świata.
Owady zasługują na to, by opowiadać o nich piękne historie.

MARIA HAWRANEK: Dlaczego powinniśmy wiedzieć więcej o owadach?

ANNE SVERDRUP-THYGESON: Na każdego z nas przypada 200 mln owadów. Powinniśmy być z tego powodu szczęśliwi, bo jesteśmy całkowicie zależni od wykonywanej przez nie roboty. Owady troszczą się o sprzątanie bałaganu w przyrodzie – zajmują się odchodami zwierząt, pomagają w recyklingu obumarłych drzew i innych roślin, oczywiście – zapylają, pomagają roślinom w rozprzestrzenianiu nasion i stanowią pożywienie dla tak wielu większych zwierząt. Ptaki i ryby słodkowodne umarłyby bez nich z głodu.

Poza tym owady dają nam różne produkty, nie tylko te powszechnie znane, jak miód czy jedwab. Karmin, czerwony barwnik, powstaje z koszenili, związku pozyskiwanego z czerwców kaktusowych. Gdyby nie galasówki, którym zawdzięczamy atrament galusowy, być może nie moglibyśmy dziś odczytać średniowiecznych i renesansowych dzieł artystów i naukowców – atrament z sadzy jest o wiele mniej trwały. To galusowym Szekspir napisał swoje sztuki, a Beethoven – symfonie. Szelak, żywicę wytwarzaną przez różne gatunki czerwców, stosuje się w produkcji żelków, zabezpieczaniu mebli, tworzeniu protez i odlewów zębowych, w perfumach, izolacjach elektrycznych, klejach. Nawet w wosku, którym pokrywa się jabłka sprzedawane w supermarketach.

Owady są więc dla nas ważne i użyteczne. Ale Pani, gdy o nich pisze, idzie jeszcze dalej.

Dają nam również piękno i inspirację. Proszę sobie wyobrazić, że owady uprawiają grzyby czy hodują zwierzęta od 50 mln lat, podczas gdy nasze rolnictwo ma zaledwie 10 tysięcy lat. Np. mrówki hodują mszyce jak „cukrowe krowy". Latem każdy może zaobserwować, jak wspinają się po krzakach czy drzewach, by wydoić mszyce z nadmiarowej ilości produkowanej przez nie słodkiej wody i przynoszą ją maleńkim mrówkom do mrowiska. Ekipa z jednego mrowiska może zebrać w ten sposób 10-15 kg cukru w jedno lato! Jeśli jesteś w lesie i wiesz, że owady wokół ciebie są rolnikami, zmienia to twoją świadomość.

Mszyce są jeszcze bardziej niesamowite, bo spora część z nich okresowo praktykuje dzieworództwo. Wiosną nie mają czasu na składanie jajeczek – po prostu rodzą mszycątka, które rozwijają się z komórek jajowych w nowego osobnika. Mama mszyca potrafi urodzić córki, które są już w ciąży z kolejnymi córkami – są jak rosyjska matrioszka, jedna w drugiej. Te adaptacje pozwalają im rozmnożyć się w ekspresowym tempie.

Z Pani książek dowiedziałam się też, że istnieją cykady, które żyją 17 lat, a indyjski straszyk demonstruje ekstremalny wariant seksu tantrycznego – może być połączony z samicą przez 79 dni.

Jest tyle fascynujących faktów, o których moglibyśmy opowiedzieć! Maleńka muszka owocowa, *Drosophila bifurca*, to rekordzistka świata w dziedzinie długości plemnika – ma on niemal 6 centymetrów, czyli jest niemal 20 razy dłuższy od samego zwierzątka. Gdyby człowiek miał plemnik porównywanej wielkości, musiałby mieć długość boiska do piłki ręcznej. Inny zaskakujący fakt: larwy mącznika potrafią trawić plastik, a dokładnie – polistyren, z którego robi się m.in. opakowania na wynos czy kubki na gorące napoje. Motyl barciak potrafi wygryźć dziurę w plastikowej torbie i w czarodziejski sposób przerobić plastik na glikol etylowy – substancję, którą znamy z niezamarzającego płynu do chłodnic. Pszczoły zaś umieją liczyć do czterech i rozpoznawać twarze!

A opowie Pani o tym, jak chrząszcze w Australii posprzątały krowie łajno?

Wszystko zaczęło się od tego, że w XVIII w. do Australii przywieziono krowy, które pierwotnie tam nie występowały. Szacuje się tymczasem, że jedna krowa rocznie wydala 10 ton łajna. Na początku XX w. było w Australii już około miliona sztuk bydła, ale ani jednego chrząszcza, który potrafiłby po nich sprzątać. Żyły tu oczywiście rodzime gnojarze, jednak od milionów lat korzystały z suchych, twardych bobków torbaczy. I co się działo? Krowie placki zostawały na łąkach, wysychały, na powierzchni ziemi robiła się skorupa tak gruba i twarda, że trawa nie mogła się przez nią przebić. Każdego roku ogromne połacie ziemi stawały się odłogami.

Co gorsza, zanim łajno wyschło, stanowiło doskonałe środowisko dla much. Jeśli wszystko działa jak należy, gnojarze porcjują odchody i wciągają je pod ziemię, dzięki czemu składniki odżywcze wracają do ziemi. Czyli brak chrząszczy spowodował trzy efekty: ziemia traciła składniki odżywcze, trawa nie mogła rosnąć, a muchy szalenie się namnażały. W latach 50. i 60. ruszył potężny projekt badawczy – australijscy naukowcy pojechali do różnych krajów o podobnym klimacie, głównie afrykańskich, by zbadać, jaki gatunek chrząszcza rozkłada u nich krowie łajno. Przywieźli ponad 40 gatunków. Niektóre z nich się przyjęły i problem zniknął – odchody przemieniły się w żyzną ziemię, na której znów mogła rosnąć soczysta trawa dla bydła. Takie sytuacje jak w Australii uświadamiają ogromne znaczenie pracy owadów jako supersprzątaczy.

Podobnie jest z obumarłymi pniami drzew i owadami, które się nimi żywią. Jak do tego doszło, że Pani zajmuje się zawodowo ich badaniem?

Kiedy byłam dzieckiem, każde lato i wiele weekendów spędzaliśmy z rodziną w dwuizbowym drewnianym domku bez wody i elektryczności. Trochę tak, jakbyśmy cały czas byli na campingu – na zewnątrz jedliśmy, bawiliśmy się, czytaliśmy. Byłam przyzwyczajona do obecności zwierząt wokół mnie, również owadów. Miałam też szczęście, że mój dziadek miał czas, by nauczyć mnie rzeczy, które były dla niego ważne – spacerowaliśmy po lesie z uważnością na to, co wokół nas. Myślę, że ten czas w dzieciństwie był kluczowy – bez świadomego zaangażowania przyroda stała się ważną częścią mojego życia. I chociaż początkowo studiowałam historię, to gdy tylko zorientowałam się, że można zawodowo być w przyrodzie i ją badać, zmieniłam kierunek. Owady i obumarłe drzewa naturalnie pojawiły się na mojej drodze. Zawsze fascynowały mnie różne formy życia.

Pisze Pani: „Martwe drzewo jest żywsze po śmierci, niż było za życia". Co ma Pani na myśli?

Największa część pnia składa się z obumarłych komórek – żyją tylko te w warstwie pod korą i oczywiście w korzeniach oraz liściach lub igłach. Kiedy drzewo obumiera, wprowadzają się do niego grzyby, owady, mchy, porosty i bakterie. W efekcie będzie w nim mieszkać więcej żywych komórek niż przed jego śmiercią. I to tak wielu gatunków! W takim pniu mogą żyć przedstawiciele być może tysiąca różnych gatunków – choć nie wszystkie potrafimy dziś rozpoznać. Dlatego mówię, że jest bardziej żywe ↦

VIESTURS LARMANIS / ALAMY / BE&W

↦ po śmierci. Martwe drzewo to część cyklu życia. Żyjące drzewo odżywia się składnikami, które pochodzą od dawniej żyjących drzew, a zostały rozłożone przez owady, grzyby, bakterie i przemienione w żyzną ziemię, w której kolejne ziarenko może wykiełkować i stać się nowym drzewem. I tak w kółko od milionów lat. To podstawa, która zapoczątkowała życie, kiedy wyłoniło się z oceanów na suchy ląd. To był pierwszy potrzebny proces. Ten recykling pozostaje tak bardzo niezauważony! Nie mamy świadomości jego ogromnego znaczenia. Może wiemy, że owady zapylają, pewnie dlatego, że ma to związek z kwiatami, które są piękne i ładnie pachną, a my lubimy piękne rzeczy. Jestem jednak przekonana, że ta praca recyklingowa, chociaż jest głównie czarno-brązowa i niekoniecznie ładnie pachnie, stanowi fundamentalny warunek dla istnienia życia. Bez owadów i grzybów życie nie mogłoby funkcjonować. Przyroda w tej postaci, jaką znamy, przestałaby istnieć. Owady to drobniuteńkie koła zębate natury, dzięki którym działa maszyneria świata.

W lasach, gdzie martwe drewno jest pozostawione samo sobie, gdzie owady mogą pracować nad nim we współpracy z grzybami, występuje o wiele mniej korników niż w lasach gospodarczych. Tymczasem walka z nimi bywa pretekstem do wycinki.

W lesie pierwotnym lub bardziej naturalnym niż gospodarczy żyje więcej pasożytów i drapieżników, które kontrolują populację kornika. To zostało bardzo dobrze opisane – np. w unijnym dokumencie „Living with bark beetles: impacts, outlook and management options". Epidemie kornika to część naturalnej dynamiki, pojawiały się zawsze, ale poprzez zamianę lasów w homogeniczne monokultury z mniejszą ilością martwego drewna ułatwiliśmy kornikom życie. Również przez sadzenie świerków w wielu miejscach w Europie, gdzie naturalnie nie powinno ich być – nie jest to mądre posunięcie, bo wówczas drzewa się stresują, np. tym, że jest dla nich za sucho, a gdy są osłabione, stają się łatwiejszym łupem dla kornika. Warto też pamiętać, że choć wiele lasów zostało zabitych przez kornika, to nie musi nas to tak bardzo niepokoić. Gdy tak się stało w Lesie Bawarskim, na terenie parku narodowego, i zostawiono w nim martwe drzewa, to chociaż ludzie mówili, że wygląda strasznie – las nie umarł! Wiele drzew umarło, ale las powraca – kilka lat później wszystko znów jest zielone. Około jednej trzeciej gatunków żyjących w lesie żywi się martwym drewnem, więc to naprawdę bardzo istotna część żyjącego lasu.

EIGIL RASMUSSEN-KORSAGER / ENA FORLAG

PROF. ANNE SVERDRUP-THYGESON jest biolożką, specjalizuje się w ochronie przyrody. Pracuje w Institute for Ecology and Nature Management w Norwegian University of Life Sciences. Popularyzatorka nauki, autorka wielu bestsellerowych książek, również dla dzieci. W Polsce ukazały się do tej pory dwie: „Terra insecta. Planeta owadów" (2019) i „Ekipa do naprawy świata. Jak dziesięć milionów gatunków staje na głowie, by uratować ci tyłek" (2022).

Natura to hamak, w którym spoczywa ludzkość.
Sploty jego tkaniny to gatunki na planecie i ich interakcje. Na razie jeszcze w nim leżymy, ale sami robimy coraz większe dziury.

Bada Pani martwe drzewa i pulsujące w nich życie od 20 lat, w tym czasie dokonano wielu odkryć. Jakie są najważniejsze, o których powinniśmy wiedzieć?

Badaliśmy razem z naszą grupą powiązania grzybów i owadów. Ich interakcje można porównać z interakcjami między zapylającymi owadami a kwiatami – żyją w symbiozie, o której niewiele wiadomo. Wiele owadów przenosi zarodniki grzybów na ciele lub w trzewiach. Zbieraliśmy odchody chrząszczy i obserwowaliśmy, jak wyrastają z nich grzyby rosnące na drewnie. Kiedy drzewo umiera, owady widzą to i czują, mogą do niego przylecieć. Tymczasem zarodniki grzybów są zależne od wiatru – gdzie powieje, tam polecą. A teraz wyobraźmy sobie, że mogą podjechać na kłodę razem z chrząszczem, dzięki czemu znajdą się bezpośrednio na niej i przybędą na imprezę, kiedy jeszcze wiele składników odżywczych jest do wzięcia, zanim pojawią się kolejni chętni. Więc dla grzybów to bardzo sprytny manewr, ale i dla chrząszczy to korzystne posunięcie – grzyb pomaga rozłożyć twardsze części drzewa, dzięki czemu składniki odżywcze stają się łatwiejsze do spożycia. Te wszystkie ukryte interakcje zachodzą pod naszym nosem, a my ich nie widzimy.

To podobna rewelacja jak fakt, że drzewa rozmawiają pod ziemią dzięki sieciom mikoryzowym.

I pokazuje, że las to tak niesamowicie wiele więcej niż drewno. To bardzo bogaty ekosystem z tyloma ekscytującymi procesami, które się w nim dzieją, a my znamy zaledwie ich niewielką część. Wiedza to twarda nauka, ale też przypomnienie dla nas, że jesteśmy częścią czegoś o wiele większego. Może bycie w lesie i zwracanie uwagi na te małe istoty oraz relacje między nimi pomoże nam zrozumieć, że mamy ogromne szczęście, że tu jesteśmy? Za świadomością idzie też odpowiedzialność – wiemy przecież, co tu wyprawiamy, że zabieramy zbyt dużo miejsca i naszymi działaniami dajemy w kość dziesięciu milionom innych gatunków, które tutaj żyją. Sądzę, że powinniśmy zmienić sposób, w jaki myślimy o naturze i wchodzimy z nią w relacje. Oczywiście ze względu na nasze własne dobro – bo zależymy od owadów i przyrody – ale również ze względu na odpowiedzialność za życie.

Spójrzmy w przyszłość. Jakie rozwiązania mogą kryć się w owadach i ich życiu? Czy będziemy doić „mleko" karaluchów i jeść kotlety z szarańczy?

Szarańcza jest kilkunastokrotnie skuteczniejsza od typowych zwierząt hodowlanych w przemianie paszy na białko, a daje produkt taki sam pod względem jego zawartości. To całkiem prawdopodobne, że będziemy jedli burgery z szarańczy. „Dojenie" karaluchów byłoby

z kolei bardzo czasochłonne, ale być może postawimy na syntetyczną produkcję takiego mleka? Niektórzy uważają, że może stać się nowym superpokarmem.

Jednak potencjalne zastosowania owadów dotyczą nie tylko kwestii żywienia – mówiłyśmy już o gatunkach, które potrafią rozkładać plastik. Inne stają się dla nas inspiracją w budowie energooszczędnych budynków. Afrykańskie termity uprawiają grzybowe ogrody w termitierach. Grzyby są jednak wrażliwe i aby mogły się dobrze rozwijać, trzeba im zapewnić temperaturę bliską 30 st. Celsjusza – nie więcej i nie mniej. Termity stworzyły więc genialny system kanałów powietrznych, który wykorzystuje codzienne zmiany temperatury na zewnątrz termitiery, aby wytworzyć wewnątrz ciąg powietrza. Takie „sztuczne płuco" zapewnia zasysanie chłodnego, natlenionego powietrza i usuwanie ciepłego, bogatego w dwutlenek węgla. Architekci skopiowali ten sprytny projekt, budując Eastgate Center, wielkie centrum biurowo-handlowe w Harare w Zimbabwe.

Warto jeszcze wspomnieć, że owady mogą nam pomóc w rozwiązaniu problemu z sektora zdrowotnego – wiemy, że wiele rodzajów bakterii stało się opornych na antybiotyki. Szczególnie interesujące są badania mrówek. Żyją one blisko siebie w dużych społecznościach i są zależne od skutecznej ochrony przed bakteriami i grzybami. Dlatego mrówki mają na ciele dwa specjalne gruczoły, które wytwarzają antybiotyki. Smarują tym siebie i siostry przednimi odnóżami. Badania mrówek mogą więc zaowocować znalezieniem skutecznych środków grzybobójczych i bakteriobójczych. Kilka odkryć już opatentowano, w tym zabijający grzyby antybiotyk z grzybiarek – selvamicin.

BLICKWINKEL / ALAMY / BE&W

Samiec i samica piewika mannika (Cicada orni) w miłosnym uniesieniu.

Pofantazjujmy jeszcze w duchu science fiction. Komary, które pomogą nam latać w kosmos?

Jest taki afrykański komar, nazywa się ochotka i jest zdolny do długotrwałej hibernacji. Jego larwa może wyschnąć niemal zupełnie, stracić 97 proc. wody, i przeżyć. Dla porównania, my umieramy, gdy stracimy więcej niż 14 proc. wody zawartej w naszych ciała. A ochotkę po wysuszeniu można poddawać różnym ekstremalnym zabiegom: zamrozić, ugotować, napromieniować, a kiedy zechcesz ją ożywić – polewasz wodą i za godzinę jest gotowa do życia, karmienia i rozmnażania się, jak gdyby nigdy nic. Studiowanie tego rodzaju mechanizmów może nam pomóc zrozumieć, jak zachować tkanki przy życiu, a w przyszłości być może utoruje drogę dla jakiegoś rodzaju podróży między gwiazdami. Niektóre owady już wiedzą, jak zatrzymać życie i ponownie je włączyć. A jeszcze tyle gatunków zostało nam do przebadania! Opisaliśmy milion gatunków owadów, a szacujemy, że jest ich przeszło pięć razy tyle.

Wszystkich na pewno nie zdążymy zbadać.

To prawda, poznamy je tylko, jeśli utrzymamy bioróżnorodność. Często używam takiej metafory – natura to hamak, w którym spoczywa ludzkość. Sploty jego tkaniny to gatunki na planecie i ich interakcje. A ponieważ owady są tak liczne, stanowią ogromną część tego materiału. Teraz, gdy sprawiamy, że giną, albo zmniejszamy ich populację, gdy wycinamy lasy równikowe, wyciągamy nitki. Oczywiście nadal możemy spokojnie wypoczywać w hamaku z kilkoma dziurami, ale jeśli zrobi się ich zbyt wiele, cały hamak w końcu się rozleci. Natura to wszystko, co mamy, i wszystko, czym jesteśmy. Bez niej nie przetrwamy. Owady są tu od 400 milionów lat i na pewno będą dłużej niż my. Ale swoimi działaniami dajemy im mocno w kość.

Co możemy robić, aby je wesprzeć?

Jeśli masz ogród lub balkon, uprawiaj kwiaty, które dają dużo nektaru, różne gatunki, tak aby rosły od wiosny do jesieni. Unikaj stosowania pestycydów. Postuluj o więcej natury w naszych miastach. I teraz to, co każdy może zrobić za darmo: szerz entuzjazm dla owadów! Mów o dobrych rzeczach, które im zawdzięczamy. Mów dzieciom i ich kolegom. Bez nich nie byłoby czekolady! Bez nich kawa byłaby bardzo droga i większość z nas nie mogłaby sobie na nią pozwolić. Bez nich wiele gatunków owoców i warzyw by nie istniało albo miałoby o wiele gorszy smak. Owady zasługują na pochwałę, na to, byśmy opowiadali o nich piękne historie. © Rozmawiała MARIA HAWRANEK

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

KRAKÓW, wtorek 21 czerwca,
Spotkanie z Karolem Tarnowskim i Jakubem Juzwą,
„Rozmowy o wierze"
/ hybrydowe /

ŁÓDŹ, sobota-niedziela 25-26 czerwca,
15-lecie Klubu „TP", spotkanie z Piotrem Mucharskim, Moniką Białkowską, Zbigniewem Nosowskim, s. Barbarą Radzimińską, Tomaszem Terlikowskim, o. Maciejem Biskupem i Bogumiłą Berdykowską-Szostakowską / stacjonarne /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

NASZ, NASZE, NASZEMU

Minister Piotr Gliński pragnie być „dysponentem prestiżu" i wpływać na hierarchie artystyczne, chociaż rzeczywistość już nieraz brutalnie weryfikowała jego kompetencje.

PIOTR KOSIEWSKI

Ostatnia decyzja o nagłym odwołaniu Jarosława Suchana z funkcji p.o. dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi i powołanie na jego miejsce Andrzeja Biernackiego wywołała sprzeciw wielu środowisk. Bardziej niż uzasadnione są bowiem obawy o przyszłość instytucji, która stała się jednym z najważniejszych muzeów poświęconych sztuce nowoczesnej nie tylko w naszej części Europy. Przypadki instytucji kultury wcześniej obsadzonych przez obóz rządzący – od Teatrów Polskiego we Wrocławiu i Starego w Krakowie, poprzez Instytut Adama Mickiewicza i Filmotekę Narodową, po Muzea II Wojny Światowej w Gdańsku, Śląskie w Katowicach czy Narodowe w Warszawie – pokazują, że następstwem złych decyzji personalnych jest ich marginalizacja, stagnacja i w złym rozumieniu prowincjonalizacja, ale czasami też instytucjonalna zapaść.

W maju tego roku Muzeum Narodowe w Warszawie rozpoczęło obchody 160-lecia. Przed kilkoma dniami ogłoszono też wyniki konkursu na budowę nowego skrzydła – wygrała wrocławska pracownia P2PA. Muzeum, o co zabiegali kolejni jego dyrektorzy, zyska dodatkową przestrzeń. W najbliższych latach ma także powiększyć się o część budynku od lat zajmowaną przez Muzeum Wojska Polskiego. Wreszcie jest szansa, by mogło w pełni pokazywać swoje zbiory, a przede wszystkim pełnić funkcję, do której zostało powołane.

Jednocześnie warszawskie Muzeum Narodowe jest najlepszym przykładem, jak trudno przywrócić dobre funkcjonowanie instytucji, którą nominat ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego w bardzo krótkim czasie doprowadził na skraj przepaści.

Tonące Muzeum

Agnieszka Morawińska została dyrektorem Muzeum Narodowego w 2010 r. W ciągu ośmiu lat zdołała dokonać radykalnej zmiany: nie tylko odnowiła gmach główny, ale zasadniczo zmieniła galerie stałe i zorganizowała szereg istotnych wystaw czasowych. Można powiedzieć: wprowadziła Muzeum Narodowe w XXI wiek. Jednak w 2018 r. nagle złożyła rezygnację. Jej decyzja została odebrana jako protest przeciwko polityce Piotra Glińskiego.

Po kilku miesiącach minister mianował nowym dyrektorem Jerzego Miziołka, profesora na Uniwersytecie Warszawskim, autora prac dotyczących recepcji antyku w czasach nowożytnych. Został wybrany bez konkursu, do czego minister ma prawo, spełniał formalne wymagania, a w chwili mianowania miał 65 lat – tyle że jego doświadczenie było bardziej niż skromne. Wcześniej kierował jedynie Muzeum Uniwersytetu Warszawskiego, w którym pracuje kilka osób, nie zorganizował też ani jednej liczącej się wystawy.

Jednocześnie w zaakceptowanej przez Glińskiego koncepcji działania muzeum Miziołek przedstawił iście imperialne plany, w tym pokazy – z okazji rocznic – Rafaela, Pietera Bruegla st. i Rembrandta. Ostatecznie udało się zorganizować pokaz Leonarda da Vinci, ale nie jego prac, tylko – rzecz niebywała w instytucjach tej rangi – reprodukcji. W dodatku nowy dyrektor zrezygnował z wystaw planowanych przez jego poprzedników i całkowicie zniszczył wystawienniczy kalendarz muzeum.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Piotr Gliński, minister kultury i dziedzictwa narodowego (z prawej), i Andrzej Szczerski, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, na wystawie „Przedmioty. Galeria Designu Polskiego XX i XXI wieku" w Kamienicy Szołayskich, Kraków, 18 grudnia 2021 r.

Zlikwidował też Galerię Sztuki XX i XXI wieku, która była jedyną dostępną w stolicy wystawą twórczości tego czasu. Do tego przemyślaną, nowatorską i przygotowaną z dużym wysiłkiem, także finansowym. Wcześniej usunął z niej prace, które, jak obwieścił, mogą „irytować wrażliwą młodzież", przy okazji ośmieszając muzeum. Jednak najpoważniejsze w skutkach było zwolnienie czy odejście z muzeum znaczącej grupy pracowników (ok. 50 osób), w tym takich, którzy byli jego merytoryczną podporą, jak Piotr Rypson czy dr hab. Antoni Ziemba.

Protesty, w tym Solidarności, która wcześniej popierała powołanie Miziołka, sprawiły, że po zaledwie roku go odwołano. Stał się też jednym z symboli PiS-owskiego nieudacznictwa. Na pełniącego obowiązki dyrektora został mianowany specjalista w zakresie zarządzania dziedzictwem kulturowym, dr hab. Łukasz Gaweł – posiadający muzealne doświadczenie (wcześniej był zastępcą dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie ds. Strategii, Rozwoju i Komunikacji), chociaż trudno sobie wyobrazić, by było ono wystarczające na objęcie podobnego stanowiska w ważnych europejskich muzeach (po roku został mianowany dyrektorem).

Ogromną zasługą Gawła było ustabilizowanie sytuacji w muzeum – jak sam ujawnił, musiał m.in. „wyprostować" pewne decyzje poprzednika, jak organizacja z okazji roku papieskiego pokazu kopii fresków z Kaplicy Sykstyńskiej. Doprowadził do otwarcia nowej galerii sztuki antycznej, nad którą prace wstrzymał Miziołek. Znacznie trudniejsze okazało się przywrócenie programu wystawienniczego. Owszem, udało się zorganizować kilka wystaw, w tym warszawską wersję przygotowanej dla Louvre-Lens obszernej ekspozycji „Polska. Siła obrazu". Jednak jedynym istotnym wydarzeniem okazała się ubiegłoroczna, wybitna retrospektywa Anny Bilińskiej-Bohdanowicz. ↦

↦ Nawet biorąc pod uwagę pandemię, dorobek ostatnich lat stołecznego Muzeum Narodowego – w porównaniu z MN w Krakowie czy Zamkiem Królewskim w Warszawie – wygląda bardziej niż skromnie. Trzeba jednak pamiętać, że czas niezbędny na przygotowanie poważnej wystawy to 2-3 lata. Być może ten bilans poprawi zaplanowana na początek września wielka wystawa prac Witkacego. Do tej pory nie udało się także stworzyć na nowo Galerii Sztuki XX wieku. Owszem, powołano nawet zespół wybitnych kuratorek zewnętrznych, który miał pomóc w wypracowaniu jej koncepcji, jednak końca prac nie widać. Tylko przykład tej jednej galerii pokazuje, jak trudno odbudować zespół muzealny, odzyskać prestiż i zaufanie do samego muzeum.

Reputacji muzeum nie poprawiło ustawienie na dziedzińcu muzeum w 2020 r., w stulecie urodzin Jana Pawła II, pracy Jerzego Kaliny „Zatrute źródło", która sprowokowała przede wszystkim do żartów i humorystycznych przeróbek. Zamiast uczczenia, udało się skutecznie ośmieszyć papieża. W dodatku dzieło o homofobicznym – jak przyznał sam autor – charakterze zostało potem nabyte do zbiorów muzeum, powiększając znacząco zasób jego curiosów.

Niebezpieczny Dante

A przed kilkoma miesiącami okazało się, że nie dojdzie do przygotowywanej od lat wystawy „Dante", zakrojonej niezwykle ambitnie, z wybitnymi dziełami Fra Angelico, Memlinga, Caravaggia, Rodina czy Warhola oraz z pracami kluczowych współczesnych twórców, m.in. Anselma Kiefera. Byłoby to bezsprzecznie największe wydarzenie muzealne w Polsce od wielu lat. Samo zaś muzeum, jak podkreślała prof. Maria Poprzęcka w „Dwutygodniku", straciło „okazję do przebudzenia, nabrania nowego ducha, wyjścia z marazmu, w jakim od kilku lat instytucja się pogrąża".

Jako powód wycofania się dyrektor Gaweł podał koszty ekspozycji. Jednak, jak poinformował Jarosław Mikołajewski, jeden z dwójki kuratorów, rzeczywistym powodem był pomysł pokazania łodzi uchodźców, która miała zostać przywieziona z Lampedusy.

Gaweł po powołaniu na stanowisko p.o. dyrektora zapowiadał zorganizowanie wielkiej jubileuszowej wystawy poświęconej roli Muzeum Narodowego. Tymczasem na 160-lecie otwarto dwie niewielkie wystawy. Pierwsza to „Stan rzeczy", poświęcony zwykłym codziennym przedmiotom, które od starożytności towarzyszyły ludziom, a dziś są często zapomniane – to ekspozycja starannie, wręcz błyskotliwie przygotowana przez Grażynę Bastek, wybitną historyczkę sztuki i kuratorkę, od lat z muzeum związaną. Druga prezentuje niedawny zakup do zbiorów Muzeum Narodowego – zespół prac Marca Chagalla.

Ogłoszono ten zakup z wielką pompą. Nie bardzo wiadomo jednak, po co go w ogóle dokonano (może poza magią wielkiego nazwiska). Są to bowiem prace na papierze, których ze względów konserwatorskich nie można zbyt długo eksponować, ale przede wszystkim te późne dzieła Chagalla o pewnych dekoracyjnych walorach (stworzył ich wiele) nie korespondują ze zbiorami muzeum i nie wypełnią żadnego z licznych braków.

Agnieszka Morawińska w pierwszej rozmowie z Piotrem Glińskim po objęciu przez niego urzędu ministra mówiła o kłopotach muzeum. W odpowiedzi usłyszała „w pierwszej kolejności musimy zadbać o te nasze muzea". Wypowiedź ta dobrze charakteryzuje sposób myślenia obecnego ministra o kulturze: nie jest ona dobrem wspólnym Polek i Polaków, lecz dzieli się na „naszą" i „nie-naszą". A przede wszystkim dobrze opisuje prowadzoną przez obecny rząd politykę kulturalną: wspieranie jednych i pomijanie innych instytucji czy twórców oraz same nominacje. W tej optyce Muzeum Narodowe w Warszawie teraz pewnie jest dla władzy „nasze".

I tak tworzy się klientystyczny model relacji pomiędzy rządzącymi a instytucjami i ludźmi kultury. Jest on chorobliwy i skłania do autocenzury. Do, jak to ostro określił Jarosław Mikołajewski na łamach „Gazety Wyborczej", wyrobienia w sobie lękowo-pochlebczego mechanizmu, który „każe wielu funkcjonariuszom i urzędnikom tej władzy pozbywać się domyślnych kłopotów przez wyrzekanie się działań, co do których istnieje ryzyko bycia – bez przeproszenia – opierdolonym lub choćby skazanym na widok uniesionych brwi". Co gorsza, tak zdefiniowane relacje z władzą są szkodliwsze niż kolejne nietrafione decyzje personalne. I mogą pozostać długo po tym, jak Piotr Gliński przestanie już pełnić swoją funkcję.

Zdobycie Łodzi

W ostatnich miesiącach zmiany przyspieszyły także w instytucjach zajmujących się sztuką współczesną. Wcześniej już Piotr Bernatowicz, krytyk i historyk sztuki o zdecydowanie prawicowych poglądach, zastąpił Małgorzatę Ludwisiak w Centrum Sztuki Współczesnej – Zamku Ujazdowskim. W styczniu tego roku na stanowisko dyrektora Zachęty powołano Janusza Janowskiego, malarza i dotychczasowego prezesa Związku Polskich Artystów Plastyków, osobę o znikomym doświadczeniu kuratorskim i zarządczym. Wcześniej podjęto decyzję o niepowołaniu na kolejną kadencję Jarosława Suchana, dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi; został jedynie pełniącym obowiązki. Kontrakt podpisano na rok – po czym z dnia na dzień Suchana odwołano, a na jego miejsce, także jako p.o., ministerstwo powołało Andrzeja Biernackiego, malarza, który od 1991 r. prowadził w Łowiczu prywatną Galerię Browarna.

Ta i wcześniejsze decyzje świadczą o tym, że ani Piotr Gliński, ani kierowane przez niego ministerstwo nawet przez chwilę nie pomyślało o wyciągnięciu wniosków z przypadku Muzeum Narodowego pod rządami Jerzego Miziołka. Tymczasem podobieństwa z Zachętą, a zwłaszcza z Muzeum Sztuki, wręcz się narzucają.

Ministerialny nominat obejmuje bardzo dobrze działającą instytucję. Jarosławowi Suchanowi udało się nie tylko odbudować – po latach zapaści – pozycję Muzeum Sztuki (nie chodzi jedynie o remont siedzib i zagospodarowanie nowych przestrzeni), lecz sprawić, że odzyskało ono swoją świetność z czasów Ryszarda Stanisławskiego, a także stało się poważnym punktem odniesienia dla wielu podobnych placówek w Polsce i na świecie. Dotyczy to nie tylko działalności programowej – wystaw, publikacji, ale też zarządzania oraz edukacji (uznawanej za jedną z najlepszych w kraju).

Co więcej, udało się zbudować – wyjątkową w przypadku polskich instytucji – współpracę z najważniejszymi światowymi muzeami, m.in. paryskim Centre Pompidou, madryckim Centro de Arte Reina Sofía, londyńskim Tate czy nowojorskim Museum of Modern Art. Pozwoliło to nie tylko na prezentacje dzieł artystów, które przez lata były niedostępne dla polskiej publiczności, ale też na pro-

mowanie naszej sztuki na świecie, czego przykładem jest m.in. prezentowana w Paryżu wystawa „Une avant-garde polonaise: Kobro et Strzemiński".

Biernacki w wywiadzie niedawno udzielonym „Gazecie Wyborczej" przestrzegał przed zestawianiem 16-letniego doświadczenia jednej osoby z 16-dniowym doświadczeniem drugiej. To zasadna uwaga. Suchan, obejmując w 2006 r. po wygranym konkursie funkcję dyrektora Muzeum Sztuki, miał 30 lat, wcześniej zaś kierował już krakowskim Bunkrem Sztuki i był wicedyrektorem Zamku Ujazdowskiego. Biernacki ma 64 lata i do tej pory kierował jedynie własną małą galerią. Zorganizował wiele wartościowych wystaw i wydał kilka ciekawych katalogów, ale w większości miały one jedynie lokalne znaczenie. Nie są to wystarczające kompetencje do kierowania rozbudowaną, skomplikowaną instytucją prowadzącą program międzynarodowy.

Co więcej, Kodeks Etyki ICOM dla Muzeów podkreśla, że pracownicy muzeum nie powinni „konkurować z ich instytucją, ani w zakresie pozyskiwania przedmiotów, ani jakąkolwiek osobistą działalnością kolekcjonerską" – a Biernacki ma własną kolekcję, prezentowaną także publicznie. Nie ma za to nie tylko doświadczenia pracy w muzeum i znajomości jej specyfiki, ale, o czym świadczą jego wypowiedzi już po mianowaniu, wiedzy o współpracy międzynarodowej. Zapowiedział już, że będzie ona prowadzona na... jego zasadach (cokolwiek miałoby to znaczyć).

Jego wypowiedzi na temat przyszłości Muzeum, jak zapowiedź zaniechania zakupów dzieł artystów zagranicznych, pokazują również brak podstawowej wiedzy na temat historii instytucji, którą ma zarządzać. Łódzkie Muzeum od początku istnienia nie ograniczało się do budowania zbiorów sztuki polskiej, a programowo wchodziło w dialog z najważniejszymi ośrodkami artystycznymi nie tylko w Europie. Nowy dyrektor podważył nawet jego rolę naukową, chociaż jest ono jednym z najważniejszych ośrodków badań nad awangardą.

Suwerenne myślenie?

Andrzej Biernacki jest również malarzem, co nie ma kompletnie znaczenia dla kierowania muzeum. Natomiast, na co zwraca się mniejszą uwagę w dyskusjach nad objęciem przez niego tej funkcji, od lat prowadzi działalność krytyczną, często pełną resentymentów, poczucia wykluczenia, nie stroniąc od insynuacji, a wręcz pomówień, a nawet zwykłego hejtu. Pod tym względem na pewno będzie istotnym *novum* w polskim muzealnictwie.

Tworzy się klientystyczny model relacji pomiędzy rządzącymi a instytucjami i ludźmi kultury. Może pozostać długo po tym, jak Piotr Gliński przestanie już pełnić swoją funkcję.

Mianowanie Biernackiego wywołało protesty. Niemal natychmiast rezygnację zgłosiło dziewięciu z piętnastu członków i członkiń Rady Muzeum, w tym jej przewodnicząca prof. Maria Poprzęcka. Przeciwko nominacji wystąpiły środowiska związane ze sztuką i muzeami, w tym ICOM Polska, a także aktywiści i łódzcy politycy. W sprawie odwołania Suchana listy do ministra Glińskiego wysłały kluczowe postaci świata muzealnego. Glenn D. Lowry, dyrektor nowojorskiego Museum of Modern Art, podkreślał, że Jarosław Suchan „zrobił tak wiele, aby nadać nowoczesnej i współczesnej polskiej sztuce międzynarodowe uznanie, na które zasługuje".

24 maja francuski dziennik „Libération" opublikował list, pod którym podpisało się blisko 150 przedstawicieli i przedstawicielek najważniejszych na świecie instytucji zajmujących się gromadzeniem i promocją sztuki nowoczesnej. Jego sygnatariusze przestrzegali: „rząd Polski robi swojemu narodowi to, co Putin robi Rosji: miażdży żywotność jej sztuki i historii sztuki, powraca do najciemniejszych momentów przeszłości, dramatycznie zawęża możliwość nawiązania owocnego dialogu ze światem współczesnym w imię wyimaginowanej chwały narodowej".

W tych wszystkich listach i apelach pojawia się postulat zorganizowania międzynarodowego, transparentnego konkursu na nowego dyrektora. Problemem nie jest bowiem to, że w Muzeum Sztuki nastąpi zmiana, ale to, w jaki sposób i według jakich kryteriów zostanie wybrany nowy dyrektor. Czy ten apel zostanie wysłuchany? Piotr Gliński od dawna pomija ten sposób wyłaniania dyrektorów, samodzielnie podejmując decyzje o nominacjach w podległych sobie instytucjach – natomiast domaga się konkursów w przypadku instytucji podlegających samorządom, które nie są związane z PiS-em.

W ogłoszonym właśnie raporcie ICOM „Museum Watch Governance Management Project" dotyczącym Europy Środkowej podkreślono: „Wykwalifikowani dyrektorzy są zwalniani z dnia na dzień bez jasno przedstawionych powodów. Stanowiska pozostają nieobsadzone. Nowe nominacje są przedstawiane jako bezsporne; procedury są omijane; kryteria wyboru zanikają. Zdaje się, że czasy, w których profesjonalizacja była wartością pożądaną i skuteczną, już minęły". Ten opis dobrze oddaje sytuację w naszym kraju.

Zresztą, co przyznał Piotr Gliński, za nominacją Andrzeja Biernackiego stały przede wszystkim jego poglądy. W rozmowie z PAP minister mówił o nowym dyrektorze, że przez lata w swojej działalności krytycznej „odwoływał się do suwerennego myślenia o sztuce. Właśnie do wolności artystycznej, a nie do uzależnienia się od różnych środowisk czy nacisków instytucji światowych, gdzie te nowinki ideologiczne, głównie liberalno-lewicowe, były preferowane, wręcz forsowane, a niekiedy – za pomocą poprawności politycznej – wymuszane".

Minister Gliński od lat pragnie być „dysponentem prestiżu" i wpływać na hierarchie artystyczne, chociaż rzeczywistość już nieraz brutalnie weryfikowała te przekonania. To zaś, co promuje ministerstwo pod jego rządami, okazuje się kompletnie nieistotne lub po prostu miałkie. Uczynienie łódzkiego Muzeum Sztuki „naszym" nie zmieni nic w hierarchiach ważności i doniosłości w polskiej i nie tylko kulturze. Natomiast błędna decyzja personalna może sprawić, że wszyscy – artyści, ale przede wszystkim odbiorcy – stracą kolejną dobrze funkcjonującą instytucję i miejsce, które miało ogólnopolskie, ale też międzynarodowe znaczenie. Państwo zaś straci narzędzie do realizacji dyplomacji kulturalnej.

© PIOTR KOSIEWSKI

Na rogu Sex Pistols i Bożego Ciała

DARIUSZ KOSIŃSKI

Krakowski Teatr Nowy Proxima właśnie zabrał się za największego bohatera dzisiejszych czasów. Po Korze czas na Zełenskiego – i to też w ramach szalonego piąteczku.

Teatr Nowy nie jest już taki nowy, bo działa w Krakowie od szesnastu lat, zawsze na obrzeżach Kazimierza – od roku 2016 na rogu Krakowskiej i Skawińskiej. Po kilkunastu latach przekształcił się w wielką instytucję i dom produkcyjny, wydaje się całkiem dobrze osadzony w miejscu i formule, którą wypracował, a która – choć ma przecież różne analogie w innych miastach Polski – stanowi swoiście krakowski model sceny alternatywnej.

Kazimierski piątek

W Krakowie nazwa „Teatr Nowy" brzmi jak wyzwanie rzucone Staremu. Drugi przyciśnięty przywilejem i prestiżem sceny narodowej (oferta *all inclusive* w pakiecie z czujną kontrolą ministerstwa) – pierwszy biedniejszy, pozbawiony przywilejów, może z lekkością i niefrasobliwością walić na odlew i szargać świętości, niczego nie konsultując nawet z najwybitniejszymi uczennicami profesora Raszewskiego. Drugi niesie bagaż swojej tradycji i historii, nieustannie oglądając się, czy duchy świętej Trójcy Konrada, Jerzego i Andrzeja nie poczuły się aby urażone – pierwszy jest z rozmysłem antytradycyjny i standardowo wręcz wywołuje duchy, ale po to, by z nich i z nimi się śmiać. Drugi należy do centralnych miejsc „prawdziwego Krakowa" z całą jego nieoczywistą elitarnością, podczas gdy pierwszy jest częścią imprezowego i zgentryfikowanego Kazimierza – tej przedziwnej dzielnicy, gdzie pamięć o wymordowanych miesza się z brzękiem szkła weekendowych imprez.

Proxima to scena świetnie współbrzmiąca z współczesnym krakowskim Kazimierzem

MARCIN OLIVA SOTO / MATERIAŁY PRASOWE X2

Katarzyna Chlebny w spektaklu „Kora. Boska", Teatr Nowy Proxima, Kraków, listopad 2021 r.

Michał Felek Felczak jako ZE w spektaklu „NaXuj. Rzecz o Prezydencie Zelenskim", Teatr Nowy Proxima, Kraków, maj 2022 r.

i życiem jego bywalców. Żart, ironia i głębsze znaczenie, ale podkręcone przez bezczelność stand-upu, spaczone świadomie użytym kiczem i utytłane niemiłosiernie w sosach popkultury. Wszystko zaś robione nie po to, by epatować burżuja, ale by wspólnie rozkręcać jazdę po bandzie, ku rozbawieniu i rozbrojeniu współczesnego nowomieszczaństwa.

Spotkanie z tą nowomieszczańską widownią było jednym z najsilniejszych doświadczeń moich wizyt w Nowym Proximie. Uderzyło mnie, jak inna to publiczność od tej, która wypełnia foyer i widownie bardziej szacownych instytucji teatralnych. O wiele swobodniejsza w zachowaniach, które w „poważnych teatrach" też się pojawiają, ale tam traktowane są jako niestosowne – tu śmiało strzela sobie selfiki i kolejne foty na Insta, rozmawia zbyt głośno o odkrytej właśnie nowej restauracji vege i pozuje nie na elegancję, elitę i ekskluzywność, ale na śmiałe korzystanie z życia. Ta publiczność wydaje się mieć niezmąconą pewność, że świat powinien się bardzo cieszyć jej obecnością i na wyprzódki dążyć do tego, by zaspokoić jej oczekiwania.

Najważniejsze osoby decydujące o kształcie i programie Nowego: jego założyciel, dyrektor, reżyser i aktor Piotr Sieklucki, dyrektor programowy Tomasz Kireńczuk i dyrektor artystyczny, scenograf Łukasz Błażejewski to wszystko zawodowcy, po kierunkowych studiach, dziś już dysponujący sporym dorobkiem i doświadczeniem. Nie sposób widzieć w nich grupę debiutantów walczących o swoje miejsce – zdają się dobrze znać swoich widzów. Ich zachowania i reakcje tworzą bezpośrednio doświadczaną, uderzającą całość. I właśnie z tą całością Nowy Proxima pracuje, wykorzystując konwencje, chwyty i kody kulturowe, które natychmiast jego publiczność rozpoznaje.

Boska szydera

Najbardziej modelowym i zarazem najgłośniejszym spośród ostatnich spektakli Nowego Proximy jest „Kora. Boska". Autorskie przedstawienie Katarzyny Chlebny (scenariusz, reżyseria i tytułowa rola), które miało premierę w listopadzie 2021 r., zdołało już sporo namieszać. Portal PCH24 uznał je za „ohydną prowokację z udziałem drag queen, która w jednym ze spektaklów odgrywa rolę Matki Bożej" (zapis dosłowny) i rozpoczął akcję zbierania podpisów pod protestem domagającym się wstrzymania finansowania teatru.

Pomysł na „Korę. Boską" jest prosty. Znana wokalistka umarła i trafia na kobiecy pośmiertny sąd, na którym trzy reprezentacje Maryi: Częstochowska (Piotr Sieklucki), Fatimska (Paweł Rupała) i z Guadalupe (Łukasz Błażejewski), będące zarazem alegoriami trzech cnót – Wiary, Nadziei i Miłości, mają ocenić jej życie i zdecydować, gdzie ostatecznie trafi. W roli każdej z figur Madonny występują aktorzy scenicznie identyfikujący się jako homoseksualni mężczyźni, wśród których rzeczywiście jest znana drag queen (Rupała).

Trudno jednak uznać, że ktokolwiek tu „odgrywa rolę Matki Bożej", bo całe przedstawienie oparte jest na wyrazistym i jednoznacznym igraniu ze skarykaturowanymi reprezentacjami kulturowymi. Dotyczy to tak „Maryjek", jak i Kory, wobec których zastosowano strategie natychmiast rozpoznawane przez każdego, kto ma jakiekolwiek doświadczenie ze stand-upem czy choćby internetowymi memami, nie mówiąc już o cieszących się masową popularnością książkach z cyklu „Świat Dysku" czy animowanym serialem „Robot Chicken".

Publiczność Nowego ma tego typu doświadczenia we krwi. Ironia, szyderstwo, szarganie świętości, postpunkowo anarchistyczny śmiech z tego, czego (nie)śmiertelnej powagi z oddaniem strzegą różni „strażnicy wiary" – to dla niej chleb powszedni. Trudno tu mówić o bluźnierstwie czy świętokradztwie, bo te wymagają poważnego traktowania treści i wartości, które są atakowane. Tymczasem Nowy i jego widzowie zostawiają to poważne traktowanie w szatni, by zupełnie niezależnie od swojej wiary śmiać się nie z postaci, które być może i dla wielu z nich są serio boskie, ale z nadużywanych do bólu ikon, będących kreacjami nie religijnymi, ale kulturowymi i politycznymi. Jest to w przedstawieniu pokazane wyraźnie właśnie w tym, że Madonny grają aktorzy odwołujący się do stereotypowych wyobrażeń o gejach, którzy na początku sami autoironicznie tę sytuację przedstawiają i ośmieszają.

Wyjściowy pomysł od początku wyznacza dalszy przebieg działań: trzy figury będą kolejno odpytywały Korę z jej życia w porządku trzech cnót, by na końcu zdecydować o jej przyszłości. Wiadomo też, że ważną częścią „zeznań" tytułowej bohaterki będą jej piosenki śpiewane przez Katarzynę Chlebny w sposób względnie bliski oryginałowi, co dla publiczności stanowi atrakcję samą w sobie. Mamy więc typowo kabaretowy układ: skecz – piosenka – skecz. Z jednej strony melodramatyczny (i dość ckliwy) wątek Kory – sieroty szukającej matki, z drugiej – frontalny atak nie na Matkę Bożą, ale na polityczne scenariusze wpisywane w Jej figury. Siła autentycznej religijności maryjnej jest przecież używana do stworzenia i podtrzymania określonego regulaminu dyscypliny politycznej.

We wściekłym monologu Sieklucki, w imieniu Częstochowskiej, gwałtownie protestuje przeciwko przymusowi spełniania roli Królowej Polski, wywołując na widowni nieokiełznany, karnawałowo wyzwalający śmiech. Znakomicie przewrotne jest także queerowe Boże Narodzenie, w którym wyobrażenia kulturowe zderzają się ze sobą z szybkością hadronów. Ale wśród zaskakujących odejść od spodziewanego scenariusza jest też dramatyczna sekwencja taneczna, poświęcona ofiarom pedofilii, w której taniec Łukasza Błażejewskiego zatrzymuje szaloną karuzelę scenicznych zdarzeń.

Całość – znów zgodnie z konwencją – kończy się przywracającym podstawowy ład napomnieniem, które – jak można się było spodziewać – potwierdza, że „najwyższa spośród nich jest miłość". Chlebny śpiewa oczekiwane od początku „Kocham cię, kochanie moje". Widownia się buja, Madonny też, a Kora w końcu dostępuje wniebowzięcia – w teatrze, którego przecież nie opuszczamy ani na chwilę. Oczywiście jest owacja na stojąco i bisy, po czym w pełni zadowolona publiczność schodzi po spiralnych schodach, niesiona przekonaniem, że dostała dokładnie to, czego oczekiwała – teatr, który ją rozumie, ale też jej nie pochlebia i daje do myślenia.

Taniec na minach

Rozpoznawszy generalną strategię obecnego Nowego, a zarazem znając sposób pisania Ziemowita Szczerka, można było przewidzieć, jak będzie wyglądała najnowsza produkcja tego teatru – „NaXuj. Rzecz o prezydencie Zełenskim". Wiele wskazuje na to, że przedstawienie powstawało jak najszybciej się tylko dało, by możliwe było posługiwanie się hasłami ↦

↦ typu „pierwszy spektakl o prezydencie Zełenskim w Polsce, a może i na świecie”.

Że prezydent Ukrainy doczeka się wielu wersji swojej niezwykłej biografii – to oczywiste. Bogaty materiał daje ogromne możliwości zarówno twórcom wersji rozrywkowo-musicalowych (coś w stylu „Evity”), jak i rozmaitym pogłębianym eksploracjom kolejnych warstw postaci byłego komika, który stał się bohaterem ponadnarodowym. Nowy Proxima nawet nie stara się tych wszystkich możliwości zarysować, ale w zgodzie z przyjętą praktyką przystępuje do działania przez frontalny atak.

Już sam pomysł robienia szyderczo groteskowego przedstawienia o trwającej wojnie, w której giną i cierpią ludzie, to rzecz piekielnie ryzykowna. Tekst Szczerka i przedstawienie Siekluckiego są wprawdzie jednoznacznie adresowane do Polaków, ale siedząc na widowni nie mogłem opędzić się od pytania, jak czułbym się, gdybym był chroniącą się w Polsce Ukrainką, której mąż walczy na froncie. Nie mnie rozstrzygać, bo może właśnie śmiech z tego, co na co dzień traktuje się z najwyższą powagą, jest teraz potrzebny. Mówię tylko, że samo to pytanie nakazuje ostrożność, która wielu powstrzymuje przed podejmowaniem tematu wojny w sposób inny, niż zwykli to czynić pełni humanitarnego przejęcia uczestnicy „koncertów na rzecz” i obłoglamurowatej estetyki współczesnych serwisów medialnych.

Począwszy od kolejnej porcji świadomie nadużywanych bluzgów, przez tandetę i śmietnikowość scenografii, po sporą dawkę niekoniecznie zaplanowanego chaosu – wszystko tu jest zaprzeczeniem blasku gal i gładzi newsroomów. W zestawieniu z ich eleganckim chromem ten spektakl jest jak chamska nieheblowana deska, którą na dodatek okłada się siebie i widzów po głowie. Jeśli na wejściu się tego nie zaakceptuje, jeśli poczucie smaku, stosowności i poziom oczekiwań co do „podstawowych rzemieślniczych wymagań” nie pozwolą na przyjęcie tego spektaklu, jakim jest, to obawiam się, że nic nie pomoże.

Widziałem pierwsze publiczne przedstawienie i jestem pewien, że wiele jego wad, potknięć, niedoróbek wynikało z niedopracowania i braku rozegrania wykonawców, którzy nie byli jeszcze w stanie wydobyć energii tam, gdzie wszystko na niej zawisło. To się pewnie z czasem zazębi, ale na pewno się nie wygładzi. Nieheblowana deska zostanie nieheblowaną deską. I całe szczęście, że nikt nie udaje, że jest blatem, po którym można gładko posuwać kolejne wstrząśnięte a niezmieszane obrazy cierpienia.

Jest owacja na stojąco i bisy, po czym publiczność schodzi po schodach przekonanana, że dostała dokładnie to, czego oczekiwała **– teatr, który ją rozumie, ale też jej nie pochlebia i daje do myślenia.**

Szczerek wykorzystał dobrze znany w nowszej dramaturgii (*vide* Paweł Demirski) koncept sabatu symbolicznych zjaw, które zlatują się na scenę, by w dialogach i kolejnych słabo ze sobą powiązanych akcjach dawać głównemu bohaterowi okazję do ukazania zarówno siebie – człowieka o konkretnej biografii, jak i siebie – ośrodek splątanej sieci konfliktów, także historycznych. Prezydenta ZE (Paweł Felek Felczak) w jego znanym z telewizji gabinecie nawiedza najpierw Upiór Kijowa (Katarzyna Krzanowska), który zarzuca ZE, że zadziwiająco późno odkrył swoją ukraińską tożsamość. Ten wątek zdaje się zapowiadać przedstawienie o biografii Zełenskiego, ale szybko zostaje porzucony, bo w nie-miejscu teatralnej sceny pojawiają się kolejno Putin (Sławomir Sulej), Rasputin (Karol Śmiałek w makijażu clowna z „To”), a także Bohun (Jacek Stefanik). Oni z kolei wprowadzają temat Rosji i jej „ducha”, którym jest oczywiście wieczny i niezniszczalny RasPutin.

Cały ten wątek kończy scena jego rozmowy telefonicznej z Matuszką Rosiją, wzorowana na pokazywanych przez ukraińską telewizję rozmowach rosyjskich jeńców ze swoimi mamami. Święta Rosja ukazuje się na ekranie jako starsza pani (jej nazwiska niestety nie wymieniono w obsadzie), przepraszająca za „gówniarzy”, którzy w jej imię, a wbrew jej woli gnębią i mordują innych (moment bardzo ryzykowny, ale paradoksalnie ocalony i wzmocniony przez pewną naiwną amatorskość wykonania).

Jakby tego wszystkiego było mało, na scenie pojawia się też „Polski wzruszony działacz kultury Hołdzimierz Władysłap Praszto” (Piotr Sieklucki), który wprowadza tematy rodzime – ambiwalencję pomocy, za którą tak bardzo chcemy być chwaleni, wcale nie prosty stosunek do Ukraińców, a w końcu całą serię chwilowo wyciszonych pretensji i oskarżeń. Niekłamana *vis comica* Siekluckiego i świetne wyczucie konwencji sprawiają, że jego pojawienie się nadaje szwungu przedstawieniu, które wcześniej co chwila buksowało w miejscu. Także z tego powodu temat „polski” zaczyna dominować nad rosyjskim, który chyba miał być głównym, a z pewnością jest jedynym zawiązującym przynajmniej pozór wątku fabularnego.

Nagromadzenie tematów przy braku wyrazistej nici łączącej to kolejna mina, na której przedstawienie wylatuje w powietrze, stając się serią słabo ze sobą powiązanych wariacji na temat okoliczności wojny w Ukrainie. Łatwo z tego uczynić zarzut wręcz negujący sens i wartość spektaklu. Należę jednak do tych, którzy uważają, że lepiej się pomylić i powiedzieć jakieś głupoty, niż milczeć (jeśli milczenie jest złotem, to ukrytym od dawna w szwajcarskim banku i nikomu do niczego niesłużącym). Od warsztatowej sprawności zdecydowanie ważniejsza jest emocjonalnie uczciwa, choć może nieracjonalna potrzeba, by wpaść na pole minowe i doprowadzić do serii eksplozji rozwalających zbyt gładką i łatwo łykalną fasadę medialną.

Gdy już wszystkie fasady eksplodują, a scena zamieni się w pobojowisko i śmietnik, wchodzi na nią młody ukraiński tancerz i na tle zdjęć ukazujących ruiny miast wykonuje choreografię, która samą siłą jego skierowanej w przyszłość energii rzuca tym ruinom wyzwanie. Jest w jego tańcu jakaś realność wyższej rangi, która na tym śmietniku naszych wojen chwyta za gardło.

Po wyjściu z teatru, czekając na tramwaj, obserwuję, jak niedawni widzowie „NaXuj” przekraczają siekaną deszczem ulicę i idą w stronę Kazimierza. Zapewne wielu ma przed sobą jeszcze długi piątkowy wieczór. Nie sądzę, by ktokolwiek w Nowym chciał im go zepsuć czy przerwać, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby przy piwie jeszcze długo rozmawiali o tym, co właśnie widzieli.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

RICHARD CREAMER / MICHAEL OCHS ARCHIVES / GETTY IMAGES

David Bowie jako Ziggy Stardust, Los Angeles, 1973 r.

Ja, rekwizyt

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Zanim przyszła nuda, David Bowie poczuł ekscytację pewną ideą. Jak to zwykle u niego, ideą wyrafinowaną ponad możliwości intelektualne sporej części jego fanów.

Pół wieku temu, 16 czerwca 1972 r., David Bowie wydał album „The Rise and Fall of Ziggy Stardust and the Spiders from Mars". Płyta i towarzysząca jej trasa promocyjna stanowią do dziś szczyty zjawiska teatralizacji rocka, przy których koncertujący niedawno w Polsce zespół Kiss to naiwne przedszkole.

„Ze wszystkich koncertów obecnej trasy ten pozostanie z nami najdłużej, bo to nie tylko ostatni koncert trasy, ale w ogóle ostatni, jaki kiedykolwiek zagramy" – oświadczył Bowie publiczności 3 lipca 1973 r. w londyńskiej sali Hammersmith Odeon podczas finałowego występu Ziggy Stardust Tour. Tym samym pożegnał się z odgrywaną przez ostatnie kilkanaście miesięcy postacią i przy okazji poinformował swój niczego nieświadomy zespół, że kończy z nim współpracę. Jak po latach wyjaśniał, poczuł się zmęczony wcielaniem się w rolę Ziggy'ego Stardusta, muzyka-kosmity, który miał przynieść ludzkości nadzieję w obliczu nadchodzącego kataklizmu.

Cel poza muzyką

„Występy sceniczne nie są moją ulubioną formą ekspresji – powiedział w wywiadzie udzielonym w 2002 r., szczerze zaskakując rozmówcę. – Lubię wymyślać i dopinać projekty, nagraniowe czy sceniczne, ale granie potem tego materiału przez rok uważam za stratę czasu. Niewiarygodnie mnie to nudzi. Wolałbym przygotować cały materiał na »Ziggy'ego« i wręczyć go komuś do wykonania. Tyle że nikt nie chciał śpiewać moich piosenek, więc musiałem zrobić to sam". Zanim jednak przyszła nuda, poczuł ekscytację pewną ideą. Jak zwykle u Bowiego, ideą wyrafinowaną ponad możliwości intelektualne sporej części jego fanów.

A jeszcze wcześniej był Lindsay Kemp. Ten zmarły cztery lata temu mim, tancerz i choreograf zainteresował się młodym artystą w 1967 r., gdy usłyszał jego debiutancki album „David Bowie". Bowie został uczniem i kochankiem Kempa, który potraktował ten romans niezwykle poważnie. Gdy jednak dowiedział się, że jego podopieczny sypia też z jego scenografką, przejechał żyletką po nadgarstkach, po czym z krwawiącymi bandażami wystąpił wieczorem na scenie obok niewiernego kochanka. Bowie płakał podczas tańca. Ale przy okazji przekonał się, że granice dopuszczalności efektów scenicznych można przesuwać.

W 1969 r. Bowie narodził się artystycznie na nowo, nie ostatni zresztą raz. Był już wówczas świadom, że występ muzyczny może być nie tylko rozrywką i formą ekspresji artystycznej, ale też narzędziem zarządzania wyobraźnią i emocjami publiczności – i to tak, by efekty przekładały się także na jej życie poza salą koncertową. Jako uważny obserwator wiedział o tym nie tylko intuicyjnie, jak Mick Jagger czy Janis Joplin, ale w sposób przemyślany. Koncert to spektakl, w którym obok muzyki liczą się także rozkołysane biodra Elvisa, potrząsanie grzywkami przez młodych Beatlesów, ↦

↦ wężowe ruchy Jimiego Hendriksa, filmy puszczane przez Andy'ego Warhola w tle występu The Velvet Underground, autodestrukcyjne wybryki Iggy'ego Popa.

Jako wielbiciel kampu, czyli estetyki rozmyślnej przesady, a także groteskowo-ironicznej formy japońskiego teatru kabuki, wiedział, że chce pójść dalej, wykorzystując platformę muzyki do pozamuzycznych celów. Przez lata podkreślał, że nie uważa się za muzyka, tylko za kogoś, kto wykorzystuje muzyczne medium do rzucania pewnych idei na ekran ludzkich dusz. „Muzyka nie jest moim kołem zamachowym, teatr i pantomima są dla mnie równie ważne – mówił Charlesowi Shaarowi Murrayowi z „New Musical Express" w 1972 r. – Przy tym najbardziej chciałbym być rekwizytem na użytek własnych piosenek".

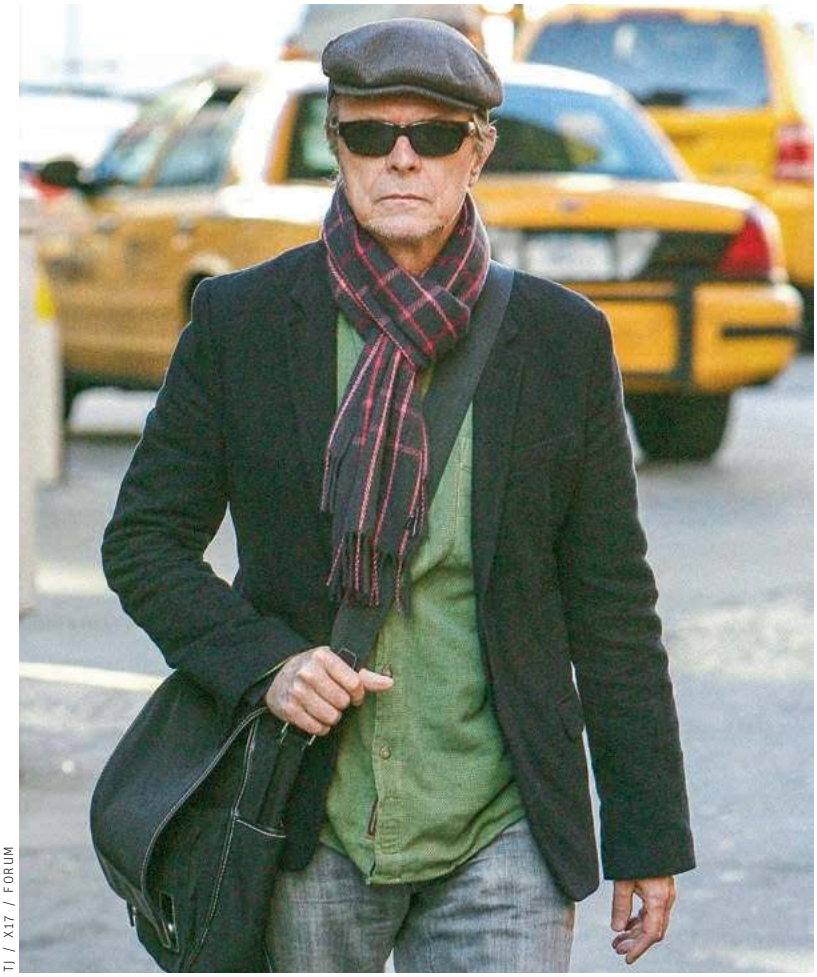

TI / X17 / FORUM

David Bowie, Nowy Jork, listopad 2011 r.

Chwyty sceniczne

Początki lat 70. w Wielkiej Brytanii to w muzyce rockowej czas reakcji na dominujący do niedawna etos hipisowski. Nowa generacja muzyków pragnęła zerwać z dżinsami i baśniowym światem piosenek. Znamienne, że właśnie operujący w takiej tolkienowskiej estetyce Marc Bolan w 1970 r. raptem zerwał z dotychczasowym sielsko-czarodziejskim wizerunkiem, zelektryfikował swój zespół Tyrannosaurus Rex (skracając jego nazwę do T.Rex) i zaczął śpiewać o neonach, samochodach i miejskich łotrzykach. Mało tego – hipisowskie szatki zamienił na androgyniczne stroje wysadzane cekinami i baletki, a włosy i twarz obsypał brokatem.

Tak rodził się glam rock, muzyka oparta na trzyminutowych piosenkach i wyzywający styl, adresowane do młodzieżowej publiczności. Glam rock stał w opozycji nie tylko do hipisowskiej pacyfistycznej Nibylandii, ale i do rozpędzającego się rocka progresywnego, usiłującego zaleczyć własne kompleksy i udowodnić (w większości z marnym skutkiem), że rock może aspirować do tej samej kategorii co muzyka filharmoniczna.

Bowie oczywiście patrzył uważnie na poczynania swojego rówieśnika (obaj byli z rocznika 1947) – i już myślał, jak go przelicytować. Bolan był przecież „tylko" zwierzęciem muzycznym, a Bowie widział przed sobą już znacznie szerszą perspektywę.

Glamrockowe przebieranki to bowiem jedynie przygrywka, spektakl oparty na wizerunku, bez nadpisanej idei czy treści. Glam rock chciał się podobać, zaskoczyć. Czy zaszokować? Może z początku. Na pewno burżujskim poczuciem ładu i normalności bardziej wstrząsali Amerykanie Meat Loaf czy Alice Cooper. Meat Loaf szlify zdobywał na scenach musicalowych, więc przejście do koncertów inscenizowanych na umyślnie tandetne widowiska „gotyckiej opery" było dość naturalne. Z kolei Alice Cooper odwoływał się do uwielbianych przez siebie filmów gatunkowych klasy B (i niższych), tworząc ze swoim zespołem jarmarczno-kampowe widowiska nawiązujące do horrorów, ze scenografią pełną ponurych rekwizytów, niekiedy budzących grozę, zwierząt w klatkach i sztuczną krwią. Obydwaj frontmani przesycali swoje piosenki adekwatnymi, pulpowymi treściami, dzięki czemu ich przekaz był z reguły spójny.

Propozycje te, później podchwycone ochoczo przez wielu wykonawców heavymetalowych (Kiss ze swoim charakterystycznym makijażem, Iron Maiden z postacią odrażającego Eddie'ego, GWAR z kosmicznymi monstrami, Wendy O. Wiliams z eksponowaniem nagości), nie wykraczały jednak poza regiony czysto użytkowe. Umowność spektaklu ograniczonego do sali koncertowej była aż nadto oczywista. Podobnie ze współczesnym fenomenem Lady Gagi, która też konsekwentnie kreuje własny, często szokujący wizerunek.

Nawiasem mówiąc, także w nurcie progresywnym pojawił się w owym czasie wykonawca hołdujący teatralnym chwytom. Nazywał się Peter Gabriel i jako wokalista brytyjskiego zespołu Genesis potrafił w ciągu jednego utworu trzykrotnie zmienić przebranie. Stroje miał ściśle dopasowane do treści śpiewanych piosenek, których teksty zresztą rozpisane były czasem na kilka postaci. Kostiumy miał wymyślne – występował jako lisica w długiej sukni, duży kwiat, nietoperz, rycerz czy starzec, a do tego między kolejnymi numerami recytował wiersze lub opowiadał historyjki. Skupiał tym tak baczną uwagę odbiorców, że krytycy swoje recenzje ograniczali do opiewania wokalisty, co zrodziło naturalne waśnie w zespole. Gabriel odszedł w 1974 r., a jego solowe trasy, choć często niezwykle efek-

towne wizualnie, z grą świateł, hologramami, ruchomymi scenami itp., pozbawione już były teatralności *sensu stricto*.

Własność tłumu

Ani akademickie pozy Gabriela w Genesis, ani quasi-kabaretowe wyczyny Alice'a Coopera czy Meat Loafa, ani teatr jednego autodestrukcyjnego aktora Iggy'ego Popa – nie mówiąc o ostrym makijażu, koturnach i obcisłych wdziankach przedstawicieli glam rocka (poza T.Rex także Slade, Gary Glitter czy New York Dolls) – nie próbowały unieść ogólnej refleksji, nie miały nadrzędnej tezy, której podporządkowany byłby cały spektakl. I tu Ziggy Stardust okazał się propozycją nie tylko znacznie ciekawszą intelektualnie, ale też w jakiś sposób niedościgłą, bo pierwszą o tak wielkim zasięgu komercyjnym.

Tak przynajmniej głosiła oficjalna kampania promująca album i ponadroczną trasę Bowiego i jego zespołu, pardon, Ziggy'ego i Pająków z Marsa. W rzeczywistości bowiem idea wykluwała się stopniowo, w dodatku w czasie, gdy większość piosenek była już gotowa. Dopiero mając przed sobą projekt koncertowego przedstawienia, Bowie dopasował utwory do dość szkicowo zarysowanej sekwencji fabularnej i ułożył album studyjny.

Chciał zilustrować koncept, wedle którego idol publiczności początkowo wierzy we własną podmiotowość, ale stan uwielbienia, jakim jest otoczony, nieuchronnie czyni zeń plastikową własność tłumu, zazdrośnie zawłaszczającego przedmiot swego pożądania. Tłum sadza idola na tronie, składa mu hołdy i więzi go tam jak na cokole. Idea zyskała dodatkowy wymiar apokaliptyczny, gdy z otwierającej album piosenki „Five Years" słuchacze dowiadywali się, że przed ludzkością zostało pięć lat, zanim wszystkiego nie zakończy kosmiczna katastrofa.

„Ziemia umiera to nie żart / mówił prezenter zapłakany / a ja wiedziałem że nie kłamie / bo łzy na twarzy mu błyszczały (...) / Mamy pięć lat o czym tu śnić / pięć lat nie tak miało być / mamy pięć lat tak boli mnie mózg / pięć lat to wszystko już". Kosmita Ziggy z Pająkami z Marsa miał przynieść ludzkości dobrą nowinę odkupienia, ale okazał się tak skuteczny, że zamiast natchnąć ją nadzieją, stał się jej zakładnikiem i ostatecznie poległ na ołtarzu własnej sławy.

Publiczność stwarza idoli na swe idealizowane podobieństwo, chce, by byli cudowni, ale płytcy, niedosiężni jak gwiazdy, ale uziemieni jej adoracją.

Z takimi opowieściami często bywa podstawowy problem poznawczy – dostrzegamy ciągłość pewnej narracji, gdy już poznamy zamysł scenarzysty. Układ piosenek bez tego wprowadzenia nie jest na tyle czytelny, by słuchacze mogli dać się uwieść spajającej je rzekomo opowieści. O ile typowe musicale czy rock-opery, jak „Hair" (1967), „Jesus Christ Superstar" (1969) czy nawet „Tommy" (1969) zespołu The Who, noszą wyraźny ślad osi narracyjnej i słuchając ich, można się domyślić, w którym miejscu intrygi znajdujemy się w danej chwili, o tyle tak zwane albumy koncepcyjne więcej nam wmawiają, niż oferują.

Zresztą nawet członkowie Spiders from Mars podchodzili do historii Ziggy'ego bez głębokiego przekonania (basista Trevor Bolder mówił, że dla nich były to po prostu dobre kawałki do grania) – aczkolwiek bez wahania zgodzili się na teatralizację własnego udziału w koncertach, od strojów poprzez ustawienie sceny pod skromną choreografię. A i tak sam lider potrafił ich nieźle zaskoczyć, jak choćby wtedy, gdy ukląkł przed gitarzystą Mickiem Ronsonem, objął jego pupę i jął symulować seks oralny z gitarą.

Niemniej nie ulega wątpliwości, że koncerty w ramach Ziggy Stardust Tour robiły ogromne wrażenie wszędzie, w Wielkiej Brytanii, w Stanach Zjednoczonych, w Japonii. Bowie poruszał się w sposób wystudiowany i efektowny, żaden gest czy krok nie był przypadkowy, a przy tym nie widać było śladu rutyny. Wbrew własnym zapewnieniom był bestią sceniczną. Zarówno umiejętności pozyskane na kursach teatralnych, obserwacje spektakli kabuki, jak i nauka u Lindsaya Kempa (który zresztą kilkakrotnie wystąpił z Pająkami podczas tej trasy) nie poszły w las. David Bowie był na scenie nie tylko kosmitą, ale też bogiem, szamanem i szatanem jednocześnie. Jak wspomina perkusista Spiders Mick „Woody" Woodmansey, dzięki Bowiemu muzycy nauczyli się myśleć o koncercie jako całości.

Nowe maski

Publiczność to kupiła. Woodmansey mówił: „Wychodzisz na scenę, a tam dwadzieścia tysięcy ludzi patrzy na ciebie jak na przybysza z gwiazd. Wiesz, że jesteś z Driffield, ale oni wierzą, że jesteś z Marsa". „Takie są nastolatki, nic dziwnego, że Ziggy odniósł wielki sukces" – powiedział Bowie w rozmowie z pismem „Rolling Stone" kilka lat później. Tym samym opowieść o Ziggym stała się do pewnego stopnia, i zgodnie z zamysłem jej twórcy, obrazem sztuczności świata show-businessu, autotematyczną parodią: publiczność stwarza idoli na swe idealizowane podobieństwo, chce, by byli cudowni, ale płytcy, niedosiężni jak gwiazdy, ale uziemieni jej adoracją.

Jedyna różnica polegała na tym, że Ziggy zginął na rock'n'rollowym ołtarzu, zaś Bowie wyszedł tylną furtką i rzucił się w wir przygód z kolejnymi wcieleniami (Aladdin Sane, postać z „Roku 1984" Orwella, Thin White Duke) – choć już bez śladowej choćby dyscypliny fabularnej. Sam to zresztą zapowiadał w połowie trasy Ziggy'ego Stardusta: „Ziggy pochłania mnie teraz całkowicie. Ale za kilka miesięcy pozbędę się go z organizmu i wtedy założymy nowe maski".

Nie ma jednej odpowiedzi na pytanie o sens teatralizacji rocka. Pomocne może być ćwiczenie z wyobraźni. Czy Bruce Springsteen, Patti Smith, Metallica albo Pearl Jam, tworząc na scenie opowieść wizualną złożoną z kostiumów, masek, laserów, maszyn i projekcji, wzmocniliby swój przekaz? Czy raczej by go utopili w efekciarskim show? Czy gdyby Lady Gaga, Madonna w okresie świetności, Kraftwerk, Alice Cooper albo Slipknot zawierzyli samym piosenkom, bez scenicznego sztafażu, to publiczność równie chętnie kupiłaby bilety? Zespół Kiss przed laty nagle zrezygnował z makijażu i wyszedł na scenę *sauté*, co zostało uznane za wielkie wydarzenie – ale dziś widzimy ich znów w czarno-białych maskach. Ci, którzy uwiedli swoich fanów efektami, są już ich zakładnikami. Marionetki, jak Ziggy.

Jedno jest pewne – mało kto potrafi dziś przesycić swój koncertowy spektakl ideą. David Bowie nie znalazł godnych następców.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI

Taniec na pustyni

ANITA PIOTROWSKA

„Kolano Ahed" przypomina obsesyjny bluzg zrodzony z gniewu i rozpaczy, lecz sporo w nim sarkazmu. Oto rzecz o niezależnym artyście, który postanowił dać świadectwo prawdzie, ale i ironiczne spojrzenie na jego narcyzm.

MATERIAŁY PRASOWE

To minister kultury, który nienawidzi kultury" – słychać w filmie wyprodukowanym przez... rzeczone ministerstwo kultury. Niestety nie nasze, choć przecież owo stwierdzenie wydaje się tak bardzo o nas. I o wszystkich tych krajach, gdzie polityka kulturalna skupia się na propagandzie i niszczeniu. Tyle że nie da się być ikoną opozycji, jeśli ma się niezałatwione porachunki z samym sobą.

Izraelski reżyser Nadav Lapid pozornie mówi do nas znajomym tekstem, choć formą wypowiedzi nie ułatwia nam odbioru. Było tak już w jego nagradzanych „Synonimach" (2019), gdzie chłopak z Tel Awiwu, tuż po służbie wojskowej, wadził się ze swoją tożsamością na paryskim bruku. Połamany język tego filmu, podobnie jak i skłonność do łamania różnych tabu, przeniknął także do „Kolana Ahed".

Zapożyczony od Erica Rohmera tytuł jest właściwie tylko pretekstem, by wyrzucić z siebie oskarżenie pod adresem ojczyzny. A przy okazji raz jeszcze opowiedzieć swą pogmatwaną historię osobistą. Tym razem nie o losie młodego imigranta z mocno newralgicznego dla Europy kraju, ale o twórcy w średnim wieku, który w tym kraju chciałby tworzyć niepokorną sztukę. Z początku liczy się tylko jedno pytanie: czy da się otwarcie piętnować rodzimy nacjonalizm, militaryzm i rasizm, jednocześnie nie łamiąc sobie kariery?

Jesteśmy bowiem w miejscu, gdzie wielu życzyłoby złamania nogi w kolanie tytułowej Ahed Tamimi. Kilka lat temu zdesperowana palestyńska nastolatka w podartych dżinsach spoliczkowała izraelskiego żołnierza, za co trafiła do aresztu i z dnia na dzień stała się obiektem hejtu. W filmie Lapida eksperymentujący artysta Y (w tej roli Avshalom Pollak) chciałby wykorzystać tę autentyczną historię do zrobienia krytycznej w swej wymowie instalacji, trwają nawet castingi, choć wpierw musi dokończyć promocję swojej poprzedniej produkcji.

Leci więc, w towarzystwie młodych żołnierzy zmierzających właśnie na misję w Gazie, do pustynnej osady Sapir. W tamtejszej bibliotece ma się odbyć projekcja i dyskusja, a do przywitania gościa pofatygowała się specjalnie ważna urzędniczka z ministerstwa kultury, czyli pochodząca z tych stron Yahalom (gra ją Nur Fibak). Dziewczyna to urocza, gadatliwa, nieco snobistyczna i uzbrojona w tak zwany „formularz bezpieczeństwa". Żeby dostać obiecane honorarium, twórca musi zaznaczyć na liście temat swojego dzieła oraz zakres planowanej wokół niego rozmowy.

Obeznany z takimi praktykami Lapid w formularzu zakreśliłby pewnie punkt „inne", po czym wpisał takie hasła, jak „polityka kulturalna", „cenzurowanie sztuki", „dzielenie autorów na swoich i obcych", „szantaż ekonomiczny" czy „kłamstwa wojny". Bo raczej nie o inkryminowanym kolanie traktuje jego film. Chodzi o sytuację, kiedy większość podpisuje podobne oświadczenia, ażeby nie wypaść z obiegu, i nagle ktoś próbuje się z tego wyłamać. „Ten kraj jest skończony" – konstatuje przez telefon matka Y, również związana z kinem, niegdyś prawdopodobnie zagorzała syjonistka, dziś wyraźnie rozczarowana polityką swego państwa. Mężczyzna zdaje się jednak pogubiony w swojej misji i ten niepokój udziela się filmowi.

„Kolano Ahed" przypomina chwilami bluzg, obsesyjny monolog zrodzony z gniewu i rozpaczy, lecz równocześnie sporo w nim sarkazmu. Z jednej strony to rzecz o niezależnym artyście, który gdzieś na zindoktrynowanej i zdegradowanej ekonomicznie prowincji postanowił dać świadectwo prawdzie i utrzeć nosa gorliwej wicedyrektorce wydziału bibliotek. Z drugiej zaś strony dostajemy (auto) ironiczne spojrzenie na artystowski narcyzm. W jednej ze scen bohater kontempluje tamtejszy cud natury, po czym starannie obsikuje przestrzeń wokół siebie.

W planach ma Y projekt o zadziornej Palestynce, na miejscu zaczyna realizować inny eksperyment społeczny. Za-

RADIO KRAKÓW

GRZEGORZ JANKOWICZ w środę o godz. 14.30 opowie o programie **Festiwalu Conrada na antenie Radia Kraków.**
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

„Kolano Ahed", reż. Nadav Lapid, 2021.

przęga doń etykę i erotykę, własne wojenne traumy i zmagającą się z chorobą matkę – oświaty kaganek zamienia na kaganiec. Ma w sobie coś ze straceńca lub wręcz terrorysty, można więc zastanawiać się, czy jego heroiczne gesty nie tracą przez to na wadze. Sam Lapid zachowuje się trochę podobnie jako filmowiec, toteż oglądanie „Kolana Ahed" nie należy do łatwych ani przyjemnych. To film prowokacyjny, chropawy, drapiący w gardło niczym suchy wiatr z Negewu. Fabuła sprawia wrażenie źle opowiedzianej, obrazy – źle wykadrowanych, jakby ktoś kręcił smartfonem, chaotycznie i przypadkowo. Jest w tym pewna metoda, dostrzeżona zresztą przez jury w Cannes, acz chwilami bliżej jej do sztuki wideo niż kina.

Wzorem dzieł po autorsku zaangażowanych (czy, jak kto woli, „zdegenerowanych"), opowieść raz po raz zostaje poddana dekonstrukcji, stąd trudno w niej wygodnie się rozgościć. Od pierwszych ujęć percepcja bohatera ulega zaburzeniu, a potem już wszystko zdaje się lekko przekręcone, włącznie z postacią atrakcyjnej urzędniczki. To, co wydarza się między nimi, wykracza poza dialektykę przyciągania i odpychania. W ich bezpośrednich zwarciach, a wcześniej w jego prowokacjach pulsuje pytanie, czy Y w końcu pozwoli się ocenzurować, czy też nie, i co z tego wyniknie dla bohatera, pracującej nad nim ambitnej Yahalom oraz dla lokalnej społeczności (czytaj: dla państwa złożonego z wielu takich miejsc).

Jednak Lapid nie gra znaczonymi kartami. Młoda karierowiczka odczuwa wyraźne zakłopotanie swoją rolą, podczas gdy Y, w imię nonkonformizmu i moralnej wyższości, zaczyna cynicznie eksploatować jej szczerość. Jego niespokojne ciało dobrze pamięta i teraz mimowolnie odtwarza wojenną przemoc, a koszmary libańskiej wojny pod wpływem spotkania z Yahalom nabierają nowych kształtów.

Reżyser stara się zaatakować widza obrazami, to wzmacniając, to kwestionując wygłaszane przez bohatera manifesty. Ów dysonans stara się rozbroić cierpkim poczuciem humoru, z jakim traktuje swe postacie. Chwilami „Kolano Ahed" przypomina awangardowy musical, w którym zarówno popularne piosenki (od Vanessy Paradis przez Guns N' Roses po „Lovely Day" Billa Withersa), jak i „amatorskie" choreografie stają się wyrazem tyleż indywidualnej wolności, co wewnętrznego rozedrgania. Można zatem widzieć w filmie przykład indywidualnej postawy i jednocześnie zapis zbiorowego stanu umysłu. Inny izraelski twórca, Samuel Maoz, nazywał go fokstrotem – zestawem kroków wyuczonych przez kolejne pokolenia żyjące w cieniu wojny. Dla Lapida to raczej nieskoordynowany taniec na pustyni, w zaklętym kręgu buntu i niemocy. ©

KOLANO AHED *(Ahed's Knee)*
reż. Nadav Lapid. Prod. Izrael 2021.
Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty.
W kinach od 24 czerwca.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Przeżyć

Dokumentalny, reż. Jonas Poher Rasmussen, Dania i inne 2021, Canal+ Dokument, 18 VI, 20.00

Co czuje człowiek, który jest zmuszony opuścić swój dom? Obsypany nagrodami animowany dokument opowiada o młodym afgańskim geju, którego wieloletnia tułaczka po Europie nauczyła mimikry i kłamstwa. Przypomina seans psychoterapii, podczas którego Amin odtwarza swoje burzliwe losy, analizuje emocje i próbuje odbudować swą prawdziwą tożsamość.

2. Drive My Car

Dramat, reż. Ryūsuke Hamaguchi, Japonia 2021, Nowe Horyzonty VoD

Oglądanie filmu może być jak zaczytywanie się w powieści – nie tylko wtedy, gdy trwa on prawie trzy godziny i jest adaptacją Murakamiego. Japoński reżyser pomieścił w nim studium związku i studium przestrzeni, film o żałobie i rzecz o tworzeniu spektaklu we współczesnej wieży Babel, a zarazem refleksyjne kino drogi, dla którego głównym celem staje się spotkanie i rozmowa.

3. Prehistoryczna planeta

Serial dokumentalny, tw. Andrew R. Jones, Adam Valdez, Wielka Brytania/USA 2022, odc. 1-5, Apple TV+

David Attenborough tym razem organizuje nam podróż w czasie, ożywiając świat gadów kopalnych i innych mieszkańców Ziemi sprzed milionów lat. Dokonania współczesnej paleontologii, technologii efektów specjalnych i muzyka Hansa Zimmera składają się na imponujące widowisko, chwalone za wiarygodność i za stworzenie na ekranie „mezozoicznego melodramatu".

4. Zaułek koszmarów

Thriller, reż. Guillermo del Toro, USA 2021, VOD.pl

Na podstawie książki Williama Lindsaya Greshama powstała bezlitosna, choć bardzo stylowa diagnoza Ameryki i świata. Rządzą tutaj instynkty, pieniądze i kłamstwa, ale w ostatecznym rozrachunku nie ma wygranych. I choć twórcy dają popis filmowego kuglarstwa, ciąży nad tym dziełem klątwa obfitości – wizualnych pomysłów i znajomych skądinąd tropów.

JAN

Klata:
Recykling z walkmana

Czas nie przemija, tylko się zataja – jak słusznie zauważył niesłusznie zapomniany Tadeusz Miciński, bo miał po temu podstawy. Jednak zdaje mi się, że ujawnił tylko część prawdy o podskórnych prądach ludzkiej myśli. Rzucając uchem na dzieje kultury od czasów wynalezienia zjawiska pt. „nastolatek", daje się zauważyć, że to, co się zataja, ma tendencje do cyklicznego odtajania.

Oto Kate Bush dziękuje fanom ultrapopularnego serialu za wywindowanie na czołowe miejsca obecnych list przebojów jej piosenki sprzed lat. Kompozycja „Running Up That Hill" otwierała znakomity album „Ogary Miłości" z 1985 r., a teraz dzięki wykorzystaniu w jednym z odcinków, chlubi się najwyższą pozycją klikalności na Spotify (licznik dziś wskazuje ponad 205 mln odsłon).

Inny przykład, z innego hiperserialu: „Drink Before the War", przedostatni przystanek genialnego debiutanckiego albumu Sinead O'Connor. Jedna scena i internetowe szaleństwo: klikalność na Spotify wzrasta o 27 tys. procent! *Nota bene*, twórcy owego serialu wykorzystują do 37 różnych utworów w każdym odcinku (oprócz oryginalnej ścieżki dźwiękowej, oczywiście). Czy w tym szaleństwie jest metoda? Jeszcze nie wiem, na serial rzucę okiem, jak kurz opadnie, za jakieś 10 lat, ale z punktu widzenia twórczości Sinead O'Connor dobrze się stało, nieprawdaż? Z seriali, które się sprawdziły i trwać będą, pamiętam znakomicie nieoczywiste użycie muzycznych *ready mades* w arcydzielnej „Rodzinie Soprano".

Różnymi drogami wiedzie retromania. Nie wadzi mi nawet reklama samochodu, dzięki której szeroki świat w 2000 r. – po 28 latach od dnia wydania albumu – usłyszał „Pink Moon" fenomenalnego angielskiego przewrażliwca Nicka Drake'a, choć akurat w tym wypadku artysta już nie miał okazji podziękować. W poczuciu rozminięcia się ze swoim czasem odszedł w 1974 r., najprawdopodobniej świadomie przedawkowując antydepresanty. ©

Lektor:
Przegrany los

▪ *Izrael Joszua Singer*
TOWARZYSZ NACHMAN
Przekład z jidysz Krzysztof Modelski.
Wydawnictwo Fame Art,
Lublin 2022,
ss. 462.

„Choć jest jeszcze wcześnie i po długich cieniach drzew można poznać, że zostało sporo czasu do południa, słońce wypala już piekielnym ogniem płaską polską ziemię". Mates zwany Zającem, ubogi domokrążny handlarz, odmawia na polu poranną modlitwę. Odwiedzi jeszcze kilka chłopskich chałup, by w piątkowe popołudnie wrócić po tygodniowej wędrówce do domu w Zaułku Nędzy w Piaskach. W domu czeka żona Sara z córeczkami, ale wkrótce urodzi się syn – Nachman. Narodziny syna to dobry znak, niestety chorowity chłopiec nie przyniesie ze sobą na świat szczęścia. Jego życie będzie ciągiem udręk, niesprawiedliwości i zdrad. W tle toczy się wielka historia – wybucha I wojna światowa, Niemcy przejmują z rąk Rosjan ziemie Królestwa Polskiego, powstaje Rzeczpospolita. Dla Nachmana, któremu wrażliwym i współczującym spojrzeniem towarzyszy pisarz, nie ma jednak zmian na lepsze, a każdy wybór okazuje się zły. Porzuca religię i angażuje się w walkę o sprawiedliwość społeczną, co skończy się okrutnymi torturami w polskiej Defensywie i kilkuletnim więzieniem. W dodatku w ruchu komunistycznym też jedni okazują się lepsi, inni zaś gorsi. A po ucieczce za wschodnią granicę Nachman odkryje rzeczywisty – przerażający – obraz radzieckiego raju, którego nie zmieni religijne niemal uniesienie, jakiego dozna podczas manifestacji na placu Czerwonym. Pożegnamy go, gdy – wydalony z powrotem do Polski – napotyka w lesie dogorywającego konia. „Ze współczuciem pogłaskał jego sierść. W umierającym, opuszczonym, spracowanym i wybatożonym koniu dostrzegł siebie i swoje życie". Ta proza łączy dojmujący realizm z przypowieścią. Singer to dla nas przede wszystkim najmłodszy z trojga pisarskiego rodzeństwa, czyli noblista Izaak Baszewis (1904-1991), którego kilkadziesiąt tytułów przełożono już na polski. Izrael Joszua Singer (1893-1944) wydał „Towarzysza Nachmana" w 1938 r. w Nowym Jorku, już po opuszczeniu Warszawy i po swoich arcydziełach – znanych u nas powieściach „Josie Kałb" i „Bracia Aszkenazy" (w 1942 r. ukazała się jeszcze „Rodzina Karnowskich"). Wydawnictwo Fame Art przed „Nachmanem" opublikowało dwa zbiory jego opowiadań („Perły" i „Na obcej ziemi"). I – co ważne – przypomniało postać najstarszej z rodzeństwa, Ester Singer Kreitman (1891-1954), publikując przekład trzech jej książek oraz wspomnienia syna, Maurice'a Carra. ©℗

PAWEŁ

Bravo: *Reszta krowy*

Pięćdziesiąt tysięcy krów ma zastąpić budowana w Danii fabryka białek identycznych z tymi, które dotąd ludzka kultura czerpała z mleka krowiego. Stojący za tym izraelski start-up w niecałe trzy lata zebrał kolosalne finansowanie dla projektu, w swojej strukturze przypominającym niedawną szybką karierę sztucznego mięsa bazującego swój efekt na generowanym laboratoryjnie zamienniku krwi. Kiedy pierwszy raz wyczytałem w jakiejś specjalistycznej publikacji o firmach Impossible Food albo Beyond Meat, mało kto o tym słyszał. Dziś to nazwy, które większość z was dobrze kojarzy, a nawet może napotkać w sklepie za rogiem. Droga do szybkiego sukcesu neo-mleka jest raczej oczywista.

– To jest bardzo nieprzyjemna dieta, bo to niesmaczne jest – mówiła współwłaścicielka legendarnej jadłodajni Przysmak z ulicy Lwowskiej w Warszawie w wywiadzie, gdy ją – Królową Mielonych i Wielką Damę Pierogów – zapytano, co sądzi o tzw. trendach, szczególnie bezglutenowym. Z matczyną troską o dobrostan każdej klientki opowiadała o tym, że wychodzi naprzeciw potrzebom i gotuje im wedle rygorów, no ale cóż: żal patrzeć na talerz. To samo można powiedzieć o dotychczasowych roślinnych zamiennikach mleka i pochodnych, owsianych cieczach, sojowych omastach i serowych surogatach z nerkowca. Dziś mówimy o czymś zupełnie z innej półki.

Wynalazcy z izraelskiej firmy poszli drogą analogiczną do „niemożliwych kotletów" i doszli do wniosku, że ser można w sumie zbudować z dowolnych cukrów, roślinnych tłuszczy i komponentów mineralnych, ale granica między smętną inżynierią a alchemią przebiega przez kazeinę właśnie. Jeśli stworzymy niezwierzęcą kazeinę i podobne białka, to już mamy spożywcze złoto, jesteśmy w stanie zapewnić serowe doznania, choćby klient żuł tekturę. Starczyło wyodrębnić krowie geny odpowiedzialne za budowę pożądanych białek, po czym zaszczepić je drożdżom, dać im warunki do fermentacji, po czym te cudowne organizmy (żywe, ale nieuznawane za zwierzęta) wyprodukują kazeinę lub inne molekuły gotowe do dalszych przemian. Po pokonaniu etapu modyfikacji genów reszta procesu jest dość tania, wyćwiczona (zachęcaniem drożdży do fermentacji ludzkość zajmuje się, od kiedy pije alkohol, czyli od zawsze) oraz, co dla inwestorów jest fetyszem, skalowalna w nieskończoność.

JACEK TARAN

Neoparmezanu z tego prędko nie będzie, ale w zwyczajny pseudoedam, dostępny tanio i powszechnie, spokojnie wierzę i czekam. Zresztą innych ambicji izraelscy inżynierowie chyba nie mają. Przy całym moim podziwie dla tego narodu nie podejrzewam go o zaawansowane rozeznanie w smakach krowiego nabiału. Szef tego interesu Aviv Wolff nie zdradzał w wywiadach skłonności do niuansów. Mówi: „Zasadniczo przenosimy cały mechanizm produkcji mleka do jednokomórkowego mikroba. Nie potrzebujemy reszty krowy, nie musimy już więcej przeznaczać naszych zasobów na stworzenie 900-kilogramowego zwierzęcia".

Ma to ogromny ekologiczny sens. „Reszta krowy" jest katastrofalna dla planety (areał pod pastwiska, woda, metan itd.). Ale warto zauważyć, że pomysły na zrównoważoną środowiskowo żywność sprowadzają się do wydłubania jednego elementu, który jest ważny dla istoty produktu, i przeniesienia go w kontekst, który likwiduje środowiskowy „impakt". Drogą do ocalenia planety wydaje się więc redukcjonizm dostarczania nam doznań w osobnych pakietach, bez otoczki. Ser powstaje w fabryce A, kotlet w zakładzie B, wino syntetyzuje firma C, a wszechstronne gospodarstwo wiejskie pokażemy dzieciom w wirtualnym skansenie 3D.

Pewnie nie ma innego wyjścia, ale idą ciężkie czasy dla ludzi wędrujących po węzłach gęstej siatki doświadczeń i pławiących się w nieskończonych współzależnościach. Niedawny mój obiad w Przysmaku na Lwowskiej miał posmak pożegnania nie tylko z właścicielkami lokalu, które odchodzą na emeryturę, ale i holizmu w przeżywaniu posiłku. Bo cóż, mielony zaiste smażą świetnie, chłodnik taki, jakbym go sam w domu zrobił, pierogi najuczciwsze – ale to tylko i aż solidne obiady z dobrych składników, gotowane bez sztuczek. To nie z ich powodu opłakuję fakt, że właścicielki chcą odejść na emeryturę. Chodzi raczej o nie same, o tę iskrę familiarności, która zamienia płatny posiłek w domowy obiad, o wnętrze pokryte lamperią i wąskie stoliki z ceratą oraz kultową tacę z kompotami na szerokim parapecie przy oknie wychodzącym na zapuszczone podwórze starej kamienicy. W Przysmaku nie jest tanio, zatem okoliczni biuraliści, których stać na obiad za 50 zł, pójdą raczej do pobliskich Koszyków, gdzie każdego dnia mogą doznać coraz to innych momentalnych rozkoszy, łykając pigułki wydestylowanych wrażeń z różnych kultur. Ja jednak, póki mogę, chcę całą resztę krowy. Do końca lipca, jak mi powiedziała pani Wanda, będzie na pewno otwarte. ©℗

Zaszedłem do Przysmaku, bo chciałem zainaugurować sezon na chłodnik. To danie, którego nie śmiałbym wam proponować, bo każdy ma swoją „babciną" najprawdziwszą wersję. Ale spróbujcie kiedyś się ochłodzić taką podkręconą czereśniami wersją gazpacho, zwłaszcza że czereśnie mamy znacznie smakowitsze niż tam na Południu. Parzymy, obieramy i rozkrajamy pół kg dojrzałych pomidorów, przekładamy na sito, żeby je trochę odsączyć. Drylujemy 350 g czereśni (wiem, to ciężka robota). Blendujemy wraz z łodygą selera naciowego, dwiema łyżkami octu winnego i czterema łyżkami oliwy oraz (opcjonalnie dla zagęszczenia) garścią miękiszu białego chleba. Chłodzimy parę godzin. Na wydaniu można jeszcze podkręcić oliwą, siekanym szczypiorkiem lub dymką, ale uważałbym z czosnkiem.

GALERNICY NUDY

Jedno z haseł, jakie przewijają się w marketingu producentów sprzętu i oprogramowania komputerowego, brzmi: „Możesz pracować, gdzie chcesz". A skoro możesz, to dlaczego miałbyś nie pracować?

MACIEJ JAKUBOWIAK

Robota nie była ciężka. Każdego dnia musiałem napisać kilka newsów, co polegało głównie na śledzeniu tych publikowanych gdzie indziej i parafrazowaniu ich w taki sposób, żeby wyszukiwarki uznały to za unikatową treść. Do tego raz na tydzień jeden dłuższy tekst, co jakiś czas raport, też zresztą kompilowane z innych źródeł. Jak niby inaczej miałbym produkować treści na temat rynku nieruchomości, kiedy z wykształcenia byłem polonistą?

Zresztą nikt poważny raczej nie szukał na portalu, który obsługiwaliśmy, rzetelnych informacji; miały one stwarzać pozory, że nie chodzi tylko o sprzedaż reklam, choć oczywiście chodziło tylko o sprzedaż reklam. Ogarnialiśmy to w kilka osób i choć nigdy nie mówiliśmy o tym wprost, zajmowało nam to może godzinę dziennie. Pozostały czas przeznaczaliśmy na: pogaduszki, przerwy na papierosa (liczne), czytanie magazynów internetowych (nigdy nie byłem tak bardzo na bieżąco), odwiedzanie innych działów i dalsze prowadzenie pogaduszek pod pozorem rozwiązywania pilnych problemów oraz – najważniejszy punkt dnia – wyjścia na obiad.

Prezes

Nikt się specjalnie nie czepiał, bo tak naprawdę chodziło o coś innego – o dobre samopoczucie pana prezesa. Ten urzędował w firmie w miarę regularnie, w biurze na końcu korytarza. Każdego dnia wzywał do siebie kilka osób, rzekomo w celu omówienia bieżących projektów, choć tak naprawdę po to, żeby ponapawać się swoim prezesostwem. W całym pokoju unosił się gęsty dym papierosowy, choć już dawno palenie w biurach było nielegalne, ale prezes sam jarał jak najęty i zachęcał do tego innych, więc siedziało się tam z nim, popalało papierosy i dyskutowało o najróżniejszych sprawach. O rynku nieruchomości, jasne, ale też o literaturze, polityce, mediach społecznościowych, planach na wakacje, bardziej jego niż swoich.

Od czasu do czasu prezes zarządzał wcześniejszy fajrant i wysyłał kogoś do sklepu. Biuro zmieniało się wtedy w wielką imprezownię, niektórzy przetrzymywali pierwszą godzinę i chyłkiem się ewakuowali, inni szli w to na poważnie. Pewnego razu, kiedy administracja biurowca znalazła w nocy firmowego prawnika pogrążonego w pijackim śnie na podłodze łazienki, zagroziła wypowiedzeniem umowy. Prezes uwielbiał takie historie.

Nie miało to wszystko najmniejszego związku z tym, jak żyłem poza pracą. Kończyłem wtedy studia, organizowałem festiwal literacki, byłem rzetelny i zorganizowany. Po prostu żeby mieć za co żyć, każdego dnia przez osiem godzin musiałem odgrywać tę dziwaczną fikcję. Pewnie gdyby ktoś zaproponował mi wtedy, że mógłbym dostawać pieniądze, ale nie musiał pamiętać, co robię w biurze, poważnie bym się nad tym zastanowił.

Z takiej możliwości korzysta Mark S., bohater serialu „Rozdzielenie", stworzonego przez Dana Ericksona i produkowanego przez Apple TV+. Mark pracuje dla firmy Lumon Industries, a jego obowiązki są podobno na tyle newralgiczne, że musiał poddać się specjalnej procedurze. Za sprawą czipa umieszczonego w mózgu mężczyzna po godzinach pracy nie pamięta, czym zajmował się w pracy; a kiedy jest w biurze, nie ma pojęcia, co robi w życiu prywatnym.

Jego praca to też niezła fikcja. W nagrodę za dobre wyniki Mark i jego współpracownicy – grani m.in. przez znakomitych Johna Turturro i Christophera Walkena – mogą skorzystać z „melonowego baru", który wywołuje w dorosłych ludziach nieadekwatnie żywe poruszenie, albo zaznać „doświadczenia muzyczno-tanecznego", czyli na chwilę zmienić swoje szare biuro w kolorową dyskotekę. Najwyższa nagroda, przyznawana za dokończenie projektu, to „waflowe przyjęcie". Jest też podręcznik dla pracowników, traktowany przez niektórych jak święte pismo zawierające objawienie dane przez założyciela firmy; są rytualne wycieczki do muzeum heroicznych dziejów przedsiębiorstwa i wizyty w dziale „dobrostanu", w założeniu służące poprawieniu nastroju. Są wreszcie kary za niewłaściwe zachowanie – makabryczne rytuały mające doprowadzić do prawdziwie szczerego wyznania win.

Wszystkiego doglądają nadzorcy, czy właściwie menedżerowie, którzy stosują z odpowiednim wyczuciem metodę kija i marchewki. I nawet jeśli Mark w pewnym momencie

ŁUKASZ SZCZEPAŃSKI / REPORTER

wyznaje swojej szefowej: „Nie jesteśmy dziećmi!", to jasne, że jest traktowany właśnie jak dziecko, z mieszanką dyscypliny i pobłażania.

Brzmi jak sekta? Jeśli tak, to wcale nie tak różna od całkiem rzeczywistych miejsc pracy, z ich owocowymi czwartkami, absurdalnymi rytuałami, hermetycznymi komunikatami działów HR i wszechwładnymi szefami urzędującymi na końcu korytarza.

Herezje

Ale co właściwie robi Mark S.? Sam nie wie. Niby porządkuje – a właściwie: „rafinuje" – zestawy liczb, identyfikując je na podstawie emocji, jakie w nim wywołują. Ale co to za liczby? I czemu służą efekty jego pracy? Nie wie.

„Szkoda, że nikt wam nie powiedział, że wszystko tu jest bez sensu" – mówi pewnego razu nowa koleżanka w dziale Marka, Helly R. W oryginale używa słowa „bullshit". ↦

↦ Właśnie tak, jako „bullshit jobs", czyli „prace bez sensu", określał podobne zajęcia amerykański antropolog David Graeber, zmarły przed dwoma laty autor „Utopii regulaminów" i „Długu". Graeber pisał o takich stanowiskach, które w samych wykonujących je osobach wywoływały wrażenie, że niczemu tak naprawdę nie służą.

W najlepszym przypadku takie prace są efektem złego zarządzania. O to przecież nietrudno w coraz bardziej skomplikowanych systemach produkcji i wymiany informacji, jakimi stają się międzynarodowe korporacje w świecie ściśle oplecionym internetowymi światłowodami. Sprzyja temu ośmiogodzinna organizacja pracy, opierająca się na standaryzacji czasu, który jest sprzedawany pracodawcy, a nie na rzeczywistych zadaniach do wykonania.

Graeber w „Pracy bez sensu" (2018) pisze o tym, jak stosunkowo nowy to wynalazek i jak sprzeczny jeśli nie z naturą, to przynajmniej z rozsądkiem – i pokazuje, że niezbędnym warunkiem jego działania jest oderwanie „pracy człowieka zarówno od jego osoby, jak i od dzieła będącego wynikiem jego wysiłku" (cytuję przekład Mikołaja Denderskiego). O takim oderwaniu – czy właśnie rozdzieleniu osobowości na tę zatrudnioną i tę prywatną – opowiada serial Ericksona.

Graeber idzie jednak dalej i twierdzi, że prace bez sensu są tylko objawem tego, w jaki sposób organizacja pracy służy kontrolowaniu społeczeństwa: „Automatyzacja faktycznie doprowadziła do masowego bezrobocia. Po prostu zapełniliśmy niedobór miejsc pracy, tworząc prace-atrapy, najzwyczajniej zmyślone etaty". Czemu tak się stało? Czemu rozwój technologiczny, który przecież jeszcze na początku XX wieku wiązał się z obietnicą uwolnienia społeczeństw od znoju pracy, nie dał nam więcej wolnego czasu, ale wprost przeciwnie – wydaje się go pochłaniać coraz więcej?

Graeber twierdzi, że to wszystko przez klasy rządzące, dla których obywatele dysponujący zbyt wielką swobodą to tylko kłopot i źródło potencjalnych kłopotów. Właśnie dlatego ich – czyli nas – na wszelki wypadek lepiej czymś zająć. Choćby miało to być porządkowanie zbiorów liczb zgodnie z ich emocjonalnym charakterem.

Coś w tym musi być, bo jak wyjaśnić, dlaczego irlandzka fabryka, w której zatrudniłem się jakieś 17 lat temu, tak skrupulatnie pilnowała czasu pracy, choć przez trzy miesiące, które tam spędziłem, samej pracy raczej nie było? Po prostu części do urządzeń, które mieliśmy montować (co to były za urządzenia? chyba dekodery telewizyjne, a może centralki telekomunikacyjne?), zwyczajnie nie były dostępne. Kiedyś miały nadejść, i to w obfitości, więc agencja pracy zrekrutowała nowe siły robocze – ale części nie nadchodziły. Na dwunastogodzinnych zmianach nudziliśmy się okropnie, morderczo, monstrualnie, przeraźliwie, do znudzenia. Nie mogliśmy tylko dawać tego po sobie poznać, a zadaniem menedżerów było dbanie o to, żebyśmy wyglądali na zajętych.

Kiedy w końcu, zupełnym przypadkiem, znalazłem sobie w tej fabryce inne zajęcie, i to takie, które sam musiałem sobie zautomatyzować, żeby się ze wszystkim wyrobić, za co szefowa była mi niezmiernie wdzięczna – właśnie wtedy dział HR wywalił mnie z dnia na dzień, bo łączny czas moich spóźnień przekroczył kwadrans. Ewidentnie nie chodziło im o pracę, jaką miałem do wykonania; choć może sami nie zdawali sobie sprawy, że odgrywają rolę aparatu kontroli i represji. Albo byli po prostu słabo zorganizowani, nie da się tego wykluczyć.

W każdym razie Graeber skupiał się na czymś, co nazywał subiektywnym poczuciem bezsensu – a wynikające z niego cierpienia wiązał z poczuciem podmiotowości uzależnionym od sprawczości, doświadczanej od najwcześniejszych chwil życia. Takie założenie ma oczywiście swoje ograniczenia, bo na dobrą sprawę może się też wiązać z tym, że nasze organizmy zwyczajnie nie są przystosowane do społecznych abstrakcji późnego kapitalizmu. To chyba dlatego największy odsetek prac bez sensu Graeber wiąże z sektorem przetwarzania informacji – tym, w którym pracuje serialowy Mark S. To w końcu najbardziej wyspecjalizowane i zarazem alienujące prace, w których efekty działań poszczególnych osób mogą być zwyczajnie niedostrzegalne.

Czasem to pewnie zamierzony efekt. Towarzyszący serialowi ebook sugeruje, że abstrakcyjne przetwarzanie danych może mieć coś wspólnego ze szpiegostwem przemysłowym, a nawet aktami terroryzmu. I to pewnie nieprzypadkowa aluzja do pracy operatorów amerykańskich dronów bojowych, o których prasa pisała, że traktują swoje – kosztujące życie tysięcy ludzi – zadania jak zwykłe biurowe obowiązki do odhaczenia przed przerwą na lunch. Może nawet nieco nudne.

„Rozdzielenie" podpowiada, jak sobie z tą nudą radzić. „Co my tu właściwie robimy" – pyta w pewnym momencie Mark S., a jego szefowa ma gotową odpowiedź: „Służymy Kierowi". To mityczny założyciel firmy, prawodawca i – na dobrą sprawę – bóg. Jeśli wyalienowana praca w późnokapitalistycznym sektorze przetwarzania informacji rozpaczliwie domaga się sensu, to naprawdę trudno o lepsze rozwiązanie niż religia. Pewnie rozmaici prezesi z rzadka i kapryśnie obdzielający swoich pracowników łaską doskonale o tym wiedzą.

I właśnie do tego potrzebne jest im szczelne oddzielenie biurowej przestrzeni od zewnętrznego świata. To zresztą okazuje się całkiem zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę ustalenia cytowanego przez Graebera amerykańskiego historyka Marcusa Redikera, który źródeł nowoczesnej organizacji pracy upatruje w statkach przewożących niewolników. Tak to właśnie zostało pomyślane – chodzi o właściwość, nie błąd: żeby pracownikom świat poza pracą wydawał się oddzielony przepastnym i zimnym oceanem. W innym przypadku mogliby zacząć porównywać swoje obowiązki z tak zwanym prawdziwym życiem. I zacząć narzekać.

Perwersje

Pamiętam swoje oburzenie, kiedy pewnego razu podczas zebrania katedry podsłuchałem, jak podziwiana przeze mnie wykładowczyni powiedziała przez telefon, najpewniej do swojego męża, że właśnie jest w pracy i wróci później. Nie mieściło mi się w głowie, jak nieskrępowaną dyskusję i intelektualne wyzwanie, które wtedy utożsamiałem z akademią, można nazywać pracą. Pracą były te bzdurne rzeczy, które robiłem w biurze, żeby móc się utrzymać; poza biurem było prawdziwe życie.

Chyba wierzyłem wtedy w powiedzenie, że jeśli będę robił to, co będę lubił, to nie przepracuję w życiu ani godziny. Ale kiedy dzisiaj wspominam tamto zdarzenie, myślę sobie raczej, że wykładowczyni i ja reprezentowaliśmy dwa historyczne modele stosunku do pracy: jeden oparty na ścisłym

Na dwunastogodzinnych zmianach nudziliśmy się okropnie, morderczo i przeraźliwie.
Zadaniem menedżerów było tylko dbanie o to, żebyśmy wyglądali na zajętych.

oddzieleniu życia prywatnego i życia zawodowego; a drugi, w którym to pierwsze jest stopniowo podporządkowywane temu drugiemu.

Skądinąd bohater „Rozdzielenia" też był wykładowcą. To ciekawe, że miał taką pracę, o jakiej marzyło wielu bohaterów książki Graebera, ale wykonał ruch w przeciwnym kierunku – zdecydował się nie tylko na podjęcie pracy w korporacji, ale też takiej, która wymaga radykalnego oddzielenia prywatnego od zawodowego. Dla niego to sposób na to, żeby poradzić sobie z życiową tragedią, o której przynajmniej przez kilka godzin dziennie nie musi myśleć. Ale i bez tego to właściwie całkiem zrozumiałe.

W pierwszym odcinku „Rozdzielenia" widzimy, jak na parkingu przed biurowcem Mark S. najpierw rozpaczliwie płacze, po czym zbiera się w sobie i idzie odbębnić swoje osiem godzin. Ja nie płakałem, ale przed wejściem do pracy – i to nawet nie tamtej w dętej redakcji, ale już później, w instytucji kultury – wypalałem co najmniej dwa papierosy, tak bardzo nie chciałem znów siadać za biurkiem. Może to brzmieć nieco histerycznie, ale właściwie jest zgodne z nowoczesną definicją pracy jako czegoś, czego – jak pisze Graeber – „najchętniej byśmy nie robili". Cierpienia wywoływane przez pracę nie są niczym nadzwyczajnym. Przeciwnie, wystarczy posłuchać dowolnej rozmowy pracowników dowolnej branży, żeby usłyszeć licytacje na to, kto jest bardziej zarobiony, kto mniej wyspany, a kto po prostu wycieńczony. Praca, żeby była pracą, musi boleć. Czy więc nie byłoby lepiej, gdyby – nawet jeśli musi boleć – zwyczajnie się o tym nie pamiętało?

Nic dziwnego, że takie rozdzielenie sprawdzało się przez długi czas. Z jednej strony pozwalało pracodawcom organizować zakłady pracy na autonomicznych zasadach, jak statki niewolników; z drugiej – umożliwiało pracownikom znoszenie codziennej udręki. Tyle tylko że dziś ten model wydaje się już odchodzić w przeszłość. Nie przypadkiem serial wyraźnie to rozgrywa, jawnie odwołując się do korporacyjnej estetyki lat 80. XX wieku – monumentalnych brutalistycznych biurowców i plastikowych komputerów przypominających terminale Apple II.

To właśnie wtedy, mniej więcej w latach 80., rozpoczęła się zmiana, której skutki wyraźnie widać dzisiaj – konsekwentne podporządkowywanie czasu wolnego logice pracy. Pod wpływem neoliberalizmu, wprowadzanego przez administracje Ronalda Reagana i Margaret Thatcher pod koniec ubiegłego wieku nie tylko w USA i Wielkiej Brytanii, rynek stawał się domyślnym sposobem organizowania również pozarynkowych sfer życia, a produktywność, będąca dotąd miarą wydajności zakładu pracy, stawała się ideałem osobistego rozwoju. Aby mogło się to powieść, trzeba było jednak radykalnie zmienić domyślne skojarzenia z pracą – nie mogła dłużej być źródłem cierpienia, musiała stać się na tyle atrakcyjna, żebyśmy nie chcieli jej opuszczać; a jeśli już musielibyśmy, to żebyśmy chociaż mogli zabrać ze sobą swoje narzędzie pracy – komputer.

Niemały udział w tym procesie miała firma Apple. Najpierw stworzyła komputery osobiste, które rozpowszechniły się w biurach, a potem zminimalizowała je do rozmiarów, które zachęcają, żeby mieć je zawsze przy sobie. A dziś jedno z haseł, jakie przewijają się w marketingu Apple'a – oraz wielu innych producentów sprzętu i oprogramowania komputerowego – brzmi: „Możesz pracować, gdzie chcesz". A skoro możesz, to dlaczego miałbyś nie pracować? Konsekwencje tej zmiany pewnie najlepiej było widać podczas pandemicznego lockdownu, kiedy mieszkania, ostoje życia prywatnego, w mgnieniu oka zamieniły się w firmowe biura.

Właśnie to sprawia, że dystrybucja „Rozdzielenia" na platformie Apple TV+ ma w sobie coś perwersyjnego. A poziom perwersji jeszcze wzrasta, jeśli wziąć pod uwagę, że sekciarski kult (biznesowej) jednostki, z jakiego natrząsa się „Rozdzielenie", cokolwiek przypomina o pozycji Steve'a Jobsa, który do dziś jest traktowany jako mityczny założyciel i prawodawca firmy Apple.

Jeśli jednak wielka korporacja krytycznie opowiada o czymś, co zdaje się wyglądać jak ona sama, to trzeba się temu przyglądać co najmniej podejrzliwie. Tym bardziej że argumenty podsuwane przez „Rozdzielenie" przeciwko modelowi separacji pracy od czasu wolnego nie są wydumane – faktycznie prowadzi on nieuchronnie do alienacji i tworzy trudne do rozwiązania sprzeczności. Nie zmienia to jednak faktu, że w ten sposób wpycha się nas od razu w model dziś obowiązujący – ten, na którym Apple najwięcej zarabia. I ten, w którym rozdzielenie – może nie radykalne, ale polegające przynajmniej na tym, żeby szef nie wydzwaniał do nas po godzinach – bywa nierzadko pracowniczym postulatem.

Przy tym wszystkim nie warto zapominać o bardziej radykalnych postulatach. Jeśli rzeczywiście jest tak, jak pisał Graeber, to potrzebujemy dziś nie tyle uwolnić czas wolny od rygorów pracy, ile zwyczajnie rzucić robotę raz na zawsze. O tym też, w paradoksalnie perwersyjny sposób, przypomina „Rozdzielenie" – w przejmującym wątku kolejnych nieudanych prób opuszczenia miejsca pracy przez Helly R. – tę, która od początku wiedziała, że to wszystko bez sensu.

Ze wszystkich uprzykrzonych miejsc pracy najlepiej pamiętam właśnie ekscytację ostatniego dnia, udzielającą się wszystkim koleżankom i kolegom – niesprecyzowaną, ale pociągającą obietnicę, jak mogłoby wyglądać życie, gdyby wcale nie trzeba było pracować. © MACIEJ JAKUBOWIAK

Autor jest wicenaczelnym portalu dwutygodnik.pl, wydał niedawno książkę „Ostatni ludzie. Wymyślanie końca świata".

STANISŁAW

Mancewicz: *Cud*

Chcąc nie chcąc, musimy dziś zająć się wydarzeniami pacanowskimi oraz ich konsekwencjami.

Trzeba rzec tym, którzy nie śledzą normalnych i codziennych poczynań ludzi władzy w Polsce, że wydarzenia pacanowskie są jednak osobliwością w szeroko pojętej skali obyczajów polityków europejskich. Przypomnijmy je pokrótce: poseł do parlamentu M. Cieślak, minister (nie bardzo wiadomo czego) w rządzie M. Morawieckiego, były przyjaciel J. Gowina, człowiek – jak jego były pryncypał – znakomicie obrotowy, o poglądach i zasadach koordynowanych wyłącznie własnym interesem, poszedł na pocztę w Pacanowie. Tam, stojąc przy okienku, od naczelniczki placówki usłyszał narzekanie na drożyznę. Doniósł o tym do dyrekcji i wszystko wskazywało, że ta pani natychmiast straci pracę. Za co? Jak się na początku afery wydawało i co zgrabnie zdefiniował inny człowiek obecnej władzy, sekretarz stanu w resorcie ds. funduszy i polityki regionalnej J. Żalek, cytujemy tu jego słowa: „w urzędzie publicznym nie może być przyzwolenia na zastąpienie profesjonalnej obsługi klienta atakami agresji politycznej”.

To jasne, że wobec tak skoordynowanego ataku grubych ryb naczelniczka trafiłaby natychmiast na zieloną trawkę, gdyby nie Gospodarz. Jak to się stało, do stu tysięcy kostek zjełczałego masła po sto złotych za sztukę, że Gospodarz się o tym dowiedział? Nie wiemy, być może czyta „Gazetę Wyborczą”, która te wydarzenia opisała, co wydaje się nam – prywatnie – dziwne i niemożliwe. Dziwne, ponieważ z naszych danych wynika, że Gospodarz czyta wyłącznie te gazety, które przyznały mu przynajmniej pięć razy tytuł „Człowieka Roku”. A jednak Gospodarz się dowiedział i stał się cud. Klasyczny dla tego typu władzy i tego typu kraju, jak nasz.

Oto w Pacanowie rozbłysło nagle drugie słońce, jaśniejsze znacznie od centralnego reflektora i kaloryfera naszego układu. Umiłowany Ojciec Narodu, Gospodarz, po wielokroć Człowiek Dowolnego Roku, Znawca Wszechrzeczy, Gjeniusz (jakby powiedziano w Krakowie), Pogromca Elyt (jakby powiedziano w Warszawie), Strateg Globalnego Bezpieczeństwa i Ocieplenia, dowiedział się o wydarzeniach pacanowskich i się zezłościł. Nasrożył się – cośmy struchlali zobaczyli i usłyszeli na własne oczy i uszy. Ale nasze struchlenie wobec nasrożenia się Gospodarza to jednak nic – jak można mniemać – wobec totalnego struchlenia winnych w aferze pacanowskiej. Gospodarz rzekł bowiem niezwykłe w swym sensie słowa: „Oczekuję od pana ministra, że się poda do dymisji. Jak się nie poda, będzie odwołany”. Uwielbiamy ten język, kochamy bowiem wszelkie pozory, a najbardziej spośród polskich pozorów kochamy ten dotyczący dobrowolności. A więc zamiast naczelniczki poczty w Pacanowie na zieloną trawkę trafił minister od niewiadomoczego w rządzie M. Morawieckiego, a partyjna dyrekcja poczty z refleksem zmieniła zdanie i wyraziła konieczne w tej sytuacji rytualne oburzenie donosem. Tyle i aż tyle.

Na koniec wnioski. Pierw najważniejszy, dotyczący człowieka, jego życia i jego losu. Naczelniczka poczty w Pacanowie pracy na poczcie nie straci już nigdy. Żeby nie wiadomo co zrobiła – nie chcemy tu nawet fantazjować – będzie naczelniczką poczty w Pacanowie i za sto lat, pod warunkiem, że i wtedy krajem naszym rządzić będzie J. Kaczyński. Prawdopodobnie nawet jej własna decyzja o odejściu, na zasłużoną emeryturę bądź do np. biznesu, będzie skrupulatnie badana przez pacanowską komórkę PiS, a jej rezygnacja zostanie odrzucona.

Drugi wniosek, a raczej pomysł globalny, ale i biznesowy, jest taki. Trzeba zacząć organizować autobusowe wycieczki z wielu krajów, dużych i małych, by tamtejsi ludzie, znudzeni sztuczną grzecznością i powierzchownością swoich polityków, zaznali – za przeproszeniem – obyczajowości polityka polskiego u władzy, wchodzącego w swej krasie do urzędu pocztowego i mniemającego, że w Polsce jest tanio oraz w imię tej opinii gotowego na wszystko. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

31. FKŻ

FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ W KRAKOWIE

24.06
— 03.07.2022

31.jewishfestival.pl

31. FKŻ jest współfinansowany ze środków Miasta Krakowa oraz ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu Muzyka, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.

Media

Partnerem 31. FKŻ
jest Województwo Małopolskie

REKLAMA

REKLAMA

Listonosze w uniesieniu!

Letni PRZEKRÓJ już jest!

ilustracja: Igor Kubik

Dochód ze sprzedaży kwartalnika przeznaczamy na działalność statutową Fundacji PRZEKRóJ